

Foto: Renata Pajchel



Foto: Zofia Nasierowska



Sam na sam z aktorami i piosenkarzem

Rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Czy gwiazdy w męskim wydaniu są mniej lub bardziej gwiazdorskie od gwiazd żeńskiego rodzaju?

Jacy są prywatnie, w zaciszu domowym lub za kulisami, w garderobie, wyłączeni z kreowanych postaci, grający przed dziennikarzem siebie prawdziwego lub kogoś kim chcieliby być poza ekranem, sceną, estradą?

Sądze, że ich wielbiciele i antagoniści są tego ciekawi. Sam zastanawiałem się nad tym problemem podczas rozmów z gwiazdami. Osobowości, które stanowią publiczną własność. Znam twarze, postacie, głosy. Pokazujący lub chowający twarze prawdziwe, nieznane ogółowi, zakładający maski przez siebie samych wybrane, w których i poza zawodem chcą się nam utrwalić. Schowani za nie ukrywający całą swą prywatność myślenia, uczucia, doznawania świata.

Jacy są naprawdę Ci, którzy budzą u nas zachwyt lub irytację, złością nas lub wzruszają.

Jacy są?

ANDRZEJ SEWERYN (...tak na pozór męski i silny, a mający tak kobiecą duszę...)

JAN ENGLERT (...tak sympatyczny i budzący zaufanie na ekranie, a tak antypatyczny i nieufny prywatnie...)

JERZY ZELNIK (...tak bardzo przystojny i dostojny, a tak kruchy psychicznie i niepewny siebie...)

KRZYSZTOF KRAWCZYK (...tak bufonowaty na pozór, a tak uroczy, szczerzy i prostolinijny naprawdę...)

„MAM DUSZĘ KOBIECĄ...”

ANDRZEJ SEWERYN, po dyplomie aktorskim, chciał grać wszystko i nie miał sprzecywaných zamiarów od wytyczonego genu aktorskiego. Był konsekwentny i swego celu dopiął w wyjątkowo krótkim czasie. Mało jest w Polsce młodych aktorów, którzy zagraли w dość krótkim czasie kilkadziesiąt dużych i odpowiedzialnych ról w teatrze, filmie, TV i tak różnorodnych. O sobie, swojej pracy mówi z powściągliwością i sceptycyzmem. Jego sądy są precyzyjne i konkretne. Ma analityczny umysł naukowca i wygląd ucznia klasy maturalnej. Jest niesłychanie dynamiczny, reaguje gwałtownie, ale dopiero w trzeciej godzinie rozmowy. Patrzy na rozmówcę uważnie i wnikliwie, ale ten wzrok zdaje się być tylko pozornie taki baczny. Seweryn jest zadowolony tylko w sobie, interesuje go tylko własna osoba. Zna poczucie swojej wartości i wie, że technicznie jest najlepszym aktorem w Polsce.

Podczas odpowiedzi na pytania mocno się koncentruje, kiedy nie może znaleźć właściwego słowa, zdania, używa ordynarnych epitetów, huśta się na fotelu tak szybko, że można dostać zawrotu głowy lub wstaje z niego i szybko spaceruje po pokoju (wielkości małej sali kinowej) dwupoziomowego mieszkania, z którego usunął swego czasu w ciągu dwóch godzin drugą żonę z dziećmi.

Miał zostać inżynierem-konstrukтором, bo w tym zawodzie widział go matka.

— Zawiodłem nie tylko matkę, ale i ojca, który chciał, abym został oficerem WP. Pani prof. Radziwiłł z warszawskiego LO widziała we mnie historyka. A ja udzielałem się coraz częściej jako recytator na szkolnych akademiach. Później były harcerskie teatryki i praca w zespole teatralnym warszawskiego Pałacu Młodzieży. Dziś żyję i pracuję intensywnie. Nie mam w stosunku do siebie dystansu.

— I może dlatego nie układało się panu życie osobiste?

— Nie układa. Rozstałem się z drugą żoną.

— I jak pan to zniosł?

— Przeglądałem się sobie i dokonuję ciekawych spostrzeżeń.

— Jakich?

— O dziwo, dojrzałem.

— Życie prywatne artystów wystawione jest na sprzedaż. Nie próbował pan go chronić. Mieć tylko dla siebie?

— Niestety, nie udało się.

— Dlaczego?

— Czy był pan na filmie „Dyrygent”?

— Byłem. Pański Adam nie mógł ścierpieć, że jest gorszy.

Pan też nie mógł przeżyć, że jego żona Krystyna Janda robi tak oszalałą karierę, większą od niego?

— Na planie tego filmu postępowo rozpad naszego małżeństwa. Ale więcej nie powiem. Nie zawsze lubię być szczerzy. Nie zawsze mam na to ochotę. Dziś nie mam. Czasami więc kłamię. Poza tym czyż wiemy do końca — co jest naszą prawdą. Po to, aby być szczerym — trzeba być w jakimś szczególnym stanie, mieć powód. Nie jestem szczerzy przeważnie ze strachu, bo szczerze rozumiem jako mówienie prawdy, prawdy o sobie. A ja tej prawdy nie znam. Czasami mam wrażenie, że zbliżam się do niej. Dzie-

11

- Rozmowa z Wiesławem Wragą przed meczem z Juventusem
- Zdziwiające metody uzdrowiciela
- Relacja świadka wyprawy do Trójkąta Bermudzkiego

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 14 (1305) ROK XXVI 2 KWIETNIA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

Pogodnych i spokojnych świąt Czytelnikom i Sympatykom

życzy zespół „Odgłosów”



Foto: M. Zajdler

Kociol w Zakopanem

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W lutym, szczególnie na początku miesiąca, Zakopane przeżywało jeden ze swoich sensacyjnych szczytów, zjechało pięćdziesiąt tysięcy ludzi z licznym, bez obrazu, przychówkiem i dla reszty, która przybyła z opóźnieniem, zabrakło miejsc w hotelach, pensjonatach, domach prywatnych i domach wczasowych. Wydarzyło się w związku z tym wiele incydentów i afer, milicja zwiłżała koczującą na dworcu młodzież, narciarze spali w samochodach, pokoje dwuosobowe zamieniły się w koedukacyjne lazarety, w biurach zakwaterowań awantura gonila awanturę, a pewna krewka rodzina wtargnęła do „Orbisu” na siłę i rozłożyła się w korytarzu, twierdząc, że skoro mają dziecko, to nie usunie ich stąd nawet prokurator generalny.

Byli tacy, którzy wyjeżdżali z Zakopanego w kilka za ledwie godzin po przyjeździe, inni próbowali szczęścia w Poroninie i Bukowinie, znajomy z Warszawy twierdził, że na stołecznych dworcach kasy nie sprzedają biletów do tych górskich miejscowości — chyba, że ktoś posiada aktualne skierowanie na wczasy lub jakiś inny dowód, zdolny przekonać kasiera, że pasażer nie skoń-

czy pod płotem.

Tłok, jak nietrudno się domyślić, promieniował, a jak tłok promieniuje, góral zaciera ręce, bo ceny rosną i zaczyna się wielki biznes.

Jeszcze rok, dwa lata temu nie śmiałyby w ogóle wspomnieć o wielkim biznesie, brzmiałoby to bowiem preten-sjonalnie i głupio, dzisiaj jednakże wyjazd do Zakopanego jest droższy od wycieczki na Wyspy Kanaryjskie. Każdy myślący człowiek, który znajdzie się w tym cholernym grajdole, przy czym nie ubliżam pięk-nym polskim Tatrom tylko brudnemu, zadymionemu i zdeprawowanemu miastu, oż każdy człowiek myślący truchleje tam ze strachu widząc kolejną, nie notowaną dotąd kleskę złotówki.

Klniesz, kiedy za śliping drugiej klasy z Łodzi do Zakopa-nego musisz zapłacić dziewięćset złotych, a potem uspokajasz się nagle i pocieszasz, bo kolejka linowa na Kasprowy, i to w jedną stronę kosztuje u koników pół tysiąca. Nawet z paroleńskich dzieciaków ściga się brutalnie i bezwzględnie haracz, jeśli tylko przypną do nóg to, co dorośli nazywają nartami — wyjmując taki miły brzdąc stówkę u podnóża kró-

kiego wyciągu orczykowego, albo wyrwaczkę, mówi: — *Dziestęć psężadzów plose!* — a stary, buchający wodą cwaniak chowa pieniądze do kieszeni nie wydając nawet smarkaczowi karnetu.

Strach! Powiadam wam: strach! Na twoich oczach cwaniak robi fortunę posługując się sprzętem państwowym. Nie on jeden zresztą. W dobie kryzysu i powszechnego zaciskania pasa Zakopane jest prawdziwym Eldorado. Zakopanieczek nie musi kończyć studiów, umiejętność pisania i czytania też nie przesądza w jego wypadku o stopie życiowej. Wystarczy, że się tutaj urodził, że tu mieszka i już ma zapewniony byt, niczym tytuł szlachecki, który przechodzi z ojca na syna. Nie straszny mu kryzys. Przeciwnie. Im większy kryzys, tym lepiej w zakopiańskiej chacie. Babka kłozetowa z reprezentacyjnego baru potrafi wyżywić całą rodzinę, natomiast portier i bufetowa — całą wioskę.

Wśród bogatych turystów krąży plotka, iż hotel „Kasprowy” jest na permanentnym podsłuchu, zaś w restauracji i dyskotecze zamontowane są niewidoczne kamery telewizyjne,

rejestrujące skrupulatnie twarze stałych bywalców, grubość ich portfeli i wysokość rachunków. Wielka szkoda, że nie umieszczono takich kamer w innych punktach, aby poobserwować trochę hotelowy personel, bezczelny, odęty, pogardliwy, zbierający zapewne wyższe plony, niż wielu gości przyjeżdżających tutaj na parodniowy wypoczynek.

Godzina 11 w nocy. Przed głównym wejściem stoi kilku dar-mozjadów w służbowych uniformach, bawiących się z ludźmi w jakąś dziwną odmianę dziecięcej gry pod tytułem „trzech frajerów przepuścimy, a czwartego zawrócimy”. Na pytanie:

— Czy pan mieszka w hotelu?

— Nie, odpowiedziedź:

— Tak!

i wsunąć w nienasyconą łapę sto złotych.

Każde zawahanie będzie natychmiast ukarane, a jak zaczniesz się gęsto tłumaczyć, że masz umówione spotkanie ze szwagrem lub matką, zostanie ci tylko odprowadzony, lecz na dodatek wyszydzony.

6

Przegląd prasy

NIECO SENSACJI, OBYCZAJOWYCH CIEKA WOSTEK I PLOTEK

stanowić będzie „święteczny koktajl”, czy przegląd tego, co piszą inni. Święta — jak nakażuje tradycja — służą do odpoczynku, postanowiliśmy więc nie absorbować Czytelników poważnymi sprawami, a dać przegląd publikacji lżejszego gatunku, ale ze wziętych z życia, przede wszystkim z obchodzących i bulwersujących i niepokojących opinii publicznej.

Na początku zagadka z wielkiego świata finansjery. W oparciu o doniesienia „Sunday Times” opracowały ją i opublikowały „PERSPEKTYWY” (nr 12 z 25 marca 1983 r.). Tytuł opracowania:

SMIERĆ „BANKIERA PANA BOGA”

Rzecz zdarzyła się w Londynie, 18 czerwca 1982 roku — relacjonują „Perspektywy” — o 7.30 rano odkryto pod jednym z londyńskich mostów ciało mężczyzny. Na jego szyi zacięnięta była pętla liny przywiązanej do stalowego rusztowania... Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie spowodowane zacięnięciem pętli. Znalaziono obrażenia na ciele nie stwierdzone.

Wisielcem okazał się Roberto Calvi, prezes Banco Ambrosiano. „Ze względu na ściśle powiązania z bankiem watykańskim noszącym oficjalną nazwę Instytutu Dzieł Religijose, w skrócie IOR Calviego nazywanego „bankierem Pana Boga”. Na tydzień przed śmiercią, nocą z 11 na 12 czerwca 1982 roku opuścił on potajemnie Włochy i udał się przez Jugosławię do Austrii. Do Jugosławii przewiózł go Silvano Vittor, trudniący się przemysłem towarów z Włoch do Jugosławii. Organizatorem tej ucieczki był Flavio Carboni. Wszyscy trzej — Roberto Calvi, Silvano Vittor i Flavio Carboni spotkali się w Austrii. W trzy dni później Roberto Calvi i Silvano Vittor polecili samolotem do Londynu, podając się za... dyrektorów Fiata.

Dlaczego Roberto Calvi uciekł z Italii? „... w Rzymie i w Mediolanie toczyło się przeciw niemu śledztwo”. Zarzucono mu „fałszowanie rachunków, malwersacje i nielegalne finansowanie partii politycznej”. Wiadąc Roberto Calvi miał poważne wątpliwości, czy uda się mu te zarzuty odparować. Tym bardziej, że proces już się odbył w lipcu 1981 roku i Roberto Calvi został skazany na 4 lata więzienia i grzywnę w wysokości 100 milionów lirów. Do winy nie przyznał się. Odwołał się od wyroku i został zwolniony za kaucją. 21 czerwca 1982 roku miała się odbyć rozprawa apelacyjna. Do rozprawy — jak już wiemy — nie doszło, gdyż obwiniony zmarł.

No właśnie, czy został zamordowany?

„Człowiekiem, który kiedyś ułatwił Calviemu karierę i który w końcu przyczynił się do jego upadku, był sycylijski bankier, Michel Sindona”. Był on swego czasu doradcą finansowym Watykanu, obecnie odsiaduje karę w więzieniu w USA „za różnego rodzaju oszustwa i przynależności”. Już ze Stanów Zjednoczonych Michel Sindona szańczał Roberto Calviego. „W kwietniu 1978 roku Calvi przekazał mu, na konto w jednym z banków szwajcarskich, pół miliona dolarów”. Widać nie była to suma wystarczająca, gdyż wkrótce na murach Mediolanu pojawiły się napisy: „Calvi defraudant”, „Calvi oszust podatkowy”, „Calvi do więzienia!”.

W całą tę sprawę zamieszany był w jakiś sposób arcybiskup Paul Casimir Marcinkus — prezes IOR. „Jaka w tym wszystkim była rola arcybiskupa Marcinkusa? Na to pytanie nie ma na razie odpowiedzi”. Gdy syn Roberto Calviego prosił arcy-

biskupa P.C. Marcinkusa o pomoc, ten odpowiedział: — „Powiedz ojcu, by nie mieszał nas do spraw związanych z bankiem, bo to są jego sprawy”.

Władze śledcze Anglii uznały, że Roberto Calvi popełnił samobójstwo. „Jego rodzina w to nie wierzy. Orzeczenie sądowe akceptujące wersję samobójstwa zostało zaskarżone do sądu wyższej instancji”.

Na świecie zdarzają się afery duże i małe. U nas też. Małe afery zdarzają się w... narciarstwie. Opisuje je Andrzej Niedoba w artykule „Faule na śniegu” opublikowanym w „TYGODNIKU KULTURALNYM” (nr 13 z 27 marca 1983 r.). Są to

TRAGEDIE BESKIDZKICH NARCIARZY

Oto mała tragedia Stanisława Kawuloka z Istebnej, który do Sarajewa na sprawdzian nie pojechał. Ma już 30 lat i „niesprawiedliwa ręka selekcjonerów” skreśliła go z listy zawodników, na których można liczyć. A on się uparł i powiada:

— „Ja im jeszcze pokażę, będę tyrał za trzech, stanę na głowie, ale im pokażę i będę musiał pojechać na Olimpiadę, a tam zobaczymy, czy jestem już taki stary i czy mi już tylko na sportową emeryturę?”

Ale to nie jest sprawa tylko jednego Stanisława Kawuloka. Zdaniem Andrzeja Niedoby jest to stosunek władz Polskiego Związku Narciarskiego do narciarstwa góralskiego. Uważa się u nas — pisze on — „że góry są tylko w Zakopanem”. Kiedyś młodzi chłopcy z gór jeździli do szkoły na nartach, teraz tego nie robią, bo wiedzą, „że nie warto”.

Historia beskidzkiego narciarstwa — twierdzi A. Niedoba — jest piękna i bogata. Znajduje to odbicie w publikacjach. Ale tam pisze się głównie o sukcesach. Tymczasem...

„Twierdzą — pisze Andrzej Niedoba — że więcej w tej beskidzkiej historii narciarskiej było też i tragedii niż autentycznej radości młodych ludzi, którzy jeśli wychodzili z tej zabawy żywi, to okaleczeni, schorowani i bez namyślnego własnego zawodu, bo biegali i skakali, gdy ich rówieśnicy uczyli się i kończyli szkoły”.

Jest w tej historii tragedia Hani Pustowczanki, która „była w latach sześćdziesiątych prawie że Andrzejem Bachledą w spódnicy”, która „wygrupała jak chciała”, ale pojechała na zawody do Szwajcarii i „tam połamała nogi”. Zostawiono ją samą na długie tygodnie — pisze Andrzej Niedoba — bez możliwości kontaktu z matką lub kimkolwiek, kto mógłby jej pomóc w prostym porozumieniu się z obcymi ludźmi. Wróciła sama, narty wyrzucała na strych i przysięgała sobie, że już nigdy. A to był tylko finał jej narciarskiej gehenny...”

Albo tragedia Marioli Michalskiej z Ustronia, która mając lat 17 „wygrywała z wszystkimi naszymi seniorkami”, „zdała w terminie maturę”, „zdołała pół kapelusza tytułów mistrzyni Polski”, „z powodzeniem startowała za granicą”. Ale kiedy przyszła Olimpiada w Innsbrucku, zamiast do Austrii pojechała do... Ustronia. Na szczęście dla niej skończyło się na łzach, a mogło być znacznie gorzej. Tak, jak skończył Jędrzej Kocjan...

„Gdy przed laty próbowałem wyjaśnić jego tragedię — pisze dalej Andrzej Niedoba — choć w części zrozumieć jego ostatni skok z czwartego piętra cieszyńskiego szpitala, pewien niedogięty decydując ostrzegł mnie, że mogę się mocno poparzyć ta „marginalną aferą”.

I istotnie sztukę Andrzeja Niedoby „Skoczek” wprowadziła wystawiono w Teatrze Polskim w Bielsku, ale wkrótce zdjęto z afisza, a on sam musiał szukać sobie nowej pracy.

Była jeszcze tragedia Dzikka Hryniewieckiego, któremu pozostało parę medali, chory kręgosłup oraz pusta kieszeń na dwudziestoletnie umieranie.

Pisze też Andrzej Niedoba o likwidacji sekcji narciarskiej ROW Rybnik, o niedostatkach szkolnictwa w Beskidach, które mogłyby przeciw uczyć młodzież zamilowania do sportów narciarskich i na koniec stawia pytanie:

„Nie wiem np. dlaczego władze PZS mają swoją główną siedzibę w Warszawie, a nie gdzieś w górach?”

Nie wie też, jakie prawa rządzą montowaniem kadry narciarzy na różne zagraniczne imprezy.

Miałoby być jednak lżej i weselej, a tymczasem z artykułu

Andrzeja Niedoby wieje groza. Zmienimy więc temat i spróbujmy przedstawić

MIŁOŚĆ W KINIE

Jest to temat rozmowy Marka Millera z krytykiem filmowym Marią Kornatowską — pisywała w „Odgłosach” — którą to rozmowę pod tytułem „Miłość niemożliwa” publikuje RADA (nr 11 z 17 marca 1983 r.). Marek Miller przypomniał Marii Kornatowskiej, że napisała niedawno, iż Polacy bardziej pasują na bohaterów niż na kochanków.

— „U nas miłość — powiada na to Maria Kornatowska — bywała tylko pomiędzy spotkaniem a rozstaniem. Bywała urokiem chwili, zgodnie z piosenką „czy pozwołam panna Kryśka, młody ulan pyta”. Niedługo pyta on i prost, bo już gdzieś tam strzelają i od razu „mazur to ostatni”. Nasz bohater albo ginie w potrzebie, albo potrzeba jest ważniejsza od miłości”.

Czy tak było zawsze, — „... w okresie socrealizmu — twierdzi M. Kornatowska — najważniejsza była produkcja i miłość służyła temu, żeby albo zwiększyć produkcję, albo o niej mówić, albo dekonspirować agentów imperializmu. Po pięćdziesiątym szóstym roku zaczęto natomiast rozdrapywać rany”.

W tym to czasie ukształtował się w polskim filmie typ mężczyzny, „który szuka w kobiecie jedynie ucieczki”, ktoś „pomógł Jamesom Deamem a Cymbalskim”. Stereotyp ten utrwalił w naszym filmie Marek Hlasko ze swoją „filozofią utraty niewinności”. „Hlasko — kontynuuje M. Kornatowska — nie wyobrażał sobie chyba miłości dojrzałej — zawsze musiał to być chłopcy i dziewczyny — szalony kult młodości. Miłość, uroda, autentyczność przysługują tylko ludziom młodym. Krok w dojrzałość jest początkiem końca”.

Natomiast lata siedemdziesiąte przyniosły w filmie polskim dalsze zniekształcenie bohatera i... „męski typ kobiety”. W „Polowaniu na muchy” Andrzeja Wajdy występuje „kobieta jako intelektualna modliszka”, natomiast w „Człowieku z marmuru” tegoż reżysera własnie męski typ kobiety „Agnieszka (...) jest ubrana w dzinsowe spodnie, jej sposób bycia, ostrość i agresja w reagowaniu sprawia, że jest bardziej mężczyzną niż kobieta. Podobnie jak w „Dyrygencie”, gdzie została silnej kobiety jeszcze bardziej kontrastuje na tle mężczyzny — aneby, moralnego zera i konformisty”. Maria Kornatowska przy tej okazji zwraca uwagę na ewolucję, jaką w filmach Andrzeja Wajdy przechodzi bohater: od postaci Maćka graney przez Zbigniewa Cymbalskiego w „Popiele i diamenty”, poprzez rolę Jacka granę przez Tadeusza Janczara w „Kanale” do „roli młodego bez charakteru”. Maria Kornatowska zarzuca też Andrzejowi Wajdzie, że w „Człowieku z żelaza” przedstawił swoich bohaterów w sposób nieprawdopodobny. „Związek między Agnieszką a Maćkiem jest dość nieprawdopodobny. Ona poświęca dla SPRAWY karierę filmową. Nie świadczy to najlepiej o reżyserze, skoro stara się nam wmówić, że tak łatwo poświęcić kino dla SPRAWY. A może kinem przystąpiłaby się SPRAWIE lepiej? A Maćek jest taki prosty, uczciwy, szlachetny, nierzeczywisty bohater socrealistyczny”.

Konkludując Maria Kornatowska stwierdza, że w filmie polskim „uutki miłosne służą głównie do poświęcenia uczuć”, ale jeśli film nie będzie tworzył prawdziwych bohaterów, to i nie potrafi przedstawić prawdziwie miłości, bowiem „człowiek, który nie czuje się w pełni wartościowy, nie jest zdolny do miłości”.

Tak wygląda miłość w naszych filmach. A jak to jest w życiu.

MIŁOŚĆ W ŻYCIU

przedstawia Grażyna Woźniczko w artykule „Dzielnicy” w „RAZEM” (nr 13 z 27 marca 1983 r.). Zastrzeża się ona na wstępie, że „podobienstwo osób, faktów i zdarzeń opisanych w reportażu do rzeczywistości jest zupełnie przypadkowe”. Tym niemniej historia Henryka K. i jego kobiet wygląda na zupełnie prawdopodobną, co zresztą sugeruje nadtytuł artykułu: „Samo życie”. Henryk K. był dzielnikiem. Miał narzeczoną w G. Każdą kobietę, z którą rozpoczynał romans, lojalnie o tym uprzedzał. „Ożeni się, bo jest człowiekiem honoru i raz dane słowo uważa za święte”. A one brały to niezbyt poważnie: — „Fryzjerka z ja-

kiegoś tam G., jaka z niej konkurencja dla mnie” — mówiły. I myliły się.

Była więc Ewa, studentka, która dla niego rzuciła Piotra, który grał na gitarze i ciągle mówił o Kierkegaardzie i Świętym Augustynie. A kiedy Henryk K. zorientował się, że Ewa oblała egzaminy, zajęta bardziej miłością niż nauką, postanowił się z nią rozstać.

Tymczasem narzeczoną z G. „przywoziła zakupiła, napełniała lodówkę, sprzątała mieszkanie, zmieniała pościel. Gdy znajdowała w łóżku szpilki od włosów, układała je na nocnym stoliku bez słowa wymówki, urazy, grymasu”. A miała co układać, bo w życiu Henryka K. była jeszcze Mariola, którą poznał w gabinecie dentystycznym, kiedy leczyła mu zęby. Postanowiła go rozkochać w sobie, a potem... rzuciła. Ale stało się inaczej. „Zostawił ją pełen wiary, że może wówczas pogodzi się z mężem”. Była też Danka — ekonomistka z pewnej instytucji, panna w wieku dojrzałym, która znała jego narzeczoną i ciągle się dziwiła: — „co ty w niej widzisz”. Sama wygadywała wystawne kolacje i przyjęcia, na które w końcu zabrakło jej pieniędzy, więc „pożyła sobie” w kasie swojej instytucji, za co musiała odpokutować. Tymczasem narzeczoną z G. została żoną Henryka K.

Ewa któregoś dnia przyszła do przychodni, gdzie przyjmowała Mariola. Okazało się, że obie... znają Henryka K. Dowiedziały się też o Dance. Spotkały się i postanowiły się zemścić.

„Godzina zemsty wybiła czterokrotnym uderzeniem ratuszowego zegara. W drzwiach biurowca pojawił się on, Henryk. Nie poznały go — schudł, zszarzał, szedł ze spuszczoną głową, powoli, szamarnie... — Ty jesteś chory, Henryku... — pierwsza odezwała się Mariola.

— Jaki ty musisz być nieszcześliwy — jęknęła Ewka. Danka wyjęła z jego dłoni kluczyki i usadowała się za kierownicą. Gdy przy autostradzie w stronę motelu, który wszystkie dobrze znały, każda myślała o jednym, Henryk zmarłnie się w małżeństwie z osobą tak nieodpowiednią i do niego nie pasującą.”

Inną wersję miłości przynosi w „FAKTACH” Wojciech Kemiak w artykule „Dzielnicy” (nr 13 z 26 marca 1983 r.). Tutaj jest klasyczny trójkał, Joanna, Andrzej i Jerzy. Andrzej — właściciel dużej farmy, inżynier nie uprawiający zawodu, bogaty i szlachetny, pomaga Joannie w nauce. Piotr kocha się w Joannie i z Joanną. Kiedy Andrzej spotyka Piotra w mieszkaniu rodziców Joanny, postanawia sprawę rozwiązać. Oświadcza się i zostaje przyjęty. Ale wtedy do akcji wkracza Jerzy. Ma nagrane opinie Joanny o Andrzej i nie tylko oraz zdjęcia Joanny w akcji miłosnej. Wszystko to udostępniła Andrzejowi. Zostaje przez Joannę oskarżony o szantaż, ale nie ma na to dowodów, bo obaj je zniszczyli. Następuje zerwanie Andrzeja z Joanną i przyjaźń obu panów. Autor kończy dowcipnym cytatem 6-letniej Antyki: „Dzielnicy to taki pan, który ładnie mówi paniem dzień dobry i do widzenia”.

PORNO I GROŻBY „VETO”

— to rozwiązanie akcji „PORNO-SHOP” z 7 numeru „Veto”, która miała się zmateriałizować sklepem na Bednarskiej w Warszawie. Było wiele krzyku, że ludzie nie poznali na dowcipie, a Warszawa Oddział SD PRL chce Andrzeja Nalecz-Jaweckiego oddać pod sąd koleżeński. Szkopuł w tym, że ani on, ani jego zastępca, ani kierownicy działu nie są członkami SD PRL. Andrzej Nalecz-Jawecki odgraża się nawet, że wstąpi i będzie mógł być zgodnie z przepisami sądzony. Czy tak się stanie zobaczymy.

Póki co P-Swiadek grozi: „... mamy kilka asów w kieszeni. Możemy nimi przebić z łatwością artykuł „Porno-shop”. Kolejne artykuły (mamy je już przygotowane) są jeszcze ciekawsze niż ten pierwszy, który wywołał tyle szumu. Proponujemy w nich zważyć się jeszcze bardziej szokujące i z pewnością wywołają następne fale ekscytacji”.

Drukujcie! Czekamy!

LUCJAN BOGUSZ

Nagrody Srebrnej Łódki i Srebrnego Pierścienia

ŚWIĘTO LUDZI TEATRU

Jak co roku o tej porze ludzie teatru obchodzą swoje święto — Międzynarodowy Dzień Teatru. W tym dniu odbywają się w środowiskach teatralnych tradycyjne już spotkania i uroczystości. Nasze miasto od szeregu lat czci ten także miły i ważny dzień, przypadający 27 marca, przyznawaniem przez Towarzystwo Przyjaciół Łódzi corocznych nagród Srebrnych Łódki i Srebrnych Pierścienia.

Nagrodę Srebrnej Łódki, za najlepszy spektakl sezonu, przyznano:

— w kategorii teatrów dramatycznych spektaklowi „Zdziejstwo obyczajów pośmiertnych” B. Leśmiana w Teatrze im. S. Jaracza, w reżyserii B. Hussakowskiego i scenografii B. Mateckiego. Konkandydatem było przedstawienie „Krakowiaków i Górali” W. Bogusławskiego, w reżyserii M. Szonerta w Teatrze Powszechnym;

— w kategorii teatrów muzycznych przedstawieniu opery „Zydówka” J. Halevy'ego, w reż. M. Foityn, scenografii M. Kolodziejki, choreografii K. Wrzóska, wystawianemu w Teatrze Wielkim;

— w kategorii teatrów dla dzieci spektaklowi „Cesarskiego słowika” J. Ratajczaka, w reż. W. Wieczorkiewicza, scenografii T. Hołówny — w Teatrze „Ariekin”.

Nagrodę Srebrnego Pierścienia — za najlepszą kreację kobiecą przyznano Hannie Bieluszko z rolę Beniamina w „Wielkanocy” Strindberga (reż. B. Hussakowskiego) w Teatrze im. S. Jaracza.

Srebrny Pierścień za najlepszą kreację męską przyznano Zygmuntowi Zajacowi za partię Eleazara w „Zydówce” w Teatrze Wielkim.

Ponadto nagrodę Czytelników „Głosu Robotniczego” przyznano przedstawieniu „Szelmostwa Skapena” w Teatrze Nowym, a nagrodę teje redakcji za najlepszy debiut aktorski otrzymała Lida Duda z Teatru im. S. Jaracza.

Informujemy, iż Towarzystwo Kultury Teatralnej rozstrzygnęło ogłoszony konkurs na pracę naukową, odnoszącą się do życia teatralnego Łódzi. I nagrodę przyznano E. Barańczak, dwie II — M. Milczarek i E. Drozdowskiej, a wyróżnienia M. Kowalskiej i H. Gawlik.

Wyrażamy przekonanie, iż uhonorowane spektakle i osoby zapiszą się na trwałe we wdzięcznej pamięci łódzkiej publiczności.

Ludziom teatru, z okazji ich święta, życzymy sukcesów artystycznych, pełnej widowni i uznania dla pracy w teatrze.

Laureatom, w imieniu zespołu i Czytelników, składamy gratulacje.

WYWIAD JURIIA ANDROPOWA DLA DZIENNIKA „PRAWDA”

W niedzielnym wydaniu dziennika „Prawda” ukazał się wywiad sekretarza generalnego KC KPZR, Jurija Andropowa, udzielony korespondentowi tej gazety. Wywiad w całości poświęcony jest omówieniu oświadczenia dotyczącego problemów militarnych USA, jakie 23 marca wygłosił prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan.

Zamieszczamy końcową wypowiedź Jurija Andropowa z tego wywiadu.

PYTANIE: Jaki ogólny wniosek należy wyciągnąć w związku ze wspomnianym przemówieniem prezydenta USA?

ODPOWIEDZ: Odpowiem krótko i jednoznacznie. Obecna administracja USA kroczy nadal po skrajnie niebezpiecznej drodze. Do problemów wojny i pokoju nie wolno odnosić się tak lekkomyślnie. Wszystkie wysiłki w celu osiągnięcia przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim są daremne. Związek Radziecki nigdy do tego nie dopuści, nigdy nie okaże się bezbronny w obliczu jakiegokolwiek zagrożenia. Oby dobrze uzmysłowiono to sobie w Waszyngtonie. Najwyższy czas, aby zaprzestano tam wymyślania coraz to nowych wariantów, w jaki sposób lepiej rozpetać wojnę jądrową w nadziei na jej wygranie. Zajęcie to jest nie tylko nieodpowiedzialne, ale szaleńcze.

Chociaż prezydent w swoim przemówieniu zajmował się przede wszystkim Związkiem Radzieckim, to dotyczy ono interesów wszystkich państw i narodów. Należy zdawać sobie sprawę z tego, że przywódcy amerykańscy usiłują obecnie przekształcić kraje europejskie w jądrowych zakładników. Działania Waszyngtonu zagrażają całemu światu.

Dzisiaj wszelkie wysiłki powinny zmierzać do jednego — zapobieżenia katastrofie jądrowej. Zdecydowanie apelujemy do Stanów Zjednoczonych, aby wkroczyły na tę drogę.

TO NIE BYŁ PROTOTYP

Chochlik drukarski zmienił podpis pod jednym ze zdjęć załączonych do artykułu pt. „I rdza się go nie ima...”. Zdjęcie to przedstawia „malucha” z plastikowym nadwoziem, którym budowniczy nowej wersji Fiata 126p, M. Kotliński, jeździ już od 1977 roku. Nie jest to więc żaden prototyp, jak mylnie głosił podpis. Zainteresowanych i Czytelników przepraszamy, wierząc, że katastrofa, która dopiero się „rodzi”, będzie jeszcze bardziej udana.

W NASTĘPNYCH NUMERACH „ODGŁOSÓW”

- * Rozmowa z Janem Dobraczyńskim
- * Targi Poznańskie i co dalej
- * Skomplikowane sprawy załogi „Próchnika”
- * Ten, który budował nasze domy
- * Każdy może zostać Harrisem na własny użytek
- * „Perfect” na płytach i koncertach
- * Młodzież i kultura „Od buntów do utopii”
- * Nieprzewidziane skutki rewolucji seksualnej
- * „Milczący kondor” nad Atlantykami

Spojrzenie w niezbyt odległą przeszłość połączone z krytyczną refleksją minionych etapów pozwala uniknąć starych błędów w przyszłych działaniach. Ta prozaiczna w gruncie rzeczy uwaga odniesiona do podejmowanej obecnie w Polsce reformy gospodarczej nabiera szczególnego znaczenia. Powodzenie tej reformy zależy w dużym stopniu od wyeliminowania mankamentów, które spowodowały upadek poprzednich koncepcji zmian w systemie funkcjonowania gospodarki. Brak konsekwencji w przeprowadzaniu reformy, jej połowiczność i niechętny stosunek władz centralnych w stosunku do głębokich zmian stanowiły najsłabsze przyczyny cyklicznego załamania się programów uzdrowienia gospodarki.

W historii Polski Ludowej godne odnotowania są dwa najważniejsze i ambitne w swych założeniach podejścia do zmian systemowych: reforma 1956 roku i reforma z początku lat siedemdziesiątych. Należy także wspomnieć o dojrzejącej w końcu lat sześćdziesiątych koncepcji reformy znanej pod nazwą bodźców ekonomicznych.

NIE WYKORZYSTANE TEZY

Wydarzenia lat 1955-1956 spowodowały i umożliwiły rewizję maksymalnie scentralizowanego systemu funkcjonowania, który ukształtował się w okresie panowania dogmatyzmu stalinowskiego. Symbolem reformatorskich tendencji zapoczątkowanych w 1956 r. była instytucja Rady Ekonomicznej, której przewodniczył znakomity ekonomista profesor Oskar Lange. Zadaniem Rady Ekonomicznej było opracowanie koncepcji polskiego modelu gospodarki socjalistycznej. Komisja Modelowa Rady Ekonomicznej przyjęła w maju 1957 tzw. tezy modelowe. Ideą przewodnią owych tez było zastąpienie — przy uwzględnieniu specyfiki każdej gałęzi — dyrektywnych narzędzi zarządzania narzędziami ekonomicznymi i rachunkiem ekonomicznym oraz demokratyzacja życia gospodarczego poprzez szeroki udział załóg, rad robotniczych, terenowych rad narodowych i Sejmu w określaniu celów rozwoju społeczno-gospodarczego. Podstawowy warunek takiej demokratyzacji autorzy tez modelowych upatrywali w jawności życia gospodarczego i takim formułowaniu zadań planu centralnego, aby władze i całe społeczeństwo miały pełne rozeznanie dopuszczalnych rozwiązań, będących przedmiotem wyboru ekonomicznego.

Cechą charakterystyczną propozycji Rady Ekonomicznej była próba pogodzenia samodzielności przedsiębiorstwa i samorządu załogi z planowaniem typu dyrektywnego. W myśl założeń Rady skutecznym planowaniem centralnego wymaga odpowiednio zbudowanych bodźców i instrumentów ekonomicznych oraz dyrektywnych zadań planowych w tych dziedzinach, gdzie nakazy takie są niezbędne i skuteczne. Stosunki między organami nadrzędnymi a przedsiębiorstwami, powinny być ściśle określone, wyznaczając niezbędny obszar ingerencji tych organów, poza którym przedsiębiorstwo jest samodzielną i samorządną jednostką gospodarczą.

Jaki był plon październikowych przemian na polu reformy gospodarczej? Przede wszystkim trzy podstawowe akty prawne, które później okazały się jedynym wyłomem w scentralizowanym systemie, a mianowicie: uchwała Rady Ministrów nr 704 z 1956 r. o rozszerzeniu uprawnień przedsiębiorstw państwowych, ustawa Sejmu o funduszu zakładowym na rok 1957 oraz ustawa Sejmu o radach robotniczych z 19 listopada 1956 r. Na szczególną uwagę zasługują instytucja rad robotniczych, które odegrały wysoce pozytywną rolę we wdrożeniu inicjatywy załóg w dziedzinie realizacji planów produkcyjnych, w poprawie warunków pracy i stosunków między ludźmi w zakładach pracy. Polityczna rola rad robotniczych polegała głównie na tym, że załoga pełniła funkcję współgospodarza przedsiębiorstwa. Po okresie konfliktów społecznych w 1956 r. ta polityczna działalność rad miała duże znaczenie dla procesu normalizacji sytuacji społeczno-politycznej w Polsce.

Jaki los spotkał ambitną i szeroko zakrojoną reformę polskiej gospodarki? Co stało się z projektem tez modelowych i Radą Ekonomiczną? Odpowiedź na drugie pytanie zawiera klucz do odpowiedzi na pierwsze. Otóż, słynne tezy modelowe de facto odrzucone zostały przez ówczesny rząd, a ściślej mówiąc przez Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów (KERM). Wymowy tego faktu w niczym nie powinna zmienić wypowiedź J. Cyrankiewicza, który lapidarnie stwierdził, że KERM „też ani nie przyjął, ani nie odrzucił”. Sądzić należy, iż tezy modelowe nie zostały aprobowane władzy nie dlatego, że były nielogiczne czy niespójne ale dlatego, że proponowany kierunek zmian systemowych był dla tego forum (tzn. KERM) zbyt radykalny. Konsekwencją tego było rozwiązanie Rady Ekonomicznej na początku lat sześćdziesiątych. Opracowania Rady pozostały w sferze modeli ekonomicznych bez zapuszczenia, z pewnymi wyjątkami, korzeni w praktyce gospodarczej. W formie ciekawostki warto nadmienić, że ekonomiści jugosłowiańscy i węgierscy spożytkowali tezy modelowe jako tworzywo wyjściowe do budowy własnych koncepcji systemowych. Polskim ekonomistom pozostała tylko satysfakcja, że niedocenione w kraju pomysły znalazły uznanie u innych.

REFORMA BODŹCÓW

Rysem zmian gospodarczych lat sześćdziesiątych było dążenie władzy do intensyfikacji procesów gospodarowania realizowane głównie przez oddziaływanie na przedsiębiorstwa instrumentami ekonomiczno-finansowymi i nakazowymi. Nie odnotowano w tym okresie modyfikacji w strukturze instytucjonalnej gospodarki. W systemie planistycznym dominowały plany krótkookresowe zawierające dużą ilość tzw.

wskaźników dyrektywnych. Z tego właśnie względu nie powiodła się próba wdrożenia zasad rachunku gospodarczego w przedsiębiorstwach.

U schyłku dekady lat sześćdziesiątych dość silnie uwidoczniły się oznaki kryzysu gospodarczego najbardziej odczuwalne na rynku dóbr konsumpcyjnych. Skomplikowana sytuacja skłoniła władzę do podjęcia działań mających na celu poprawę efektywności gospodarowania przedsiębiorstw i wzrost wydajności pracy. Stworzono system tzw. bodźców materialnego zainteresowania, który od połowy 1970 funkcjonował na zasadzie eksperymentu, a w całym przemyśle miał być wprowadzony w życie od 1 stycznia 1971 r. Założeniem tego systemu (tzw. reformy bodźców) było rygorystyczne uzależnienie wzrostu płac załóg od poprawy wyników ekonomicznych. Istotą nowego systemu bodźców można przedstawić następująco: określono punkt wyjściowy, oparty na wynikach przedsiębiorstwa w ostatnim okresie przed reformą i przy poprawie rentowności przedsiębiorstwa, obliczonej według zawitych kryteriów, można było część wygospodarowanej

Reformy po polsku...

WITOLD KASPERKIEWICZ

nadwyżki przeznaczyć na wzrost płac. W okresie wyjściowym, trwającym 2 lata, nie przewidywano wzrostu płac, a więc faktycznie było to zamrożenie płac nominalnych na dwa lata.

Oceniając reformę bodźców należy konstatować, że generalna idea tej koncepcji, zmierzającej do zainteresowania pracownika efektami pracy całego przedsiębiorstwa, była racjonalna. Jednak sposób wprowadzenia jej do praktyki przemysłowej oraz bardzo zagmatwany system wskaźników przekreślił szansę powodzenia. Zastosowanie nowego systemu bodźców postawiłoby w trudnej sytuacji dobrze pracujące przedsiębiorstwa, które osiągnęły wysokie wskaźniki rentowności w okresie przyjętym za wyjściowy. Zamrożenie płac nominalnych musiałoby odbić niekorzystnie na nastrojach społecznych i zostało odczytane w społecznej świadomości jako próba przerzucenia kosztów polityki „intensywnego i selektywnego” rozwoju na barki załóg. Perspektywa niewielkiego wzrostu dochodów po dwóch latach funkcjonowania nowego systemu nie mogła działać mobilizująco na wydajność pracy. Czarę niezadowolenia społeczne przepelniła podwyżka cen na podstawie artykułów żywnościowych, której wprowadzenie stało się bezpośrednim impulsem wydarzeń grudniowych 1970 roku.

Nieudana reforma bodźców materialnego zainteresowania była świadectwem jednowymiarowości polityki ekonomicznej lansowanej w latach sześćdziesiątych. Ta jednowymiarowość przejawiała się w preferowaniu celów ekonomicznych, przy bagatelizowaniu społecznych reperkusji osiągania tych celów. Co więcej, cele te realizowane w strukturze instytucjonalnej, która opierała się na tradycyjnych elementach konstrukcji systemu centralistyczno-biurokratycznego. Zmiany gospodarcze polegały na stosowaniu taktyki „małych kroków” podejmowanych w wybranych dziedzinach systemu funkcjonowania. Taktyce tej nie towarzyszyła jakaś myśl przewodnia integrująca fragmentaryczne zmiany w logiczny ciąg działań reformatorskich. W centralnych ogniwach władzy panowała wiara w skuteczność zarządzania gospodarką przy użyciu metod polityczno-administracyjnych. Wiare tę szczególnie gorliwie praktykowano w okresach napięć gospodarczych zwiastujących nadchodzący kryzys. W ten sposób utrwały się patologiczne stany gospodarki centralistycznej.

WOG

W latach 1973-1975 miała miejsce kolejna, ambitna w swych zamierzeniach, próba odejścia od tradycyjnego systemu centralistyczno-biurokratycznego. Historia tej reformy jest ciekawa i zarazem tajemnicza, co wynika z faktu, że nie wszystkie jej aspekty były znane opinii publicznej.

Z inicjatyw reformy gospodarczej u progu lat siedemdziesiątych wystąpiła ówczesna władza. Zapowiedź reformy znalazła się wśród obietnic złożonych przez nowego I sekretarza w jego słynnym przemówieniu z 20 grudnia 1970 r. Po VIII Plenum KC PZPR powołano Komisję Partyjno-Rządową ds. Unowocześniania Funkcjonowania Gospodarki i Państwa, która była instytucjonalnym wyrazem konieczności modyfikacji systemu ekonomicznego. Pod koniec 1971 r. komisja opracowała obszerny dokument określany najczęściej „tezami”. Dokumentu tego nigdy nie podano do wiadomości

publicznej; pozostał on dokumentem nieoficjalnym, gdyż komisja nie uchwałała tez. Przyczyną tej zagadki wyjaśnione będą w dalszej części rozważań.

Projekt zmian modelowych przygotowany przez komisję partyjno-rządową zawierał bardzo obiecujące założenia. Przewidywano znaczne ograniczenie zakresu ingerencji administracyjnej szczebla centralnego i poważne usamodzielnienie przedsiębiorstw. Krótko mówiąc, powiało znowu, podobnie jak w latach 1956-1958, decentralizacją życia gospodarczego.

Ważkim elementem nowego systemu było określenie roli i miejsca planu centralnego w gospodarce narodowej. Zgodnie z propozycjami komisji partyjno-rządowej plan centralny miał być dokumentem wyznaczającym kierunki rozwoju całej gospodarki, kształtującym zestaw narzędzi polityki gospodarczej państwa, utrzymującym działania gospodarki w ramach określonych interesów społecznych. Oczekiwano też, że rezygnacja centrum planistycznego z podejmowania decyzji operatywnych wpłynie na racjonalizację decyzji makroekonomicznych i wydłuży horyzont planowania.

czasowych jej atrybutów. Była w tym swoista logika, gdyż konsekwentna decentralizacja obejmująca instytucje centralnego planowania oznaczałaby przekazanie licznych prerogatyw samodzielnym przedsiębiorstwom. Niechęć do decentralizacji związana była ściśle z megalomańskim programem wielkiego skoku inwestycyjnego początku lat siedemdziesiątych. Kierownictwo partyjno-rządowe, zaangażowane bezpośrednio w realizację tego programu, pragnęło zachować swój wyłączny udział w spodziewanym sukcesie gospodarczym.

Skutkiem zaniedbania reformy planowania centralnego było powstanie wewnętrznie sprzecznego systemu ekonomicznego, w którym Rada Ministrów i Komisja Planowania pełniły rolę nakazami i limitami w zarządzaniu gospodarką, natomiast od ministrów branżowych wymagano sterowania WOG-ami przy pomocy narzędzi parametrycznych. Było to dowodem zadziwiającej ignorancji ekonomicznej i organizacyjnej czynników odpowiedzialnych za gospodarkę.

Do ostatecznego upadku ograniczonej w swym zakresie reformy WOG przyczyniły się narastające w drugiej połowie 1974 r. i w 1975 r. dysproporcje gospodarcze wynikające z nadmiernego obciążenia dochodu narodowego inwestycjami i olbrzymiego wzrostu dochodów pieniężnych ludności zwiastującego nadchodzącą inflację. Pod wpływem tej sytuacji rząd podjął szereg decyzji modyfikujących system WOG. Ta swoiście pojmowana modyfikacja polegała na zlikwidowaniu niewielkiego zakresu swobody jednostek inicjujących w dziedzinie zatrudnienia i funduszu płac. W roku 1974 do WOG-ów wprowadzono osłabione limity zatrudnienia oraz poważnie ograniczono swobodę dysponowania funduszem płac przez jednostki gospodarcze. Następnie w roku 1975 zawieszono obowiązujące w WOG-ach zasady tworzenia funduszu płac, zrywając jego związek z syntetycznym miernikiem tzw. produkcji dodanej (odmianą produkcji czystej) i uzależniając go od wzrostu wydajności pracy organizacji gospodarczej. W roku następnym pojawiły się znane z poprzednich okresów limity funduszu płac, pod eufemiczną nazwą wskaźników orientacyjnych oraz limity nakładów inwestycyjnych niweczące mechanizm tworzenia i gospodarowania środkami z funduszu rozwoju. Można bez cienia przesady stwierdzić, iż następowała recydywa starego systemu nakazowego. Porunkach zaostrzających się napięć rynkowych, twierdziła się raz jeszcze prawda, że w warunkach na rynku wewnętrznym, jak i w handlu zagranicznym, władza sięga do starych, wypróbowanych narzędzi typu dyrektywnego.

Ostatnim akordem w zawilej historii reformy wogowskiej była podjęta w 1977 roku próba rekonstrukcji systemu WOG w tzw. wersji zmodyfikowanej. Wersja ta w porównaniu z pierwowzorem zawierała wyraźne ograniczenia samodzielności ekonomicznej WOG i była tylko parawanem dla powrotu tradycyjnych rozwiązań nakazowo-rozdzielczych. Mimo tego rząd jeszcze w 1979 r. utrzymywał, iż kontynuuje doskonalenie systemu zarządzania i nie zamierza zejść z drogi reformy. Tymczasem zbliżał się nieuchronny kres ery dynamicznego rozwoju, któremu towarzyszyły kumulujące się napięcia gospodarcze. Rozpoczął się proces przyspieszonego rozpadu nakazowego systemu zarządzania gospodarką.

WCIAŻ TE SAME BŁĘDY!

Na podstawie analizy kilku nieudanych reform rodzi się przekonanie, że w historii gospodarki polskiej zaznaczył się specyficzny cykl zmian systemowych przebiegający w pięciu fazach. W kolejnych próbach reformowania gospodarki powtarzają się te same problemy i dylematy oraz, co jest bardzo znamienne, powtarza się sposób rozwiązywania tych problemów.

Faza I. W fazie tej pojawiają się ostre dysproporcje gospodarcze, wynikające z pogłębiającej się niesprawności systemu scentralizowanego oraz nieracjonalnej polityki społeczno-ekonomicznej. Rodzą się napięcia społeczno-polityczne i narasta świadomość potrzeby reformy gospodarczej zarówno w społeczeństwie, jak i w kregach władzy centralnej. Powstają projekty reformy gospodarczej.

Faza II. Realizacja reformy polegającej na decentralizacji funkcjonowania gospodarki, wykorzystaniu mechanizmów ekonomicznych dla stymulowania efektywności i odbudowania równowagi gospodarczej. Reformie gospodarczej towarzyszy demokratyzacja w wielu dziedzinach życia społecznego. Władza deklaruje swoje zaangażowanie w dzieło reformy i apeluje o społeczne poparcie zmian gospodarczych.

Faza III. Po wstępnym okresie działania nowego systemu ujawniają się sprzeczności będące skutkiem nierównowagi gospodarczej. Władza okazuje niecierpliwość i podejmuje próby modyfikowania „kielkującego” dopiero systemu. Wprowadzane są z powrotem tradycyjne nakazy i limity, których zakres występowania stopniowo rozszerza się. W społeczeństwie górną biorą tendencje egalitarystyczne. Postępuje demontaż pierwotnych założeń reformy. Brak jest sił społecznych zdolnych do przeciwstawiania się tej tendencji.

Faza IV. Tradycyjny system scentralizowany triumfuje. Ograniczana jest samodzielność ekonomiczna przedsiębiorstw i zanikają instytucje rzeczywistego udziału załóg w zarządzaniu. Zmniejsza się coraz bardziej efektywność gospodarki, która traci zdolność do zaspokajania rosnących aspiracji konsumpcyjnych społeczeństwa.

Faza V. Gospodarka dochodzi do sytuacji charakterystycznej dla fazy pierwszej. Powstają przesłanki nowego cyklu zmian w systemie funkcjonowania gospodarki. Powracająca fala reformy niesie ze sobą nowe nadzieje na poprawę sprawności gospodarki i postęp w demokratyzacji życia społeczno-politycznego.

Z dziejów religii

Zapomniane ślady Zaratusztry

Powszechnie wiadomo, że religia chrześcijańska narodziła się w Ione judaizmu i rozwinęła w świecie kultury hellenistycznej. Ale zapomina się o jeszcze jednym i to niezwykle ważnym źródle, a mianowicie o zaratusztrianizmie. Koncepcje Zaratusztry wpłynęły na chrześcijaństwo w dwojaki sposób. Po pierwsze — czerpał stąd idee Żydzi. I po drugie — do wczesnego chrześcijaństwa przenikały niezwykle wówczas popularne myśli Maniego (216—277), którego doktryna oparta jest na zaratusztrianizmie. Pod przymiotnym wpływem manicheizmu pozostawali św. Augustyn. Filozof ten był manichejczykiem, zanim stał się chrześcijańskim i w decydującym stopniu określił zasady teologii katolickiej.

Celem niniejszego szkicu jest wskazanie śladów zaratusztrianizmu w religii chrześcijańskiej. A są to ślady bardzo znaczące. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że właśnie Zaratusztra był prekursorem wszystkich istotnych, podstawowych elementów doktryny chrześcijańskiej, co zamierzam tutaj udowodnić.

Prorok Spitama Zaratusztra żył w „aryjskim kraju” na przełomie VII i VI wieku przed naszą erą. Prawdopodobnie należał do wschodnioirańskiego rodu „Białych” (Spitama), prowadzącego koczowniczy tryb życia. Jego imię dosłownie znaczy „Ze złotymi wielbłądami”. W wieku 30 lat miał doznać objawienia i postanowił publicznie głosić prawdziwą religię. Lecz rodacy nie rozumieli go i musiał uciekać. Rozczarowany prorok ubolewał: „Z własnej gnają mnie rodziny i z plemienniczych możliwości. Przypominają się tu słowa uchodzącego z Nazaretu Jezusa: „Nigdzie prorok nie jest tak pogardzony, jak w swoim rodzinnym mieście, u krewnych swoich i w domu swoim”. Tak więc w

Galilei rozegrała się podobna historia do tej, która sześć wieków wcześniej miała miejsce w Iranie. W dodatku obaj bohaterowie mieli po 30 lat, uważali się za powołanych przez jednego Boga i zapowiadali nadejście królestwa bożego.

Odrzucony przez najbliższych Zaratusztra znalazł opiekę i poparcie ze strony władcy Partii i Hyrkanii — Wiszłasy, ojca słynnego później króla Dariusza I. Niektórzy przypuszczają, że w latach swej młodości budowniczy imperium perskiego osobiście spotykał się z prorokiem, co jednak jest wątpliwe i raczej wykluczone. W każdym bądź razie Dariusz Wielki wyznawał zaratusztrianizm.

Zaratusztra był Irańczykiem i działał w północno-wschodnich rejonach dawnego terytorium irańskiego. Nauka jego może być dla nas interesująca również dlatego, że spośród ludów indoeuropejskich Słowianie i Baltowie są genetycznie najbliżsi Indoirończykom i razem należą do wspólnej grupy językowej „satem”. A ponadto Irańczycy i Praslłowianie nie nazywali boga imieniem „deivos” (greckie Zeus, łacińskie Deus), jak inni Indoeuropejczyści, lecz używali określenia „baga” i „bog”, co znaczy dawca (bogactwa). Natomiast mianem „deivos” określali zieleń lub żywioł i demoniczne siły. Warto tu dodać, że po irańsku niebo to „nebah”, raj — „ray”, święty — „spenta”, wiara — „ver”, wiedza — „vidya”, mądry — „modran”, ogień — „agni”, wiatr — „vayu”, słowo — „sra vah”, zło — „zurak”. Irański Zaratusztra jest zatem dla nas kimś wprawdzie odległym czasowo i przestrzennie, lecz dość bliskim duchowo.

W pokrewnym nazem, języku staroirańskim powstało pismo święte zaratusztrianizmu — „Awesta”. Nazwa ta oznacza podstawowy zbiór nakazów i przepisów. Najstarszą częścią

„Awesty” — przypisywaną samemu prorokowi — są tzw. „Gathy” (pieśni, hymny), wchodzące w skład pierwszej księgi kanonu. Inne teksty pochodzą z różnych okresów i długo były przekazywane ustnie, zanim zostały spisane i zebrane w jedną całość.

Starożytni Irańczycy wykazywali silne skłonności mono-teistyczne i początkowo mieli kult bezobrazowy. Był może dlatego z pewną sympatią odnosili się do judaizmu. Król Cyrus uwolnił w 538 roku p.n.e. Żydów z „niewolności babilońskiej”, pozwolił im powrócić do Judy i odbudować świątynię w Jeruzolimie. Piszący w owym czasie biblijny prorok Deuteronom — Izajasz uznał władzę perskiego za „pomazańca” i „wybrańca” Jahwe. Dzięki temu idea irańska łatwiej mogła oddziaływać na myśl żydowską. Pamiętajmy zaś, że Palestyna znajdowała się pod panowaniem perskim przez dwa stulecia, aż do nadejścia Aleksandra Wielkiego. Było więc dość czasu dla znaczącej konwergencji kulturowej. Notabene właśnie w tamtych latach ukształtowały się i przyjęły najważniejsze zasady judaizmu — ostatecznie ustalono treść i formę Pięcioksięgi Mojżeszowej (Torę), rozwinęła się literatura „mądrościowa”, powstały księgi Kronik i Przysłów.

W ostatnich wiekach starej ery szczególnie popularne były koncepcje Zaratusztry. Historyk amerykański, A.T. Olmstead, pisze w tej sprawie: „W okresie rozkładu dawniejszych kultur narodowych najlepsze umysły odnalazły w doktrynie Zoroastra coś tak nowego, świeżego i ożywczo, że wpływ jego dostrzec można wśród większości późniejszych ruchów religijnych. Nie jest wcale przypadkiem, że Gathy Zoroastra brzmią tak podobnie do pierwszego Nowego Testamentu”.

A później, jak już wspomnieliśmy, zaratusztrianizm oddziaływał w postaci modnego manicheizmu. Co zatem głosił wybitny prorok irański?

1. Zaratusztra wierzył w jednego Boga, stwórcę nieba, ziemi i człowieka. Bóg ten nazywa się Ahura Mazda, co znaczy Pan Mądry. Stworzył on wszystko co dobre na świecie, ale przeciwstawia mu się i czyni zło Angra Mainju, czyli Zły Duch. Jedyny Święty Ahura Mazda jest bytem bezcielesnym i niewidzialnym, który objawia się człowiekowi jako Duch Święty lub Mysł Dobry. Wspiera ją, go zastępuje dobrych aniołów, nieustannie walczących z dwami (diabłami) Angra Mainju. Przy czym zarówno dobre, jak i złe duchy są podzielone na wyższe i niższe stany. Zaratusztriańska hierarchia niebieska przypomina chrześcijańską koncepcję dziejów „chórów” anielskich i „panteonu” świętych.

2. Centralne miejsce w świecie zajmuje człowiek. Ma on wolną wolę. I przez to może wybierać między dobrem i złem oraz włączyć się do walki sił niebieskich z piekielnymi. W pierwszej księdze Awesty (Jasna 30,3) czytamy:

„Tak więc na początku były dwa duchy, które jako bliźniacze dobrze były znane; jeden był dobrem, a ziem był drugi w myślach, mowie i uczynku. Spośród nich mądrzy wybierają właściwie, ale nie czynią tak głupcy.”

3. Człowiek ma nieśmiertelną duszę i po śmierci stanie przed sądem boskim. Wszystkie jego myśli, słowa i uczynki są zarejestrowane, zostaną odpowiednio zważone i wpłyną na losy w życiu pozagrobowym. Takiej koncepcji nie znała myśl żydowska. Pierwotnie Żydzi wierzyli w odpłatność za dobro i zło tylko w życiu doczesnym. Idea duszy trwającej po śmierci pojawia się w księdze Mądrości — napisanej po grecku i dopiero w I wieku p.n.e. — które Żydzi nie uznali za kanoniczną, gdyż zawierała elementy obce im duchowo. Natomiast przeciwnie duszę ciała esseńcy, a także Jezus, lecz jest to doktryna pochodzenia irańskiego i greckiego. Kapłani żydowscy, zgodnie z Pis-

mem Świętym, nauczali, że „dusze giną wraz z ciałami” (Flawiusz).

4. Na podstawie sprawiedliwego wyroku sądu dusze ludzi dobrych udają się do raju („siedziby hymnów”), a złych zostają wtrącone w mroczną otchłań piekielną. Natomiast dusze osób częściowo dobrych i złych przebywać będą niby w czystcu i oczekiwać na dzień sądu ostatecznego. Koncepcja trzech sfer zwiazanych z retribucją pośmiertną — nieba, czystca i piekła — ugruntowana jest w religii chrześcijańskiej, lecz również nie pochodzi z judaizmu. Bóg Jahwe ze Starego Testamentu nic nie wie o istnieniu nieba i piekła, a tym bardziej czystca.

5. Zaratusztra przepowiadał, że kiedyś nieuchronnie nastąpi koniec świata. Fakt ten poprzedzi przyście Zbawiciela (Saosz-janta), który narodził się z dziewicy i odpowiednio przygotuje ludzkość. U kresu świata wszyscy zmarli zmartwychwstaną, aby stanąć przed sądem ostatecznym. To także znamy z chrześcijaństwa. W judaizmie zaś idea zmartwychwstania pojawiła się w II wieku p.n.e., a szerzej upowszechniła od 70 roku n.e., czyli po upadku powstania antyrzymskiego, zburzeniu Jeruzolimy i spaleniu świątyni. Koncepcji zmartwychwstania ciała nie mieli Żydzi, jednak zaakceptowali saduceusze, ponieważ nie potwierdzala jej Tora.

6. W etyce zaratusztriańskiej najwyższe cenione są: prawdomówność, niekrywdzenie innych, czystość fizyczna i duchowa, hojność wobec ubogich. Szczególnie ostro potępia się kłamstwo i oszustwo. Nauka mówienia prawdy należała u Persów do kardynalnych zasad wychowania, o czym pisał Herodot z Halikarnasu. Na pytanie proroka — które stworzenie jest najszlachetniejsze? — Ahura Mazda miał odpowiedzieć: „Człowiek, który nosi prawdę w sercu i nie czyni krzywdy innym.” A król Dariusz kazał wyrzeć na pewnej górze następujący znamieny napis: „Pomagał mi Ahura Mazda i inni bogowie, jacy są, bo nie byłem kłamliwy i gwałtowny, i nie żywiłem do nikogo nienawiści, ani ja, ani mój ród.” Trudno nam wprawdzie uwierzyć w szerokość Dariusza, lecz możemy przekonać się z tej inskrypcji, jakie postawy najbardziej ce-

niono. Charakterystyczne jest też, że król nie zaprezentował się jako monoteista, ale może inaczej nie mógł panując w imperium wielowyznaniowym. 7. W zaratusztrianizmie spotykamy instytucję spowiedzi i żalu za grzechy wobec kapłana oraz pokuty. Przy czym praktykowane różne formy pokuty: od modlitwy i ofiary do użytecznej pracy społecznej i kary chłosty. W ramach kultu Zaratusztra odrzucił krwawe ofiary i picie specjalnego napoju odurzającego (haomy — „oddalającej śmierć”). Zamiast nich składano w ofierze chleb oraz mleko lub bezalkoholowy sok. Ponadto ważną rolę odgrywał kult ognia. Kapłani musieli podtrzymać wieczny ogień jako symbol Ahura Mazdy. Początkowo odprawiano nabożeństwa pod gołym niebem, przy kamiennych ołtarzach, a później budowano skromne „wiątynie. Największym świętem zaratusztrian był Nou-ruz, co brzmi dość swojsko i znaczy po prostu — Nowy Rok Dla każdego dnia kalendarzowego, co także nasuwa analogie z chrześcijaństwem, ustalono jakiegoś świętego patrona. Swojego amola stróża miał też każdy człowiek.

Jak z powyższego wynika, chrześcijaństwo więcej chyba zawdzięcza mało znanemu lub zapomnianemu prorokowi irańskiemu, aniżeli judaizmowi. Wprawdzie Jezus Chrystus był Żydem, lecz wychowywał się w środowisku raczej wieloetnicznym. O Galilei Żydzi z pogardą mówili, że to „okrug pogan” (gall haggoim). Mieszkali tu od wieków sporo Greków i innych ludów, natomiast Żydzi należeli do rzadkości. Stąd też w ewangelii Janowej Natanael powątpiewa o Jezusie: „Czyż może być coś dobrego z Nazaretu?” Ale właśnie owa „Galilea pogan” (św. Mateusz) — kraj obcych — była otwarta na nowe idee. I dlatego stała się kolebką wielkiej religii uniwersalnej. W religii tej wszakże wyraźnie są ślady doktryny Zaratusztry, o czym warto pamiętać.

EDMUND LEWANDOWSKI

Od redakcji: Zaratusztra jest wybrana przez autora formą słowną, jedna z trzech — obok Zaratusztra lub Zoroaster — równorzędnie używanych.

Japoński „cud oświatowy”

Z wiadomych przyczyn, a ściślej określając — z powodu czyjejś niefortunnnej, bo chyba nieprzemysłanej wypowiedzi hasło „Japonia” stało się dla znacznej części polskiego społeczeństwa synonimem nie tylko niezwykle szybkiego skoku cywilizacyjnego, ale i nieograniczonych możliwości. To prawda zresztą, że za życia mniej więcej trzech pokoleń, jako bodaj jedyny w nowszych czasach kraj zacofany, zdolała Japonia, dzięki bezprzykładnemu i świetnie zorganizowanemu wysiłkowi i wielkim wyrzeczeniom społeczeństwa, zrównać się w dziedzinie naukowo-technicznej z nieliczną grupą państw przodujących, a pod niejednym względem uzyskać nawet światowy prymat. Prawda też, że towarzyszyło temu procesowi, choć już nie tak widoczne równanie poziomu życia do najbogatszych społeczeństw, charakteryzującego się jednak nadal dużymi kontrastami społecznymi.

Niemalą rolę w tym ogólnym postępie odegrało japońskie szkolnictwo, które dla wielu ludzi za granicą uchodzi za wzór godny podziwu i naśladowania. Nie brak zresztą takich opinii i w samej Japonii. Jeden z działaczy związku nauczycielstwa Ako Fukushima stwierdza dumnie: „stworzyliśmy w zasadzie najlepszy system szkolny na świecie”, a były premier Takeo Fukuda mówi wprost o „najwyższym w świecie poziomie nauczania”. Dane statystyczne zdają się tę opinię uzasadniać. Dziewięćdziesięć procent podstawową kończy 99,98 procenta uczniów, co stanowi rekord absolutny i oznacza, że nie kończy jej tylko jedno dziecko na pięć tysięcy. Procent analfabetów wynosi obecnie zaledwie 0,4, gdy dla przykładu w RFN jest ich przeszło 2 proc. Do szkoły średniej przystępuje aż 94 proc. absolwentów szkół podstawowych (w RFN niecałe 35 proc.), a z kolei 38 proc. japońskich maturzystów wstępuje na studia wyższe. W 446 uczelniach akademickich studuje przeszło dwa miliony młodzieży, z których, jak stwierdza statystyka, dyplom uzyskują poza nielicznymi wyjątkami prawie wszyscy.

Oto więc najwyższa w świecie efektywność systemu nauczania i najszersza jego demokratyzacja, można bowiem być pewnym, że spośród dzieci rozpoczynających naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej przeszło jedna trzecia uzyska w przyszłości dyplom ukończenia wyższej uczelni. Czyżby to był najzdolniejszy naród lub najpracowitszy? A może jedno i drugie?

Za tymi liczbami jednak, jak twierdzi zachodniomiejscy tygodnik „Der Spiegel” kryje się rzeczywistość nie zawsze godna zazdrości, przynajmniej z europejskiego czy amerykańskiego punktu widzenia. Bo chociaż sami rodzice japońscy i cały system oświatowo-wychowawczy wywierają nieustanną, skoncentrowaną presję na dzieci i młodzież wpajając młodemu pokoleniu przekonanie, że najpewniejszą drogą wybiecia się w społeczeństwie,

uzyskania społecznego prestiżu i zdobycia korzystnej sytuacji materialnej jest wykształcenie, pojawiają się też opinie, że koszty (i to nie tylko finansowe) uzyskania wykształcenia, zwłaszcza wyższego, są w Japonii zbyt wielkie.

Jak czytamy w art. „Twój kolega twoim naturalnym wrogiem” (nr 9 „Spiegla” z 28 lutego br), głównym rysem systemu nauki w tym kraju jest „wkuwanie, posłuszeństwo i podporządkowanie”. Padają też przykłady. Oto dwunastoletniego ucznia, przebywającego w tokijskim szpitalu odwiedza codziennie matka i za każdym razem przynosi mu jakąś lekturę z zakresu szkolnego programu. „To po to — oznajmia z dumą uczeń — żebym nie stracił kontaktu z przerabianym materiałem. Matka mówi, że powinienem być twardym chłopakiem i zmuszać się do nauki nawet wbrew bólowi”. Żaden lekarz nie opouje, mimo iż młody pacjent trafił tu z wrzodem żołądka, wywołanym przez szkolne stresy, związane z nadmiernymi obciążeniami.

W samych tylko tokijskich szpitalach uruchomiono już kilkanaście oddziałów dla dzieci z dolegliwościami przewodu pokarmowego, spowodowanymi napięciami w trakcie nauki szkolnej. Jeden z ordynatorów poinformował, że jego najmłodszym, trzynastolatkiem nabrał się wrzodu żołądka w przedszkolu, w czasie zbyt intensywnej nauki skomplikowanego japońskiego alfabetu. Nie wszyscy uczniowie potrafią znieść surowe szkolne rygory. Jeden z piętnastoletków, syn profesora uniwersytetu z Osaki, pozostawił na biurku list do rodziców: „Lepiej będzie dla mnie umrzeć, ponieważ dalsza nauka nie ma sensu.” Jak się okazuje w ubiegłym roku przeszło trzy tysiące uczniów targnęło się na życie (w wielu wypadkach skutecznie), z powodu szkolnych kłopotów, a trzy czwarte z ogólnej liczby ankietowanych uczniów, na pytanie o największy problem życia odpowiedziało krótko: „Szkoła!”

Niedawno wstrząsnęło japońską opinią morderstwo popełnione przez dwudziestoletniego studenta na rodzicach, wywierających na niego nieustanny nacisk, żeby osiągał nie gorsze wyniki w nauce niż ojciec i dziadek. Takich usiłowań morderstwa lub zabójstwa dokonanych na najbliższych osobach popełniła japońska młodzież w ubiegłym roku przeszło dwięście.

Jak pisze prasa japońska, ciężca na nauczycielach odpowiedzialność moralna za to, żeby każdy uczeń rozpoczynający naukę kończył ją w przepisowym terminie doprowadza w rzeczywistości do zaniżania wymagań wobec klasy, bo tam „gdzie każdy musi być promowany, destosowuje się poziom nauczania do najslabszych”. Toteż zaczęły ostatnio mnożyć się głosy pedagogów, stwierdzających bez ogródek, że przeciętny poziom nauczania w japońskim szkolnictwie, nie wyłączając większości uczelni „jest znacznie poniżej poziomu światowego”.

Najbardziej znane uniwersytety, jak „Todai” w Tokio pozostają jednak nadal przedmiotem aspiracji zarówno młodzieży, jak i rodziców. Jeden ze studentów powiedział dziennikarzowi: „Jeżeli nie uzyskam dyplomu na Todai, to ojciec mnie wydziedziczy. A ja chcę objąć po nim przedsiębiorstwo”. Zresztą pomyślnie ukończenie tej uczelni i jeszcze kilku innych uniwersytetów otwiera drogę do najwyższych w kraju stanowisk.

Ogromna większość, bo 88 proc. ankietowanych rodziców oświadczyła, że ukończenie renomowanej uczelni więcej znaczy, niż faktyczna wiedza, i dlatego ułokowanie dziecka na jednym z siedmiu liczących się uniwersytetów warte jest wszelkich kosztów i wyrzeczeń. A koszt kształcenia jest w Japonii niebagatelny, większość bowiem szkół, łącznie z wyższymi uczelniami, to instytucje prywatne.

Tej wielokierunkowej presji ulega też oczywiście młodzież, i to od najmłodszych lat, ponieważ cały system szkolny i program nauczania nakierowane są na przygotowanie do przyszłych studiów wyższych. Ostrzeżenia pedagogów i wychowawców, zamie-

szczone głównie w fachowych czasopiśmiech nie wywierają, jak dotychczas, żadnego wpływu na szkolnictwo, które nastawione jest nadal w swojej masie na mechaniczne, pamięciowe przyswajanie materiału nauczania, a indywidualna dociekliwość i przejawy samodzielnego, krytycznego myślenia nie są tolerowane. Nic więc dziwnego — zauważa „Spiegel” — że z czterech od 1949 r. japońskich laureatów Nobla z dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych ani jeden nie jest absolwentem japońskiego uniwersytetu.

A jednemu: szkolnictwo, z moralną aprobatą społeczeństwa, pozostaje przy swoim zrutyinizowanym systemie, co może się wydać dziwne w odniesieniu do kraju, którego przemysł i technika utrzymują wysoką konkurencyjność na światowym rynku. Otróż wielkie przedsiębiorstwa o międzynarodowym znaczeniu przyjmują absolwentów japońskich wyższych uczelni traktując ich jedynie jako fachowy „półprodukt”, dokształcając natomiast innych spośród nich w finansowanych przez siebie instytucjach naukowo-technicznych.

Artykuł „Spiegla”, odsłaniający kulisy japońskiego systemu oświatowego, konstatuje mimochodem, iż jest on nie do pomysłenia w Europie. Przypuszczalnie autor ma na myśli głównie młodzież zachodniomiejscą Wynikałoby z tego, że nawet RFN trudno byłoby przekształcić w „drugą Japonię”.

Oprac.: J. K.

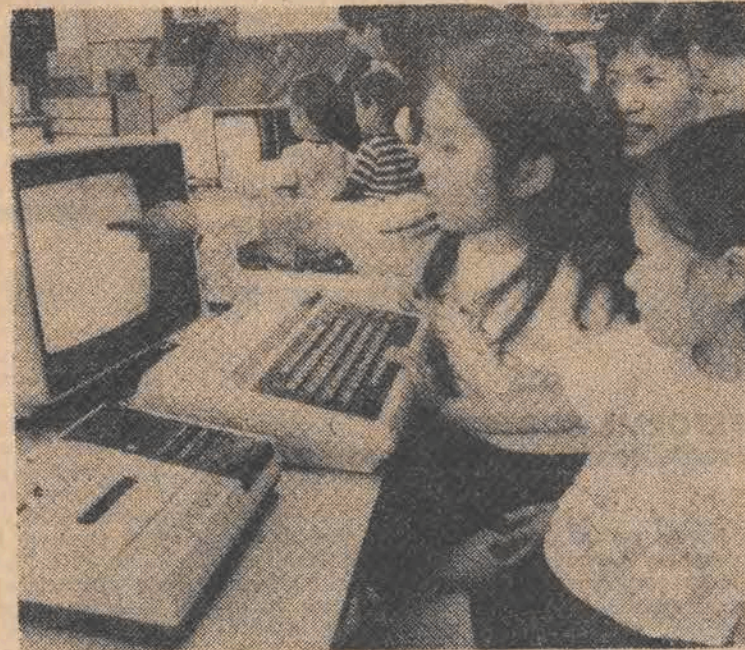




Foto: M. Zajdler

Wierzyć we własne siły

Rozmowa z zawodnikiem RTS Widzew — WIESŁAWEM WRAGĄ

CZĘŚĆ I. PRZED MECZEM W LIVERPOOLU

— Kibice pamiętają pańskie wejście na boisko w meczu Widzewa z wiedeńskim Rapidem i w meczu z Liverpoolem w Łodzi. Za każdym razem strzelił pan ważną dla ogólnego wyniku bramkę. Nie bez podstaw nazywa się pana najlepszym zmiannym w Polsce. Czy pana to zadowala?

— Nie.
— Dlaczego?
— Moim celem jest zdobycie stałego miejsca w jedenastce Widzewa. Takie wchodzenie w czasie meczu na boisko z zamiarem i zadaniem strzelenia gola może się któregoś razu nie udać. Przeciwnik przecież też nie śpi na boisku. Jest się wtedy bardzo obciążonym psychicznie. Kibice czekają na celny strzał. Koleśdy czekają. Trener czeka. A przeciwnik robi wszystko, aby uniemożliwić. Kibice tego nie darują.

Natomiast stałe miejsce w drużynie pozwala grać przez cały mecz i dobrą grą przyczynić się do stworzenia strzeleckich sytuacji dla siebie lub kolegów. To też decyduje o wyniku, choć jest mniej efektowne.

— I to wszystko?
— Stałe miejsce w drużynie i ciągła obecność w meczach ligowych pozwalają z jednej strony zgrać się z drużyną, a z drugiej pokazać się selekcjonerom, co może dać w rezultacie powołanie do reprezentacji kraju albo do kadry olimpijskiej.

— Teraz nie gra pan nigdzie poza klubem?
— Gram. Jestem kapitanem reprezentacyjnej drużyny juniorów.

— Jak dawno gra pan w piłkę nożną?
— Od 14 roku życia.

— A ile pan ma lat?
— Dziewiętnaście i pół.

— To znaczy, że gra pan już pięć i pół roku. A jak to się zaczęło?

— Zwyczajnie. Na podwórku. Brat, który bardzo lubił grać w piłkę, namówił mnie do tego. Uczył i pomagał. Czasem karał, jak mi coś nie wychodziło.

— Jak to karał? Bil pana?

— Zdarzało się, że przyłożył. Kiedy miałem 14 lat, zapisałem się do Kolejarskiego Klubu Sportowego Błękitni w Stargardzie. A jak miałem 15 lat, to wystąpiłem w drużynie seniorów. Tak się złożyło, że tego dnia zegnano zawodnika, który ukończył 30 lat i przestawał uprawiać sport, a ja rozpoczynałem. Wtedy strzeliłem swoją pierwszą, taką już poważną, liczącą się bramkę.

— Pochodzi pan ze Stargardu?

— Tak, tam się urodziłem. Tam też rozpocząłem karierę piłkarską. Z KKS Błękitni zostałem powołany do reprezentacji Szczecina, a później do kadry juniorów. Rozegrałem 46 spotkań i strzeliłem 10 bramek. Po mistrzostwach Europy juniorów w Finlandii otrzymałem kilka propozycji przejścia do innych klubów. Między nimi od RTS Widzew.

— Dlaczego wybrał pan akurat tę propozycję?

— Jak już spaść, to z dobrego konia. Jest to bez wątpienia najlepszy klub w Polsce. Nie po to zmieniałem klub, aby siedzieć na ławce rezerwowych i czekać wiadomo na co, jak to zdarza się w niektórych klubach.

— I jest pan zadowolony z decyzji?

— Bardzo. I bardzo jestem wdzięczny prezesowi Sobolewskiemu i kierownikowi drużyny, że mnie dostrzegli. Zostałem sympatycznie przyjęty przez kolegów. Do tej pory nigdy nie byłem w Łodzi. Nie znalazłem tu nikogo.

— A jak przyjęli pana utytułowani, sławni koledzy, których w Widzewie nie brakowało?

— Zbyszka Bońka i Władysława Żmudy oraz Józefa Młynarczyka nie było wówczas w drużynie, bo byli na mistrzostwach świata. Nie miałem więc z Bońkiem i Żmudą bliższego kontaktu, bo zaraz później wyjechali do Włoch. Ale teraz, kiedy byliśmy we Włoszech, to rozmawiałem z nimi. Podobała im się bramka, jaką tam strzeliłem.

— W drużynie są jeszcze Włodzimierz Smolarek i Józef Młynarczyk. Jak się z nimi układa współpraca?

— Bardzo dobrze. Znakomicie mi się gra z Włodkiem Smolarkiem. W lidze strzeliłem trzy bramki i wszystkie trzy z podania Włodka.

— Czy Włodzimierz Smolarek jest dla pana wzorem?

— Na pewno biorę z niego przykład, ale przede wszystkim chciałbym być Wiesławem Wragą.

— Nie powiedział pan nic o Józefie Młynarczyku.

— Jest to wspaniały człowiek i kolega. Jest on przecież trzecim bramkarzem świata, ale nigdy nie daje po sobie tego poznać. Jest bardzo sympatyczny i koleżeński.

— Ile pan ma wzrostu?
— 167 cm.

— Przychodzi pan walczyć na boisku z zawodnikami znacznie wyższymi od pana. Nie boi się ich pan?

— Nie. Wychodzący w drużynie z założenia, że nie ma na świecie takiego zawodnika, którego nie można ograć. Poza tym różne warunki fizyczne dają różne możliwości. W pojedynku z wysokim i silnym zawodnikiem okazuję się zwinniejszym i szybszym. W ogóle koledzy mi mówią, że za dużo biegam po boisku, że powinienem oszczędzać siły, aby wykorzystać je w decydującym momencie.

— I sądzi pan, że słusznie?
— Są zawodnicy o różnych temperamentach i uosobieniu. Ja staram się być wszędzie tam, gdzie mogę okazać się potrzebny.

— Czy w meczu z Liverpoolem w Łodzi wiedział pan, że wejdzie na boisko?

— Było nas trzech kandydatów: Filipczak, Woźniak i ja. Bardzo chciałem. No i stało się.

— Co pan sądzi o czekającym was meczu w Liverpoolu?

— Będziemy walczyć, aby utrzymać dobry wynik i wygrać awans.

— A jak przegracie?

— Może się i tak zdarzyć, Liverpool to najlepsza angielska drużyna.

— Wprawdzie angielscy specjaliści nie najlepiej sądzą o angielskiej piłce nożnej, ale to inna sprawa. Jak pan myśli, kibice wybaczyliby wam przegraną?

— Kibice są u nas niesprawiedliwi. Kiedy graliśmy z Liverpoolem na stadionie ŁKS, to wszyscy byli za nami. W trzy dni później, kiedy graliśmy z ŁKS, to wykrzykiwali pod naszym adresem brzydkie wyrazy.

— Byli to pewnie kibice ŁKS.

— Kibice powinni pomagać swojej drużynie. Nie byłem jeszcze w Anglii, nie wiem, jaki tam jest nastrój na boisku, ale byłem we Włoszech. Kiedy Platini z 30 metrów od bramki podawał piłkę, to widownia biła brawo. To ładuje zawodników, uskrzydla ich.

— Co pan woli, mecze ligowe czy w reprezentacji juniorów?

— Tego nie można porównywać. Mecze w reprezentacji są wyróżnieniem. Grają hymn, czuje się, że reprezentuje się kraj, że nie należy mu przynieść wstydu. Czym innym są mecze w lidze. Pochodzimy wprawdzie z różnych miast, ale łączą nas chęć uprawiania dobrej piłki nożnej, wygrania, łączy nas charakter, jaki ma widzeńska drużyna.

— Coście zrobili z tortem, który dostaliście od „Hortexu”?

— Zjedliśmy.

— Z Anglikami nie podzieliście się?

— Nie, oni zaraz odjechali do Warszawy. A tort był dla nas.

— Ważył 16 kilo.

— Jedli wszyscy. Z drużyny, z klubu.

— Jaką część pan dostał?

— Z samego środka, z bardzo słodką piłką.

— Pali pan?

— Nie. Nie ciągnę mnie.

— Zdarza się panu wypić?

— Czasami. Kieliszek szampana albo wina.

— Dostaje pan listy od kibiców?

— Czasem przychodzą.

— Co piszą, jeśli to nie tajemnica?

— Gratulują. Proszą o zdjęcie, autograf.

— Wysła pan?

— Staram się.

— Dziewczeta nie proponują małżeństwa?

— Jakoś nie. Raz dostałem 2 bilety do kina i numer telefonu; jeśli nie mam dziewczyny, to mogę zadzwonić.

— Zadzwonił pan?

— Nie było czasu.

— Tyle czasu pochłaniają treningi?

— Nie tylko. Uczę się zaocznie w V klasie Technikum Mechanicznego. Muszę przygotować i obronić pracę dyplomową.

— Da pan radę?

— Nauczyciele pomagają. Muszę.

— A co dalej? Myśli pan o tym?

— Tak. Chciałbym później ukończyć AWF. Zostałbym albo trenerem albo nauczycielem wychowania fizycznego. To mnie pociąga.

— Ma pan bez wątpienia więcej pieniędzy niż pańscy rówieśnicy. Co pan z nimi robi?

— Nie tyle, ile ludzie myślą. Nie mam samochodu. Jeżdżę autobusem po Łodzi. Urząd mam mieszkanie. Wyszedłem z założenia, że skoro mam spędzić 5 lat w Łodzi, to nie mogę koczować.

— A co będzie później?

— Tego jeszcze nie wiem.

— Czy po meble stoi pan w kolejce do „Domusu”?

— Nie dałbym rady. Nie mam na to czasu. Klub mi pomaga.

— Skoro urządza pan mieszkanie, to może ma pan jakieś plany matrymonialne?

— Nie. Mam na to czas.

— A kto panu prowadzi gospodarstwo?

— Sam.

— I stoi pan w kolejce po różne kartkowe artykuły spożywcze?

— Nie. Pomaga mi w tym pani Basia z kawiarni klubowej. Bez niej bym zginął z głodu. Obiady jem w restauracji.

— W domu, w Stargardzie też pan sam wszystko robił?

— Nie. Robiła to mama.

— Nie tęskni pan teraz za mamą?

— Przyznam się pani, że kiedy wracamy z dłuższej nieobecności i widzę, jak wszyscy koledzy uciekają do domów, gdzie czekają na nich żony i dzieci, gdzie będą mieli wszystko podane, to robi mi się żal. Podobnie i innym kolegom kawalerom. Na nas czeka puste mieszkanie. I wszystko musimy sami zrobić.

— Pranie też?

— Jak tylko mam okazję, podrzucam mamie do Stargardu, gdzie mieszka też brat, lub siostrze do Katowic.

— Kiedy wybrała się pan do rodziców?

— Chciałbym na Wielkanoc, ale mecz... Nie wiem czy pojedę.

CZĘŚĆ II. PO MECZU W LIVERPOOLU

— Dotarło do was to, co na temat Widzewa pisali angielscy dziennikarze?

— Owzajem.

— Jak to przyjęliście?

— Podnieciło to nas, złościło, podbudoowało do lepszej walki. Jak nas tak traktują, to my im pokazemy, co potrafimy.

— I pokazaliście. Nawet publiczność brytyjska potrafiła to ocenić. Czy wam ten bezustanny doping nie przeszkadzał?

— Nie. Zmuszał tylko do walki.

— Słyszeliście się w tym ryku?

— Trudno było. Z niewielkiej odległości tak.

— Czy te dwa gole w ostatnich minutach meczu nie były wynikiem dekoncentracji? Przeważało, że już nie wam awansu nie odbierze?

— Coś z tego chyba było. Ale to nie znaczy, że nie chcieliśmy wygrać. Mecz toczył się jednak w bardzo trudnych warunkach. Boisko było niebawale grząskie.



Foto: M. Zajdler

— Anglicy jednak podawali celnie.
— Ale myśmy awansowali, a nie oni.
— Co pan czuł, gdy Anglicy strzelali karnego?
— Bałem się. Miałem jednak nadzieję, wierzyłem niemal, że Józef Młynarczyk obroni. Ale, jak padł strzał... Odetchnąłem dopiero po naszym karnym.

— Był pan kontuzjowany.

— Piłka trafiła mnie w czoło. Jeszcze po meczu bolała mnie głowa.

— Na ekranie telewizyjnym wyglądało to tak, jakby stracił pan na chwilę przytomność?

— Nie, ale solidnie mnie to uderzenie zamroczyło.

— Czy dlatego, że miał pan kontuzję zmienił pana trener?

— Chyba nie. Grając jednak w pomocy sporo się nabiegałem, namięczylem. Poza tym Mirek Myśliński też chciałby zagrać w takim meczu. Jemu to się też należało. I zagrał.

— Jakie wrażenia przywiózł pan z Anglii?

— Nigdzie nie byliśmy. Mieliśmy tylko 3 godziny na jakieś zakupy. Cały czas przygotowywaliśmy się do meczu.

— Czy dotarła do was plotka o Józefie Młynarczyku?

— Nie. A co mówili?

— Że Liverpool przysłał telex o zamiarze kupna Józefa Młynarczyka i to tuż przed meczem.

— Po meczu, jeszcze przed naszym powrotem był telefon, że przegraliśmy ten mecz wal-kowerem, bo Mirek Myśliński nie był zgłoszony. W klubie powiało grozą. Sprawdził i okazało się, że wszystko jest w porządku.

— Komuś widać zależy na sianiu fermentu w zespole i w klubie. Jak przyjął pan wynik tego nieszczęsnego losowania?

— Dlaczego nieszczęsnego? Będzie okazja o-bejrzania w Polsce dobrej drużyny europejskiej. I to w Łodzi.

— Czy po awansie do półfinału nie uderzy wam woda sodowa?

— Nie powinna. Dla nas ważne jest przede wszystkim to, że już teraz na nas inaczej patrzą na europejskich boiskach. Pokazaliśmy sobie i innym, że umiemy grać w piłkę nożną.

— Kogo w Juventusie boi się pan najbardziej?

— Tam wszystkich trzeba się bać. Choć to nie jest właściwe słowo. Jeśli drużyna ma wyjść na boisko ze strachem, to lepiej niech nie wychodzi. Piłkarze muszą wierzyć we własne siły, inaczej nie będzie walki. Myśmy uwierzyli.

— No a bramkarz Juventusu, słynny Dino Zoff?

— Grałem już przeciwko niemu. Co prawda było to w innych warunkach, nasza drużyna dopiero była w budowie. Ale jemu też piłkarze strzelają gole.

— Czy jak graliście z Juventusem, to myśleliście, że możecie się spotkać w rywalizacji pucharowej?

— Nie myśleliśmy o tym.

— Jak pan sądzi, łatwo będzie grać przeciw Zbigniewowi Bońkowi?

— Ja bym odwrócił pytanie. Czy jemu będzie łatwo grać przeciw nam? Kiedy Widzew grał z Błękitnymi ze Stargardu, a dla mnie był to mecz pożegnalny, to odczułem jak to trudno jest grać przeciw swojej byłej drużynie. A to był tylko mecz towarzyski. Każdy piłkarz gra dla swojego zespołu.

— Czy marzy pan czasami o finale?

— Nie. Wie pani o czym marzę? Żeby zremisować w Turynie.

— Sądzi pan, że to lepiej, że pierwszy mecz grać na wyjeździe?

— Pewnie, że lepiej. U siebie zawsze gra się inaczej.

— Nie boi się pan, że teraz wszystkie ligowe zespoły będą chciały wygrać z Widzewem?

— To już się dzieje od dwóch lat. Ale tu nie o strach chodzi, tylko o to, jak się nie dać i wygrać. Na wszystko musi być sposób.

— A kontuzje?

— Doświadczony i dobrze przygotowany piłkarz powinien wiedzieć jak uniknąć kontuzji. Pewnie, że czasem to się nie udaje.

— Rozmawiał pan po meczu z rodzicami?

— Nie było kiedy. Rozmawiałem z siostrą i bratem. Mama pewnie nie spała przed meczem. A ojciec po meczu zbierał gratulacje od kolegów. Brat zresztą też. Mówił mi o tym.

— Jest pan zadowolony z siebie po meczu z Liverpoolem?

— Tylko trener może właściwie ocenić moją grę. Zadowolony jestem tylko z tego, że nasza drużyna sprawiła polskiej publiczności tyle radości. Dziś, kiedy tak trudno nam się żyje, to jest bardzo ważne.

— Czy piłkarze dobrze śpią po meczu?

— Nie. Przynajmniej nie wszyscy. Niektórzy z nas śnią się mecze. Inni nie mogą zasnąć, gdyż przeżywają jeszcze raz to wszystko, co działo się na boisku, analizują błędy, żalują straconych okazji.

— A przed meczem?

— Też nie najlepiej.

— Co wam się śni teraz?

— Mecz z Juventusem.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Dokończenie ze strony 1

Zalóżmy jednak, że przedarłeś się przez hotelowe zasieki. Pół roboty za toba. Idziesz długim korytarzem i schodzisz do dyska. Po lewej stronie szatnia, na wprost stolik, przy którym siedzi cember. W szatni nie ma numerków, więc przyjmują tylko płaszcz, spótkę z ograniczoną odpowiedzialnością; jak zgłnie płaszcz, to kierowniczką szatni wydyli, a jak zagłnie, broń Boże, kożuch, nie wydyli, bo kożuch kosztuje teraz drożej niż kiedyś kosztował mały fiat Szatnia w „Kasprowym”, podobnie jak narcizarnia, bilardziarnia, sauna, basen i szynkwasy, świadczy dodatkowo usługi dla ludności i nie chodzi mi wcale o sutenerstwo (odcinam się od tego, nie wykluczając, że może dojść do rozprawy sądowej), jeno o buty, różne muay, luny, foki i pumpuny, które stoją tutaj od piętnastu tysięcy wżwyz.

Co się tyczy cembera, jest to czelowiek o złotym sercu — w dysku już od dawna nie ma miejsca: ani przy stolikach, ani przy bufecie, ani na parkiecie, ani nawet na podłodze, on jednak dalej sprzedaje bilety; cztery setki konspicja, setka wejście. Klauzula najwyższego uprzywilejowania obejmuje zarówno trzeźwych, jak pijanych, ale trzeba przyznać, że tych ostatnich można policzyć na palcach.

Ktoś ryknął w tym momencie: — Bravo, Kasprowy! —

Ano, bravo! Bravo! Wprawdzie potencjalnych piaków jest dokładnie tyłu ilu gości, ale gram wócki osiągnął w dyskoteczce cenę grama złota. Lód i zalana coca-cola kropelką ginu skreśla kartę konsumpcyjną. Zerol! Warto dodać, że chodzi tu o polski gin, kilkaset złotych w sklepie, taki, którego nie przelknie żaden szanujący się alkoholik. Słowa od razu układają się pod melodie: — Tak bym chciał barmanką być, barmanką być, barmanką być, i w hotelu luksusowym z frakterami pić. — Karce się w duchu za ten wierszyk Tandeta. Za butelkę szampana płacisz grube tysiące, a jeszcze niedawno z okazji pierwszej podwyżki cen na alkohol, wzmawiano nam, że dla ożywienia życia towarzyskiego znieśie się albo ograniczy w lokalach gastronomicznych marżę.

Basen — sto sauna — trzyście, masaże specjalny — ja nie wiem... Ten i ów powie: — Jak panu drogo, niech pan jedzie do Lagiewnik! — Ktoś doda: — Takie lokale, obywatelu, są potrzebne, w takich lokalach, towarzyszu, ściągamy pieniądze z rekinów finansjery.

Nie zgadzam się! Takie lokale psują krew, tym bardziej, że korzystają z nich przede wszystkim Polacy. Takie lokale zachęcają do oszustwa i na zasadzie złego przykładu podbijają ceny w innych, skromniejszych lokalach. Możesz sobie posłuchać dialogów na Krupówkach lub na Gubałówce.

— Wczoraj puściłem dychę.
— Gdzie?
— W „Kasprowym”.
— No, proszę! A ja wczoraj

Kociol w Zakopanem

wydałem w „Giewoncie” piętnaście.
Zamożność i zabawa, to naprawdę fajne rzeczy. Bardzo lubię zamożnych i zabawnych ludzi w kraju i kwitnącym dobrobycie. Kiedy jednak widzę, jak dychę czy piętnaście trwonni w ciągu nocy dwudziestoletni gnojek, to coś takiego jest niemoralne nawet w Stanach Zjednoczonych. Do diabła! Przecież nie zarobili tych pieniędzy. A ma! Nie pracował. A szastał! Patrzy na to jego biedny rówieśnik i... będę klepskim moralistą, jeśli dodam: i wyciąga wnioski, lecz wyciąga je naprawdę. I to wcale nie-kiepskie.

Dzielo mistrza z Rotterdamu, „Pochwała gupoty”, święci w Polsce triumf niebawym, chociaż nikt go zapewne nie czyta. Podejrzenie, iż każdy głupiec ma wszelako swój rozum, sprawdza się na szerokim froncie. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” również jest przysłowiem adekwatnym w odniesieniu do naszej góralskiej rzeczywistości... Najgorsze popychadzo, co to posłiznęła mu się noga w klasie przestępnej, albo na maturze: żyje sobie jak panisko.

Przypomina mi się dowcip ze starego „Podwieczorku przy mikrofonie”. Dziennikarz przeprowadził wywiad z pewnym podestym w latach jego mościem o biedaczej przeszłości. Jego-

mość chwali kraj, który pomógł mu wykształcić synów. Pierwszy syn został profesorem, drugi nauczycielem, a trzeci inżynierem. Wszystkim trzem powodzi się doskonale, a to dzięki czwartemu synowi, który jest pomocnikiem kuchcika w podrzędnej knajpie.

Dosyć!
Wziąłem leżak z prywatnej wypożyczalni (też interes!) i usiadłem sobie dla odmiany pod Kociółcem. Jest to rejon dla wczasowiczów podjęzszego gatunku — tych rozmarzonych, błękitnookich, którzy niewiele mają, ale dużo rozmyślają.

Jeden wzdycha:
— Postawić tutaj chatkę. Chryste! Jedno piętrowo tylko, trzy pokoje na dole, trzy na górze, dwie łazienki, dwie ubikacje i polaczona z kuchnią jadalnia. Wszystko na wysokim polysku, wódka i piwo dla zaufanych, ścisła kontrola gości, kilka pięknych, ściągniętych z Krakowa kelnerko-pokojuków. W przybudówce, dla niepoznaki, bogaty serwis narcizarsko-saneckarski i bufet z herbacatą dla hołoty, aby się nazywało, że właściciel popiera sport i turystykę. Ile kosztuje jedynka w „Kasprowym”?

— Tysiąc czterysta.
— U mnie dwójka kosztowałaby trzysta. Pracowałbym dodatkami, nie powierzęnią. Jakbym się dorobił, trzymałbym parę sań i odpowiednio wypo-

szony wóz gospodarczy, samie dla romantyków, wóz dla wygodnych. Codziennie wycieczki do Morskiego Oka, a wieczorem, na podwórku, ognisko...
Pomysł nie jest specjalnie oryginalny. Świat należy do ludzi sprytnych, z inicjatywą. Nie brakowało takich w kraju, przyjechali i wzięli miasto we władanie. Spotkałem się z opinią, iż w Zakopanem, proporcjonalnie, tyłu jest akurat rodowitych zakopiańczyków, co rodowitych warszawiaków w stolicy. Ci drudzy przyjeżdżali na urzędy, ci pierwsi odznaczali się pasją budowlaną. No i zbudowali Drugie Zakopane, psując to Pierwsze.

Wiem, zdarty temat. Czytelnik dość już me narzekał pod adresem Zakopanego Szanujący się dziennikarza stronią od tego refronu.

No i źle!
Często mawia się z pogardą o bardziej i mniej znanych autorach, że tak czy owak, mimo swoich szczyfowych wysiłków, nie udaje im się ulepszyć ludzkiego padoku. Z drugiej strony, jestem głęboko przekonany, że właśnie dzięki nim, a mam na myśli sferę duchową człowieka, świat nie staje się gorzszym. Coś diabelnie poważnie dzisiaj przemawiam. Sprawdzając zatem sprawę do malego, zakopiańskiego wymiaru, pozwolę sobie wyrazić pogląd, że gdyby w dalszym ciągu trwał dziennikarski nadzór nad tym miastem, byłoby tam o kilkadziesiąt domków-koszaraków mniej.

Wstrętna jest zabudowa centrum i najbliższych okolic. Stanisław Witkiewicz przewraca się zapewne w grobie. Sławny

zakopiański styl utonął na dobre w runawiku cegiel i betonów. Z pięknego skansenu, w którym dominowało drewno, wyrósł duży, zwykłe miasto, rozprzestrzeniające się we wszystkich kierunkach z chamską doprawdy siłą przebiecia.

Czyżby władcy Zakopanego mieli zbyt wielkie ambicje?

Na zakończenie muszę usprawiedliwić jakoś swoje zacie-trzewienie. Skąd bierze się ono? Myli się ten, kto sądzi, że z czystej, bezinteresownej życzliwości. Bardzo Kocham Zakopane. Jako mały, nie najzdrowszy chłopak, spędziłem tam okrągły rok, w willi „Liliana” na Jaszczerówce, z tym, że willa nie należała do mojej rodziny — było to preventorium dziecięce. Chodziłem do normalnej zakopiańskiej szkoły na Bystrym mialeń wśród góralskich rówieśników wielu przyjaciół. Życie, jak to się pięknie mówi, idzie naprzód — nie potrafię już poznać, choćbym chciał, twarzy tych przyjaciół, nie poznaję także miasta, które utrwaliło się w mojej pamięci jako coś bardzo pięknego i czystego.

Nie wykluczam, że dwadzieścia—trzydzieści lat temu ktoś również rozpaczal nad upadkiem Zakopanego, pamiętając je jeszcze starszym i wspanialszym.

Nie wykluczam.

Na pociechę nam wszystkim pozostają góry. Ciągłe jeszcze nie zdobyte przez cwaniaków, i niezmiennie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ciało pełne tajemnic Cudowne jezioro uzdrowiciela

— Macie wśród siebie radiestety, który posiada bardzo silne bioprądy i pewnie już niezadługo Lódź nie będzie musiała zabiegać o sprowadzenie mnie, Nardellogo czy Harrisa — powiedział kilkuset zgromadzonym w największej sali Poleskiego Domu Kultury Jan Putkowski zaproszony do Łodzi przez redakcję „Expressu Ilustrowanego”.

Powysze oświadczenie jednego z czołowych bioenergoterapeutów (tego, o którym Stanisław Nardelli powiada, iż ma do jego umiejętności uzdrowicielskich takie samo zaufanie jak do swoich), wywołało poruszenie wśród zebranych. Podobnie kilka godzin wcześniej piszący te słowa z zainteresowaniem słuchał indywidualnej lekcji uzdrawiania udzielanej przez Jana Putkowskiego uznanego psycho- i bioterapeuta, człowieka, który wielokrotnie udowodnił, iż potrafił nie tylko leczyć dotykami, ale także telepatycznie.

J. Putkowski powiada:
— Jeśli ktoś mnie pyta, jak to się dzieje, że możemy sobie pomagać na odległość, nie potrafimy wyjaśnić tej tajemnicy. Podobnie jak i inni wiem tylko, że nasze bioprądy mają cudowną moc, staramy się więc po prostu wykorzystywać ją dla dobra potrzebujących pomocy ludzi.

Gdy na zaproszenie „Expressu” S. Nardelli przeprowadzał w Łodzi zbiorowy zabieg bioenergetyczny, właśnie Jan Putkowski i pewna bioenergetyczka z Moskwy telepatycznie „doładowywali” swymi bioprądami uzdrowiciela. Oboje znajdowali się w odległości kilkuset metrów od S. Nardellogo, który wówczas był bohaterem dnia, a oni pozostawali w cieniu, choć bez ich pomocy biozabieg nie dałby takiego efektu.

Gdy następnie Jan Putkowski był bohaterem dnia i nadmierne wyładował się pragnąc jak najbardziej pomóc pewnej cierpiącej babci i jej choremu wnuczce (o czym jeszcze będzie mowa), poprosił prezesa Łódzkiego Klubu Radiestety Józefa Jelickego, aby zasilł go swymi bioprądami, a następnie poprosił go, aby przed spotkaniem z kilkusetosobową widownią wycelował go radiestetyjnie z chrypy utrudniającej mówienie. Krótko wyjaśnił J. Jelickeemu, jak to należy uczynić, a po kilku minutach w głosie Putkowskiego nie było już słyhać chrypy.

Przeprowadził on ze swym młodszym kolegą szereg testów. Jeden z nich polegał na stwierdzeniu, który z nich potrafi odpromieniować drogą mentalną mieszkanie na dłuższą ilość lat. O wyniku tego testu teleradiesteta z Bełżca poinformował zebranych na spotkaniu czytelników:

— Ja potrafię mentalnie odpromieniować mieszkanie na okres 33 lat. Natomiast jeden spośród was, jak osobiście stwierdziłem, metodą radiestetyjną, osiąga okres 47 lat — powiedział J. Putkowski. I zaraz wyjaśnił: — Moim zdaniem okres ten zależy od pewnych sfer witalnych tkwiących w człowieku. Ma je, w ilości znacznie większej od przeciętnej, sporo osób. Spotykam się tu z wami, aby wam pomóc ujawnić te niezwykłe możliwości. A jeśli ktoś je stwierdzi u siebie, może wykorzysta nauki, które mu przekazuję.

Przytaczając tutaj różne stwierdzenia J. Putkowskiego doskonale orientuję się, że mogą one budzić u wielu niedowierzanie. Kilkudziesięciu radiestetów łódzkich starannie jednak notowało i nagrywało te pouczenia. Dla nich i dla wielu innych osób było to pogłębianie posiadanej już wiedzy. Zarówno autor, jak i redakcja dalecy są od namawiania kogokolwiek do uprawiania „uzdrowicielstwa”. Leczenie chorych pozostawmy lekarzom. Poniżej jednak wielu lekarzy nie odzignuje się już od tego, aby właśnie bioenergoterapeuci wspomagali ich, szczególnie w pewnych przypadkach, przekazyując im nauki J. Putkowskiego, kierowane do jego ewentualnych następców. Każdy niech weźmie z tych nauk ile zechce. Niosą one przesłanie człowieka głęboko wierzącego. Ogólnoludzkie treści moralne zawarte w tym przesłaniu przemawiają jednak również do ateistów.

SPOSOBY NA REGENERACJE SIŁ

— Odkrycie w sobie bioprądów silniejszych niż u innych, to dopiero początek drogi — powiada J. Putkowski. — Pamiętajcie, aby nie korzystać z tego skarbu zbyt zachłannie. Także nie myślcie o tym, że możecie zrobić majątek. Tak, jak to powinien czynić każdy dobry lekarz, tak i wy zapamiętajcie o tym, że ktoś jest stary i biedny, a inny bogaty. Każdy z nich ma takie samo prawo do waszej pomocy. Pamiętajcie także, że nigdy nie należy zabijać w chorą nadzieję. Bywały przypadki, że lekarze odłaczali już od chorego kropelkę, a on, gdy go wsparł bioprądami, nagle wracał do życia. Moja metoda to leczenie nie tylko bioprądami, także słowami, muzyką, nadzieją. Siebie zaś leczę wesoląścią.

Jan Putkowski zaraz zresztą zastrzegł się, że wesolność nie jest receptą dla wszystkich na regenerację sił. Gdy odkrył w sobie

moce uzdrowicielskie wiele czasu poświęcił na znalezienie sposobu przyspieszonej regeneracji sił zanim odkrył, że dla niego najlepszy jest śniech, żarty, przyspiętki. Jeszcze dłużej poszukiwał drogi do swiego cudownego jeziora uzdrowień.

W opowieściach J. Putkowskiego często powtarza się motywy cudownego jeziora. Wspomina on, że w czasach, gdy poszukiwał najlepszych metod uzdrawiania innych psychoterapią, usłyszał w Horyńcu opowieść o źródle na szczycie góry Wielki Dział. Wybrał się tam. Gdy był na szczycie stwierdził, że takiej wody, jak z tego źródła jeszcze nigdy nie pił. Nie widział też nigdy tak urzekającego miejsca. Pod górą — jak stwierdził radiestetyjnie — znajduje się ogromne jezioro. To jezioro wraz z osłaniającą je górą wiąże się z największym marzeniem bioterapeuty. Chciałby, aby kiedyś na tej górze, nie opodal źródła, stanął jakiś budynek, w którym dyktowałby uzdrowicieli. Aby każdy, kto odczuje potrzebę spotkania się z kimś znającym akupunkturę, kręgarstwo, bioterapię czy inne podobne metody leczenia, mógł tutaj przyjechać. Na górę tej — wedle marzeń Putkowskiego — szkoliliby się ludzie o niezwykłych predyspozycjach...

WYPRAWY, KTÓRE LECZA

Czy realista, jakim jest w gruncie rzeczy J. Putkowski, rzeczywiście wierzy, iż jego marzenie ma szansę realizacji? W każdym razie ta góra osłaniająca jezioro z niezwykłą wodą dla cudownego źródła już dziś daje szczęście wielu ludziom. Opowieść o górze Wielki Dział i związanych z nią marzeniach, stanowi bardzo znaczący element w psychoterapii J. Putkowskiego. Przekonałem się o tym obserwując zabiegi, jakie przeprowadzał.

Wspomniany już wcześniej 9-letni Pawełek słuchał tej opowieści o górze, z równym zainteresowaniem, co i jego babcia. Propozycję uzdrawiania go przez kogoś innego, niż przez lekarza 3-klasistę przyjął jednak z niedowierzaniem. Kiedy nowy wujek polecił mu wygodnie usiąść na krześle, zamknąć oczy i przenieść się wyobraźnią na szczyt opisywanej wyznaczonej góry, Pawełek sceptycznie uśmiechnął się. Jednak po chwili, słuchając o tym, co wujek Janek widzi na tej górze: o jakimś zamczysku, o kuźni i kowalu kującym czerwone żelazo, Pawełek przytaknął:

— Widzę kolorowe iskry syjące się spod młota.
A w chwilę później stwierdził:
— Czuję mrówki chodzące mi po plecach.
Owe „mrówki” były reakcją na przesuwanie rąk nad głową i kręgosłupem dziecka. Gdy zaś uzdrowiciel przesunął dłońmi wzdłuż chorego pecherza Pawła, ten wstrząsnął się oznajmiając, że dopiero teraz poznał co oznacza prawdziwe zimno...

Gdy Jan Putkowski zaprosił z kolei babcie Pawła na tę górę, pokazał jej już całkiem inny widok: właśnie wschodził słońce, ale jest już ciepło. Siedzimy przy krzaku leśnym, w pobliżu szmerze źródło...

Mówiąc to Putkowski trzyma ręce w górze, jakby nimi przywoływał obraz szczytu góry. Po jakimś czasie opuszcza dłoń, aby radiestetyjnie odpromieniować pacjentkę i znów wznosi je w górę oznajmiając:
— Jeszcze raz pójdziemy na szczyt. Teraz zastajemy już inny widok. Kolory otaczające nas zmieniały się, ale też są przyjemne. Prawda?

Babcia potakując przyznaje, że i jej na tej górze podoba się. Po chwili, gdy bioterapeuta przesunął wzdłuż jej ciała dłoń, silnie odczuwa zastrzyk bioprądów. Widac zarówno leżącemu, jak i leczonej wyprawa na tę czarodziejską górę była niezbędna. Im ktoś jest bardziej chory, tym więcej odbywa z uzdrowicielem takich wypraw na szczyt.

— Ja i moi chorzy mamy tę górę — powiada Jan Putkowski — wy, jeśli chcecie uzdrawiać, takie miejsce, lub inną metodę musicie znaleźć sobie sami. Ja najwyżej mogę wam pomóc wejść na tę drogę i ułatwić omińcie przeszkód.

UZDROWICIEL POSZUKUJE NASTĘPCY

Jakby głęboko zamyślony, mówiący sam do siebie, nie zaś do kilkuset słuchaczy Putkowski powiada:
— Często nawiedza mnie taki sen: dorodne lany żyta chylą się pod ciężarem pełnych kłosów, jakby prosząc o skoszenie. Ale chociaż te lany zasypuje już gruba warstwa śniegu na wielkim polu jestem tylko ja, Nardelli i może jeszcze kilku. Budzę się zasmucony, bo wiem, że rzeczywistość jest tylko jednym z nielicznych źródeł, choć chorych potrzebujących pomocy jest tyłu, ile zboża w rok urodzają. Dlatego jeżdżę po Polsce w poszukiwaniu następców. Ponieważ przynajmniej jednego znalazłem u was, przyjmę znowu zaproszenie redakcji „Expressu” i przyjadę dzielić się moją wiedzą.

Z zamiślenia Putkowski wraca znowu do rzeczowego tonu powiadając:
— Nardelli marzy o zorganizowaniu szkoły bioterapeutów. Ja od 20 czerwca do 20 lipca będę u siebie szkolił tych, którzy mają duże predyspozycje. Ale cierpiących jest wielu, dlatego już teraz udzielam rad, opowiadając jak ja uprawiam psycho- i bioterapię.

Jan Putkowski, dawny frontowy oficer, który kilkakrotnie ranny przeszedł szlak bojowy I Armii z ZSRR do Polski, nie bawi się w piękne słowa. Rolnik i pszczelarz wyrzekł się niemal prywatnego życia, zostawiając trudny gospodarowania żonie.

— Wy też nie myślcie o sobie, jeśli odkryjecie, że posiadacie taki cudowny dar natury, jak bioprądy potrafiące uzdrawiać — apeluje do swych potencjalnych następców.

Sam rzeczywiście podporządkowuje wszystko służeniu innym. Jak mi powiedział, ograniczył już sen do 4 godzin na dobę. Kiedy zaś stwierdził, że przeciętne żołądka obniża działanie jego bioprądów, ograniczył ilość posiłków do dwu dziennie i to złożonych z małych ilości pokarmu.

— Gdybym był wykształcony, to bym badał skąd u nas, bioterapeutów bierze się ta niezwykła moc uzdrowicielska. Ponieważ nie mam wykształcenia pozostaje mi przychodzenie z pomocą ludzi i przekazywanie innym moich umiejętności. Na te wiedzę, którą zdobyłem złożony się całe lata doświadczeń — powiada. — Przede wszystkim wiem, że tym skuteczniej pomagam, im silniej tego pragnę. Zanim kogos zaczynam uzdrawiać, najpierw przechodzę z nim na ty, nawiązuję kontakt, badam jego sympatię. Uprzedzam go też, że wraz z moimi bioprądami daje mu też część siebie. I od tego czasu będzie nas coś łączyło. Może będziemy do siebie tęskniłi?

Doświadczyłem już na sobie, więc przekazuję to z przekonaniem tym, którzy pójną w moje ślady: jeśli dajecie komuś siebie, to dawajcie całym sercem. Nie możecie też zwątpić w to, że pomożecie, bo wtedy efekt będzie słaby, albo i żaden. Jeśli kogos witacie, czyńcie to serdecznie, już tym będziecie zjadali uzdrowicielsko. Ujmijcie dłoń witanego waszymi dwoma, a później jedną ręką ścisającą nadal dłoń, drugą chwyciwszy go za lewą ramię. O tak — Putkowski zademonstrował swoje powitanie J. Jelickeemu. A gdy prezes Łódzkiego Klubu Radiestety obznajmił, że istotnie poczuł dopływ bioprądów, Putkowski zaproponował: — teraz ty mnie tak powitaj, też przekaz mi swoje bioprądy...

UMIESZCZAM SAŁĘ NA DŁONI...

Podczas spotkania Jan Putkowski zaproponował:
— Pozwól sobie odpromieniować sałę, w której jesteśmy. Teleradiestetyjnie wyczuwam, że niektóre osoby źle się czują siedząc na skrzyżowaniu cieków.

Po tym oświadczeniu Putkowski schodzi ze sceny ze swą drewnianą różdżką (mówi, że metalowe szkoda jego organizmowi) i określa, gdzie krzyżują się cieleki. Gdy prosi, by któryś z radiestetów prowadził również podobne badanie, widzę, że śledzący obok mnie, czołowy łódzki teleradiesteta Jan Majewski, sięga po swe wahadło. Po chwili ruchy stółka na nitce wskazywały, że teleradiesteta mentalnie zlokalizował skrzyżowanie cieków.

W tym czasie J. Putkowski oznajmił:
— Pokażę wam, jak odpromieniowuję mentalnie takie niebezpieczne miejsce. Oto wyobrażam sobie, że sała jest tak maleńka, iż mieści mi się w dłoni. A następnie trzykrotnie różdżką robię kolo nad dłonią, w której wyobraźnią umieściłem tę pomniejszoną sałę. Czwartą obrót jest tylko częściowy, wyprowadzam nim zle prądy ruchem różdżki na zewnątrz. I już...

Brzmi to jak baśka o czarodziejskiej różdżce. Ale Jan Majewski powiada do mnie:
— W tym momencie moje wahadło zamarło, już nie wskazuje tego niebezpiecznego skrzyżowania cieków. Ciekawe na jak długo?...

Jak to się dzieje, iż niektórzy ludzie mogą dokonywać rzeczy, które zdają się godne zakwalifikowania do kategorii czarodziejskich sztuk? J. Putkowski powiada, że może przewidywać przyszłość, mentalnie wykonywać zadania radiestetyjne, a także skutecznie leczyć tylko wtedy, gdy osiągnie „swobodę umysłu”. Jan Majewski na spotkaniu z czytelnikami „Expressu” tłumaczył, iż najtrudniejsze w opanowaniu radiestetyj jest wykształcenie w sobie umiejętności eliminowania wszelkich sugestii. Bez tego nie jest możliwa pełna koncentracja. A bez tej koncentracji nie wywołamy pełnych mocy umysłu niezbędnych przy czynnościach teleradiestetyjnych.

J. Putkowski powiada, że ową „swobodę umysłu” osiąga poprzez wesolność. Inni radiesteci koncentrując się potrzebują spokoju, a np. S. Nardellemu niezbędna jest atmosfera otaczająca go ludzkiej życzliwości.

— Musisz wyżyć się wszelkich myśli o korzyściach materialnych, jakie mógłbyś uzyskać z swych działań radiestetyjnych, w tym także uzdrowicielskich — przestrzega Jan Putkowski, Nardelli. Majewski i wszyscy inni radiesteci z powołania. Putkowski powiada:
— Jeśli odkryjesz w sobie bioprądy mogące leczyć innych, a wierzę, że wiele osób ma takie możliwości, to nie bój się podejść do chorego. Nie obawiaj się, że zaraz cię jakąś swoją chorobą. Działaj z przekonaniem, że pomożesz i nie myśl o korzyściach. Wiem po sobie, że wtedy najlepiej uzdrawiam, gdy wierzę w uleczenie kogos. Jeśli zwątpię, to efekty są bardzo marne.

WALDEMAR UCHMAN

Cóż że dęto
pręży się w
mejdłoni
że kawał
drewna
w życie przyodziewam
gdy dobrze wiecie
że jestem śmie:telny
zem kawał gruły
która się w proch zmienia
i cóż że ma być jutro
dęta tępią się na sekach
i wzgórza tworzą się na dłoni
czy jutra ja doczekam
coż że wiatr powieje ciepły
gdy sztywne palce

Drzewo i słowo (o rzeźbach i wierszach Stanisława Romaniaka)

ANDRZEJ GRUN

nie zdolał ich rozprężyć
ja nie chcę czekać jutra
jutro chcę dzisiaj stworzyć

Stali kiedyś te Chrystusiki
frasobliwe, Matki Boskie Zie-
lne, święte Barbary, Floriany,
Izydory i inne święte kościel-
ne, których — jak mówi Zeg-
adłowicz — „wypierały się
wszystkie kalendarze”, wśród
pól i łąk, przy drogach i w
cieśkach, zagrodach i wiejs-
kich cmentarzach. Stali, da-
jąc miłością i opieką „ścieżki,
drogi, rozstaje, gadziny, psy,
koty, idących, wracających z
zgarbionej roboty — obojęt-
nych, wierzących — wszystkich
w równej mierze...” Wymyte
deszczem, wychłostane wiat-
rem, spekane od mrozu, wros-
ły owe świątki w polski pej-
zaż, stały się onegdaj jego in-
tegralną częścią, charakterys-
tycznym symbolem.

Szczególnie dużo było ich w
Beskidzie i na Podhalu. Lud
tamtejszy upodobał sobie i
wielką miłością obdarzał tych
z drzewa lipowego wyrzeźbio-
nych świątków i tych, co ko-
zikami w drzewie świętych
strugali. Każda grubsza topola
czy wierzbą przydrożna była
schronieniem, domem przytul-
nym dla jakiegos lipowego Fl-
oriana czy Magdaleny.

Zainteresowanie rzeźbą ludo-
wą i późniejszy popyt na wy-
roby ludowych artystów spra-
wiły, że ten gatunek sztuki u-
legł pewnego rodzaju zwyrodn-
ieniu. Przeszła być autentycz-
ną twórczością wynikającą z
wewnętrznej potrzeby, a stał

się jakże często rzemieślniczą
wytwórczością, nastawioną na
masową produkcję. Powierz-
chowna, pseudoludowa styliza-
cja, tania estetyka cechuje owe
atrapy, w których jedynym
autentykiem jest materiał, z
którego są zrobione — drewno.

Dlatego spotkanie z twó-
rczością rzeźbiarską STANI-
SŁAWA ROMANIAKA ma
wszelki posmak artystycznej
przygody. Dostarcza emocji au-
tentycznych, nieklamanych. I
aczkolwiek trudno uznać go za
rzeźbiarza ludowego w dosłown-
ym tego słowa znaczeniu, to

Pielgrzym — utrzymane w
charakterze naiwnej, ludowej
alegorii, czy wręcz scena ro-
dzajowa o charakterze folklo-
rystycznym — rzeźbiarz zawa-
sze stara się mówić o spra-
wach ogólnych, wykraczających
daleko poza ramy samego te-
matu, który jest dla niego czę-
sto jedynie pretekstem.

Romaniak przechodził w ży-
ciu różne koleje losu. Przez
całe lata był działaczem kul-
turalnym na wsi. Potem osiadł
w Skierniewicach i poświęcił
się wyłącznie pracy twórczej.
Napatrzył się w życiu różnym

na estetyzacją, nie nie znaczą-
cą deformacją, przed ładnością.
Potrafił nadać jej sens głębszy,
ogólniejszy, przez co uczynił
ją pełną i wiarygodną. Jest za-
pewne jednym z niewielu
współczesnych rzeźbiarzy, kto-
rzy mieszcząc się świadomie w
konwencji ludowej rzeźby, po-
trafił znaleźć dla niej nowe
treści i odnowić jej formę.

Obserwując kiedyś Romani-
aka przy pracy, przypomniałem
sobie wiersz Zegadłowicza:
„(...) kozikiem znów zatony
świętkarz smętną radością
zapodziałą w czynie
— a przed nim leżą świątki
dopiero obróbne
koślawe, nieruchawe — do
niego podobne”

I wiersz ten związał mi się
na zawsze z jego rzeźbami,
mimo że przecież Romaniak
odszedł już daleko od swoich
ludowych pierwowzorów i dzi-
siaj — także, od swoich pierw-
szych rzeźb.

Tak się złożyło, że parę lat
temu miałem okazję zetknąć
się z twórczością Romaniaka,
i że byłem jednym z pierw-
szych, którzy w jego rzeźbach
znaleźli prawdziwe samorodki
autentycznego talentu i wró-
żyli temuż talentowi owocny
rozwój. W roku 1976 zorgani-
zowałem w Galerii Domu Śro-
dowisk Twórczych wystawę
rzeźb Romaniaka, połączoną z
poetyckim montażem skompo-
nowanym z jego wierszy. I
rzeźbom i poezji, jak powta-
rzam — wróżyłem dobrą dro-
gę. Wspominam o tym dlatego,
że nie może być większej sa-
tyzsfakcji dla krytyka, gdy je-
go odczucia i prognozy się
sprawdzą. W Wydawnictwie

Lódzkim ukazał się w roku u-
biegłym tomik wierszy Stani-
sława Romaniaka „Otwarte
drzwi trzeba zamknąć”. Na-
stępny czeka na druk. Rzeźby
swoje pokazywał Romaniak, na
indywidualnych wystawach, w
Wiedniu, Göteborgu, Malmö,
Kopenhadze, Helsinkach, Ber-
linie Zachodnim, Szegedzie na
Węgrzech. Nie wspominam tu
wystaw w kraju, których było
kilka. Obecnie Romaniak przy-
gotowuje indywidualną wysta-
wę w Wiedniu, związaną te-
matycznie z rocznicą Odsieczy.

Romaniak jest samoukiem.
Od początku do końca. Urod-
ził się w 1948 roku w Zako-
panem. Ukończył tam liceum
ogólnokształcące i należał do
Klubu Literackiego przy Grup-
ie „Konary”. Zanim osiadł na
stałe w Skierniewicach, pra-
cował w kilku wsiach „w kultu-
rze”. Mimo wystaw w kraju i
za granicą i niezaprzeczalnych
sukcesów artystycznych, które
dowodnie świadczą o tym, że
życie spędza on nie na prze-
dawaniu piernuszek na ziele-
niaku, a na rzeźbieniu i pi-
saniu wierszy, do Związku Pla-
styków nie należy. A raczej,
gwoździ ścisłości, do Związku
Plastyków nie chcą go perma-
nentnie przyjąć. Romaniak nie
posiada dyplomu ukończenia
jakiegos uczelni artystycznej i
dlatego do Związku może być
przyjęty tylko na podstawie
prac. Kilkakrotnie uzyskiwał
bez trudu zezwolenia ministra
kultury i sztuki na „prawo
wykonywania zawodu”. Jednak
profesjonalności zrzeszeni w
Związku Polskich Artystów
Plastyków uważają, że rzeźby
Romaniaka reprezentują zbyt
niski poziom, i że człowiek,
który żyje wyłącznie z wias-
nej twórczości, który ponadto
reprezentuje kulturę polską po
różnych krajach, nie ma pra-
wa (ani powodu) należeć do
tegoż Związku, i że po co ko-
muś pomagać, skoro można
utrudniać lub wręcz szkodzić.

Piszę o tym, że szczególnym
naciskiem, bowiem jest to je-
den z licznych dowodów na
stopień etycznej świadomości
środowisk artystycznych i po-
szczególnych twórców środo-
wiska te tworzących. A prze-
cież twórcy, i ci zrzeszeni, i ci
nie zrzeszeni, nie żyją w kraju,
który można by nazwać „Eldo-
radem Sztuki”.

Na pewno dwie zasady funk-
cjonują w naszych środowis-
kach artystycznych znakomicie:
— mnie jest ciężko, więc in-
nemu niech będzie jeszcze go-
rzej;
i druga — mnie się dobrze
powodzi, a inni gównem mnie
ohodzą!

Tu szlachectwo nie zobowią-
zuje.

sto w zamknięte cykle: „Apo-
kalipsa”, „Upadek Orłów”,
„Matko — Piekiel”, „Odsiecz
wiedeńska”. Wiersze też two-
rzył cykl: o Matce i do Matki,
do Żony, dla córki Moniki. O
pracy rzeźbiarskiej w wiers-
zach pisze niewiele. Zacyto-
wany na początku utwor, jest
jednym z nielicznych. W poe-
zji interesują go sprawy naj-
bliższe i najbliżsi ludzie.

W rzeźbie, ostatnimi laty,
sięga często po tematy history-
czne, do martyrologii, do pew-
nych motywów transcendental-
nych (w „Apokalipsie” na
przykład). Bywa w niej często
tragiczny. Czasem pełen wzno-
słego patosu. I w rzeźbach, i w
poezji poczucie zagrożenia, nie-
pewności jest elementem sta-
łym, dominującym. W poezji
czuje się to bardziej. Jeszcze raz trzeci raz
będziemy mieć syna
jeszcze raz trzeci raz
nadamy mu imię

tylko ty nie pozwól mu odejść
tamci dwaj już odeszli na

Realizm tej poezji jest oczy-
wisty i przejmujący. Doświad-
czenia, często bolesne, przelo-
żone na język sztuki. Choroba
córki spowodowała cykl wiers-
zy.

Córeczko
głos mi się tamie
przed oczami snują się cienie
na wpełchniętym łóżeczku
przy ścianie
porzucone zabawki
ze ścian patrzę
portretowe oczy
rozrzucone kartki
nie skończonych wierszy
firanki zwisają niedbale
drzwi od szafy
nie ma kto domknąć
puszka została po tobie
dziwny wewnętrzny niepokój
ileż życia wniesiesz powrotem
ileż wniesiesz nadziei
firanki będą fruwać w oknie
drzwi szafy skrzypną radośnie
z portretów uśmiechną się

zakończenie otrzymają wiersze

Czytając wiersze Romaniaka
bez trudu można prześledzić
jego biografię i zapis jego u-
czuć. Wychowywał się bez o-
jca, który wcześniej umarł. Była
więc tylko Matka:
Wsparta na garbie co się zowie

życie
za opłatkami na słomianym
dzielisz swój uśmiech pomiędzy
wyciągasz do nich spracowane
szukasz słów z cichych

pod powiekami zmęczenia
gladziej wytarte poduszki
stóp popiekanych od ziemi
tyle cierpienia jest w tobie

To poezja tego, co jest na
wyciągnięcie ręki, najbliżej.
Tego, co najbardziej cenne i
kruche. Czego utrata boli naj-
bardziej. Także poezja lęku
przed utratą i zniszczeniem
tych rzeczy.

Córeczko
Ty już śpisz
a któż odwiedzić mnie zechce
chyba tylko kaleki pień

bym przywrócił mu życie
jak chirurg go zoperował
Córeczko — ja się nie skarzę
wiem że gdy ty wrócisz
będziemy razem
deszcz i wiatr
i kawał drewna w kącie

Jest w tej poezji i scepty-
cyzm. Dojmująca niewiara w
możliwość spełnienia najprost-
szych, ludzkich marzeń.

Babka opowiada bajki
nie miałem babki
nie miałem dziadka
ojciec też wcześniej umarł
pozostali żyją
dorosłem i ożeniłem się
nie mam domu
ale mam meble
brakuje mi tylko wozu
wystarczyłby taki cygański
ale nie mam konia
ja nie mam
ale znam bajkę
że będę miał

Pierwszego marca 1983 r. zo-
stała otwarta w Galerii Sto-
waryższania Twórców Kultury
przy Alejach Kościuszki 33
kolejna wystawa rzeźb Stani-
sława Romaniaka. Artysta tym
razem pokazał cykl „Apoka-
lipsa” — wzbogacony o nowe
rzeźby. Pokaz łódzki trwał za-
ledwie tydzień. „Apokalipsa”
Romaniaka wyeksponowana
została do Wiednia. Jako na-
stępna indywidualna ekspozy-
cja tego twórcy za granicą.

jednak pierwiastki ludowe w
jego twórczości są tak silne i
istotne, że dostrzegalne na
pierwszy rzut oka i pominać
ich nie sposób.

Rzeźba Romaniaka wywodzi
swoją rodowód w prostej linii
właśnie od sztuki ludowej, od
owych beskidzkich świątków, od
podhalańskich Chrystusików
frasobliwych. Uległa co praw-
da dużej ewolucji, stała się
bardziej „światową” i bardziej
światodoma siebie i swoich ce-
lów, zatraciła pierwotny pry-
mitywizm — ale nie przestała
być prostą, szczerą i wzrusza-
jącą w swym zamysłu.

To, co najbardziej upodabnia
Romaniaka do dawnych świąt-
karzy, to stosunek do dREW-
nianego kłosa, do artystycznego
głowicy. Stosunek na-
wskroś intymny, pełen miłości
jak do czegoś, co żyje, czuje,
rozumie mowę rąk rzeźbiarza.
Artysta traktuje każdy kawa-
łek drewna, jak równorzęd-
nego partnera w tej grze o urze-
czywistnienie zamysłu, o u-
przedmiotowanie idei. Dotyka
go, poznaje i daleki od obojęt-
ności czy lekceważenia, skupia
na nim wszystkie swe umiejęt-
ności. Czasem zostawia go pra-
wie nienaruszonym. Innym ra-
zem mierzliwie obrabia dętem,
aż dobiedzie z niego ten kształt
jedyny i niepowtarzalny.

Romaniak rzeźbi wyłącznie
w drzewie. Kłocę buczyny, gru-
szy, lipy zamienia dętem i ko-
zikiem w świątki, w piel-
grzymów, w Madonny, w ludz-
kie głowy. Raz grubo ciosane,
toporne, jakby praca nad nimi
przerwana została w połowie.
Kiedy indziej wygładzone, ni-
czym kamienie z górskiego
strumienia. I te i tamte pełne
są prawdy o ludzkich losach,
radościach i cierpieniach. Bo
czy to będzie postać jakiegos
świętego, czy Katarzyniarz lub

ludziom i różnym sprawom.
Od lat swoją wiedzą o życiu i
ludzkich losach obdarza dREW-
niane figury. I robi to z praw-
dziwym talentem. Prostota i
celowość formy rzeźbiarskiej
upodabnia go do ludowych
twórców. Jej ascetyczna kon-
nieczność wynika ze świadom-
nych ograniczeń. Artysta nie
pozwala sobie na żaden zbędny
gest dętem, na najmniejsze
estetyczne upiększenie, na cień
kokieterii. Jest surowy i sta-
tyczny, nieomal hieratyczny w
swych kompozycjach rzeźbiar-
skich, pozbawionych zupełnie
ruchu, czystych i urzekająco
prostych. Narzucona dyscyplina
wynika zarówno z głębokiego
zrozumienia specyfiki materia-
łu, jak i z przesłanek natury
filozoficznej rządzącej jego
twórczością. Twórczość ta ma
często wymiar tragiczny, czę-
sto przepelniona jest dojmują-
cą nutą gorzkości. Czasem jest
tylko smutna, tak jak smutnym
bywa los starego człowieka lub
człowieka samotnego.

Bowiem człowiek w pojęciu
Romaniaka jest wiecznym piel-
grzymem, nieustannym węd-
rowcem szukającym swojego
miejsca na ziemi. I swojego
szczęścia — jakże często —
daremnie. I stąd smutek twa-
rzy i znużenie w każdej posta-
ci. Ale jest też pogodzenie się
ze swoim losem. Pogodzenie
się mądre i dostojne. Bodaż
najbardziej istotne w tej sztuce,
wybitych patosu i głośnych
akordów, której formą w spo-
sób najbardziej celowy służy
wyrażeniu treści mówiącej tak
sugestywnie o złożoności na-
tury ludzkiej.

Romaniak nie uczęszczał do
akademii, nie wysłuchiwał po-
rad profesorów. Studiował na
innych akademiach. I dlatego
zapewne zdołał utrzymać swoją
twórczość przed powierzchow-



Stanisław Romaniak jest
rzeźbiarzem. Jest i poetą. Tru-
dzi się nad kawałkami drze-
wa. Trudzi się nad słowami.
Rzeźby jego układają się czę-

Jana Misłowca długo szukano na śnieżnej kieleckiej. Wędrował przez Puszcze Świętokrzyską i okalające ją wioski. Odsyłał mnie od Annasza do Kajfasza. Wreszcie znalazłem. Pożatem go w 1976 roku, w wsi Kucebów Dolny. Wysoki, posiwiałe włosy, zgrabny i mimo emerytalnego wieku pełen werwy i dowcipu. Przystojny mężczyzna.

Pani Maria to kobieta wysoka, czarna, o wesołej i ładnej twarzy. Oboje spracowani, ale pełni entuzjazmu. Prowadzą 5-hektarowe gospodarstwo. Dochowali się czworga dzieci i pięciu wnuków. Maria, córka gajowego Kwaśniewskiego z gajówki Rosochy, nie miała łatwego życia. Pracuje od najmłodszych lat.

Jan wywodzi się z biednej chłopiejskiej rodziny z Kucebowa-Borki. Jak większość kieleckich chłopów, pracował w gospodarstwie rodziców. Podejmował — byle zarobić — każdą pracę. Wyjeżdżał na bandosy. Wojna zastąpiła go w gajówce Rosochy. Chciał walczyć z najeźdźcą. Z braku broni odmówiono mu zaciągnięcia do wojska. W czasie okupacji brał czynny udział w szeregach akowskiej konspiracji. W Polsce Ludowej, jako ceramik budowlany, przeszedł na emeryturę. Piersi jego nie zdobi żadne odznaczenie.

W październiku 1939 roku, do gajówki Rosochy, stojącej w Puszczy Świętokrzyskiej, na polanie o tej samej nazwie — okolonie odnoźni rzeki Krasnej — przybył z Gór Świętokrzyskich oddział żołnierzy polskich, dowodzony przez majora Henryka Dobrzańskiego — Hubala. Szczególnie pięknego konia dosiadał dowódca. Inne też były ładne.

Z relacji mjr. Mariana Fabrycego, znajdującej się w Wojskowym Instytucie Historycznym, dowiedziałem się, że zgodnie z otrzymanym poleceniem z Ministerstwa Rolnictwa, ewakuował on konie pełne i półkruki z majątku Woroszczyce pod Kowlem i z Kozłonic, za Wisłę, dalej za Bug. W czasie marszu przyłączyli się do ewakuowanej stadniny pozostawieni sobie luzacy, prowadzący konie naczelnego wodza — marszałka Edwarda Rydza-Smigłego. Zatrzymano się na postój w Podzamczu, w majątku Franciszka Zamoyskiego. 30 września 1939 roku, major Henryk Dobrzański przybył do Podzamczu z zamiarem zarekwirowania koni. Marian Fabrycy znalazł majora ze wspólnymi służbami wojskowymi w drugim pułku strzelców konnych w Hrubieszowie. W czasie wspólnych oględzin koni okazało się, że większość choruje na zółty i nie odpowiada przysiężnym wymaganiom, jakie staną przed oddziałem. Wówczas, na prośbę Fabrycego, major zdecydował się na przyjęcie — między innymi — koni prowadzonych przez luzaków: walacha Groma pochodzącego ze stadniny koni w Bogusławicach i walacha maści tarantawej podobno podarowanego marszałkowi Rydzowi-Smigłemu przez króla rumuńskiego.

Po raz drugi do gajówki Rosochy oddział przybył w listopadzie 1939 roku. Żołnierze byli zmęczeni, głodni i częściowo bez koni. Było kilku nowych i Misłowcom nie znanych. Była to, w porównaniu do poprzedniej, mała grupa żołnierzy. Wśród nich była kobieta. Nazywali ją Tereską. Jak się okazało, oddział w Cisowniku wskutek zaskoczenia przez hitlerowców uległ rozproszeniu, a trasę do gajówki Rosochy odbył pieszo.

W gajówce zamieszkiwali Dobrowolscy, Kwaśniewscy i Misłowcowa, ale wyzywaniem oddziału zajmowała się Maria Kwaśniewska-Misłowcowa. Zakupów dokonywała wraz z Tereską. Mimo dużej ruchliwości patroli kontrolujących okolice, oddział nie został przez Niemców i mieszkańców wsi zauważony. Postój trwał kilka dni. Pewnego dnia do gajówki przybył nadlesniczy Okoń z nadleśnictwa Bliżyn. Odbył rozmowę z majorem w cztery oczy, po której oddział opuścił gajówkę, po czym przybyli do niej Niemcy. Niemcy nie mieli pojęcia o tym, że do niedawna kwaterowali tu polscy żołnierze.

Z gajówki Rosochy oddział rozpoczął marsz na północ, do lasów brudzewickich. Ponownie wrócił do Puszczy Świętokrzyskiej wiosną 1940 roku, mając za sobą pobyt w Galkach i zwycięski bój z hitlerowcami pod Huciskiem. 30 marca 1940 roku. Przybył na kwatery w Szalasiu Starym. Misłowcowa rozpoznała dowódcę i kilku dawnych żołnierzy. Zdecydowana większość ujrzała po raz pierwszy. Radość żołnierzy i mieszkańców wsi z odniesionego w Hucisku zwycięstwa trwała krótko. Dowódca zezwolił na żołnierską potańcówkę. Niemcy otoczyli Puszcze Świętokrzyską, a tym samym i oddział, który ponownie podjął — narzucona mu przez hitlerowców — walkę. Stało się to 1 kwietnia 1940 roku. Z walki tej nie wyszli pokonani hitlerowcy za to straszliwie zemścił się na mieszkańcach wsi 8 kwietnia 1940 roku dokonali pacyfikacji wsi i wymordowali część mieszkańców.

Bój rozpoczął się na łakach między Komornikami a Szalasem Starym. Zbieżnym do oddziału patrolu por. Bema. Bem dotarł do oddziału drugi żołnierz patrolu — dostali się do niewoli. Przechowywani i poddani wstępnemu badaniu, a potem katowani w sklepie w Szalasiu Starym, zostali przewiezieni do Odrowąża, do Domu Ludowego na ponowne badanie. 2 kwietnia 1940 roku odstawiono go do więzienia w Radomiu. Do więzienia trafił razem z częścią zatrzymanych chłopów (część odwieziono do Kielc) z okolicznych wsi wraz z księdzem proboszczem parafii Odrowąż, Adamem Wasem. Proboszcz ten według wyjaśnienia księdza przełożonego Domu Kieleży Emerytów z Sandonierza, wskutek kategorycznej interwencji ks. biskupa Jana Lorka po kilku tygodniach został z radomskiego więzienia zwolniony. Władysława Maćkowiaka przewieziono do Kielc. W Kielcach w gestano poddane konfrontacji z meżczyznami ze wsi Szalasi i innych wiosek, zakończonej wzajemnym nierozpoznanieniem się Gestano ponownie przewozi go do więzienia w Radomiu. Stąd — kolejno — trafił do obozów koncentracyjnych w Buchenwaldzie i Ravensbrück. W czasie ewakuacji z Ravensbrück do innego obozu udało mu się zbiec. Wolność przynosi mu Armia Radziecka. Obecnie jest emerytem, zasłużonym działaczem społecznym.

Walka rozpoczęła się na łakach toczyła się następnie w lasach leśnictwa Kopicie — obrębu

Bliżyna — wzdłuż Strojowej Linii do Rogowego Słupa, aż do toru kolejki wąskotorowej. Zakończyła się bezładną ucieczką Niemców w lasy, należące do obrębu Suchedniów i Samsonów. Bój rozstrzygnął się na skrzyżowaniu Linii Strojowej i Kieratowej, gdzie obecnie stoi pomnik ufundowany przez społeczeństwo Kielecczyzny. Na pomniku widnieje napis:

„Pamięci bohaterów żołnierzy z Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego, którzy pod dowództwem mjr. H. Dobrzańskiego — Hubala stoczyli tutaj w dniu 1.4.1940 r. zwycięski bój z okupantem niemieckim i dali przykład walki z przemocą”

Inicjatorami i organizatorami budowy pomnika byli: Stefan Nadolski z Szalasu—Zapuscia i Stanisław Barański z nadleśnictwa Bli-

HENRYK BAZYŁAK

Ulańska szarża

Prace murarskie i kamieniarskie wykonali: Marian Gołacki z Szalasu—Zapuscia i Stanisław Stefański z Tumlina. Pomnik wybudowano w 1972 roku, a płytę z napisem — w 1974 roku. Odsienienia pomnika dokonano 31 marca 1974. Organizatorzy zadali również o uporządkowanie, przy drodze z Kopicie do Świnie Góry, mogiły dwóch hubalczyków. Zdaniem pana Stefana Nadolskiego, żołnierze ci pochodzili z Kalisza. Najprawdopodobniej byli to żołnierze, którzy nie zdążyli przebiec szosy w czasie wychodzenia z okrażeń. Ciała ich znaleziono w maju 1940 roku, w czasie sadzenia lasu pod Kopicami.

W środku terenu objętego walką stała gajówka Rosochy. Jan Misłowiec, wezwany przez luzaka, Jana Kapraka, pojechał z gajówki do Dobrowolskim na Kieratową Linie, do majora Hubala. Jan Scibisz, wzięty na podwodę przez oddział, przy pomocy Dobrowolskiego zabiera dwóch rannych którzy razem z Dobrowolskim zostają w gajówce Rosochy. Trzeci ranny sam przyszedł do baruku wypalający węgiel. Scibisz, po wykonaniu otrzymanego zadania, wraca do Szalasu Staro. Tam ginie.

Żołnierze spożyli posiłek i przygotowali się do odejścia z Kieratowej Linii. Jan Misłowiec otrzymał od dowódcy zadanie wyprowadzenia oddziału do Łącznej. Wyprowadził żołnierzy przez puszcze w kierunku południowo-wschodnim na skraj lasu przy rozległych łakach, położonych między wsią Zalesianka a gajówką Osieczno. Zgodnie z rozkazem dowódcy powrócił do gajówki Rosochy. Podzielił się z panią Marią doznaniem z marszu do Łącznej.

Hubal poprowadził oddział z Adamowej Linii przez mokre łąki do samotnie stojącego pod lasem domu — gospodarstwa nr 13 — należącego do Władysława i Józefa Wawrzyńczyków, obecnie znajdującego się we wsi Jaśle—Łączna. Gospodarz nie spał. Sprowadził przewodnika.

Major wysłał na rozpoznanie plutonowego rezerwy, Michała Korusa z Jaśla i Ignacego Pajaka oraz patrol. Mieli rozpoznać bezpieczne przejście przez szosę na styku wsi Gózd i Łącznej.

Wieczorem, 1 kwietnia 1940 roku, Niemcy obstawili szosę i wszystkie wyłoty dróg, prowadzące z lasu do szosy, starannie przy tym maskując się. Oddziały niemieckie wchodziły do Puszczy Świętokrzyskiej z zachodu, od strony wsi Szalasi Stary i z południa z Kaniowa i z Łącznej, przez Osieczno. Obstawili puszcze ze wszystkich stron: od Skarżyska Kamiennego, przez Odrowąż, Szalasi, Samsonów, Zagnańsk, Łączna, Suchedniów do Skarżyska Kamiennego.

Kolumna niemiecka wchodziła do lasu z Łącznej wzięta na podwodę Stanisława Gołębiowskiego i do jego pomocy Kazimierza Guzera, zamieszkałych wówczas w osadzie leśnej Osieczno. Kolumna pomaszerowała do części puszczy nazywanej Jesionowy Smug, zamiast na Rogowy Słup. Zabili. Gołębiowski z Guzera zostali zmuszeni do zaprowadzenia na wskazane przez Niemców miejsca. Po dojściu

do Rogowego Słupa została wprowadzona w Strojową Linie, gdzie dostała się pod bardzo silny ogień polskich żołnierzy. Poszła w rozsypek. Niemcy zabrali ze sobą jednego zabitego i jednego rannego. Gołębiowski i Guzera, obok amunicji i sprzętu wojskowego, wzięli zabranych z pola walki niemieckich żołnierzy. Wyprowadzili Niemców z lasu, przez mokre łąki i Zalesiankę Dolną — obok kuźni i obecnie stojącej łam szkoły, do Gozdu, do szosy kieleckiej. Stąd wrócili do Jaśla. W domu Wawrzyńczyka już zastał majora. Zdali mu relację z wykonywanych czynności i z dokonanych spostrzeżeń o ruchach niemieckich wojsk na kieleckiej szosie.

Kolumny niemieckie wchodzących do lasu było kilka. Gołębiowski i Guzera prowadzili

krzyskich, wobec odwrotu powrócił do domu. Na skutek chaotycznego i niecelnego ognia niemieckiej broni maszynowej zginął we własnym domu Antoni Januchta, mieszkaniec wsi Gózd, a jego córka Zofia Januchta-Apostolska, dziś mieszkanka Wrocławia, została trzykrotnie ranna.

2 kwietnia 1940 roku hitlerowcy usadowili się na przełomie terenowym i kontrolowali z góry obszar od wsi do lasu. Strzelali do wszystkich, co poruszało się na przedpolu. Zabiło siedem osób z okolicznych wiosek, udających się do różnych zajęć. Byli to: Genowefa Antoniak, Zofia Fafara, Małgorzata Moskał, Cecylia Lisowska, Helena Lutek-Krzemińska oraz Władysław Duleba.

Hubal, po przeanalizowaniu mapy i wysłuchaniu opinii gospodarza, uznał okrażenie oddziału i podjął decyzję o rozdzieleniu go na konnych i pieszych. Żołnierze piechoty dosiedli koni wyprężonych z pozostawionych wozów. Dowódzenie grupą konnych objął major Hubal, a pieszych — por. Marek Dymnański. Major wyznaczył kierunek przebijania się z okrażeń do szosy Samsonów — Odrowąż, na północny wschód od miejsca postoju oraz miejsce i czas spotkania się po wyjściu z okrażeń.

Według publikowanych przez Tadeusza Wyrwę w książce „W cieniu legendy majora Hubala” (Londyn, 1974) wyjątków dziennika bojowego oddziału, pisanego przez Henryka Ossowskiego, wynika że:

„Piechota jako tylna straż miała przebić się za kawalerią i mieliśmy się spotkać po przedarciu w rejonie Cisownika. Gdyby jej się przebić nie udało z powodu dnia, gdyż może nie zdążyć przed świtem dojść do szosy, to niech skryją się w lesie i następną noc przedrże się”.

Piechota do Cisownika nie dotarła. Konni wrócili do gajówki Rosochy. W gajówce paliła się lampa naftowa. Gospodarze nie spał. Adiutant Hubala — Henryk Ossowski — wezwał Misłowca do majora. Jan Misłowiec otrzymał zadanie wyprowadzenia oddziału do Krasnej. Jan Misłowiec poprowadził oddział Strojową Linie, a potem obok Szalasu Staro do pół wsi Kopicie. Dalej, skrajem lasu, okrażył pole i skośnie przeciął las, by dojść do drogi biegnącej ze wsi Kopicie do szosy Samsonów — Odrowąż, do obecnego przystanku PKS o tej samej nazwie.

— Przed szosą, kilkadziesiąt metrów — wspomina Jan Misłowiec — gdy prowadziliśmy oddział, padł strzał. Padł z tyłu oddziału. W tej samej sekundzie major dał rozkaz do szarżowania obsadzonej przez Niemców szosy. Szarża potoczyła się błyskawicznie — z zaskoczeniem.

Była to straszliwa walka polskich kawalerzystów, wykonana zdecydowanie i z pełnym poświęceniem. Zdecydowała o wyjściu z okrażeń, o świcie 2 kwietnia 1940 roku. Jeden z kawalerzystów pozostał na szosie.

— Gdy opuszczaliśmy miejsce, w którym oddział szarżował szosę — wspomina dalej Jan Misłowiec — dogoniło mnie dwóch lub trzech żołnierzy. Nie zdążyli przejść szosy. Prosił o pokłonanie imięj drogi, by móc wyjść z okrażeń. Wskazałem drogę do Świnie Góry. Schroniłem się w pierwszym przy lesie gospodarstwie, we wsi Kopicie. Było to gospodarstwo Marii i Stanisława Młodawskich. Młodawski dał mi inne ubranie. Gdy rano Niemcy przybyli do wsi, aby skontrolować, czy nie ma ukrytych żołnierzy, za radą Młodawskiego ostrzyłem na brucie noże, niby że jestem jednym z domowników. Robiłem to z ogromną starannością, jak nigdy w życiu. Na drugi dzień poszedłem do Kucebowa. Czekaliśmy na żonę, którą tej nocy pożegnaliśmy dwa razy.

W czasie dnia, 2 kwietnia 1940 roku, Hanna Supierz — pani Maria Misłowiec nie pamięta jej rodzowego nazwiska — której udało się przebiec przez obławę niemiecką, przyniosła z Szalasu Staro do gajówki Rosochy wieść o zbliżających się hitlerowcach. Misłowcowa razem z Natalią Dobrowolską przeprowadziły rannych żołnierzy z gajówki do szosy kurzącej, zwanej Kurza Budą. Woda z rzeki Krasnej zmyła zakrwawioną trasę.

W obawie przed niebezpieczeństwem, część domowników odeszła do wsi Szalasi Stary. W gajówce pozostała Misłowcowa ze swym bratem, nieletnim Józefem. Doglądali inwentarza i opiekowali się w „budzie” rannymi żołnierzami. Gdy ranni odeszli w las, wrócili z bratem do Kucebowa. Gajówkę opuściła w trzecim dniu po boju. Do tej pory do gajówki nikt nie przychodził.

Jeden z rannych, warszawiak, późniejszy żołnierz Armii Krajowej — Władysław Sidor (nazwisk pozostałych żołnierzy nie zapamiętałem) po trzydziestu ośmiu latach napisał wznoszący list. Obok zaleczonych ran pozostała mu w pamięci Kurza Buda, młoda, czarna zgrabna kobieta, która przez kilka dni przynosiła pożywienie.

O tym, że Niemcy zbliżają się do gajówki i znają miejsce ich schronienia Władysław Sidor dowiedział się od starszego pana, gajowego. Mógł nim być gajowy Kwaśniewski lub Dobrowolski, którzy najwcześniej opuścili gajówkę. Gdy o zwykłej porze nie przyniesiono pożywienia, Sidor i jego koledzy zrozumieli że Niemcy już są w Rosochach. Postanowili odejść. Misłowcowa, nie zastawszy żołnierzy, opuściła z bratem gajówkę. Ranni wzięli z „budu” i udali się przez las na południe w stronę Kaniowa. Zatrzymali się w jakimś gospodarstwie w nieznanym im wiosce. Wobec niezłego zagrożenia postanowili rozdzielić się. Władysław Sidor, przez Skarżysko-Kamienną i Radom dotarł do Warszawy.

Nie udało mi się ustalić nazwy wiosek w których Sidor i Gatecki schronili się. Nie udało się też ustalić nazwisk pozostałych żołnierzy. Nie ustaliliśmy również, jak nazywał się poległy pod Szalasem Starym hubalczyk.

Kole Przewodników Świętokrzyskich z Kielc postawiło nieznanemu hubalczykowi w miejscu jego mogiły namiastkowca dr. Natomiast społeczeństwo Ziemi Kieleckiej obchodząc rocznicę wsi Szalasi Stary upamiętniło pomnikiem.



„Hubal” — reż. Bohdan Poręba

Tego nigdy nie da się zapomnieć



Urna zawierająca ziemię, pobraną z obozu na Przemysławej.

Z okazji 40-tej rocznicy utworzenia obozu koncentracyjnego dla nieletnich (Jugendverwachlager in Litzmannstadt) na Przemysławej w Łodzi napłynęło do muzeum obozowego kilkadziesiąt wspomnień byłych więźniów o ich życiu za drutami obozu. Każde z tych wspomnień wnosi swoisty obraz życia i walki o przetrwanie. Są one i pozostałe na zawsze jedynymi dowodami zbrodni, aktem oskarżenia przeciwko faszyzmowi i wojnie.

HALINA WOJTAS z Koszalin napisała:

„W 1940 roku po aresztowaniu ojców i wywiezieniu do obozu, śmierci matki, a było to w sierpniu, mnie wraz z pozostałymi rodzeństwem zabrano do lagru na Kopernika w Łodzi gdzie po segregacji oddzielono siostrę moją Danutę i mnie od pozostałego młodszego rodzeństwa i osadzono w obozie na Brzeźnej. Przechodziłam istne piekło na ziemi. Panował niesamowity głód i różne choroby, a ponadto stosowano wobec nas, dzieci — więźniów, kary fizyczne.

Pamiętam taki przypadek, jak raz z siostrą, z głodu próbowałyśmy „ukraść” brukiew, która była gromadzona jako zapasy na zimę. Zostałyśmy

złapane na gorącym uczynku. Zaprowadzono nas do dyżurki, w której musiałyśmy się położyć na specjalnym stołku do wymierzania kar chłosty i same liczyć wymierzone po 25 uderzeń bykownicem na moje ciało. Kary wymierzali nam hitlerowicze, który nazywał się Willi Miller. Nadzór nad dziewczynkami sprawowała Elza Sławil, która potrafiła wymierzać kary nawet dla własnej zabawy, dla zaspokojenia swych zewszereconych zachcianek. Pewnego dnia zostałam wyznaczona do sprzątania jej pokoju. Byliśmy bardzo głodne, gdyż porcje żywności były bardzo skromne. Podczas sprzątania „ukradłyśmy” po jednej kostce cukru i zaraz zjadłyśmy. Oprawczyni miała zapewne cukier policzony, bo po oddaniu kluczy od pokoju, po niespełna godzinie wezwano nas do tak zwanej w obozie „umywalni” i bykownicem, nazywanym tu powszechnie skórzany kopcem, namoczonym w wodzie, biła tak długo, aż straciłyśmy przytomność. Wtedy „krwawa Elza” przywołała grupę chłopców, aby odnieśli nas na prycze w naszej sztabie.

Pamiętam, że byłam bardzo osłabiona, schorowana, zagłodzona, chwilami śniłałam się na

nogach, nie mogłam jako dziecko wykonywać jej wszystkich zachcianek, całowałam ją po rękach i nogach, żeby darowała mi życie, a ona brała mnie za uszy i podnosiła do góry, a potem rzucała na ziemię tak jakąś szmatę. Takie „zabiegi” były u niej na porządku dziennym w stosunku do wszystkich dzieci, które niemal wszystkie miały popodrywane uszy i po każdym takim zabiegu krew lała nam się po szyjach. Byłyśmy tak maltretowane tylko dlatego, że byłyśmy dziećmi polskimi, że rozmawialiśmy po polsku.

Na początku maja 1943 roku dużą grupę dzieci przewieziono do obozu na Przemysławej. Tutaj pozbawiono mnie nazwiska, a przydzielono numer obozowy 453. Długo uczyłam się wymieniać go po niemiecku. Ilekroć razy dostawałam bykownicem gdzie popadło, gdy część numeru wymieniłam po niemiecku, a część po polsku. W dużo gorszej sytuacji były dzieci młodsze wiekiem i mające numery sięgające kilku tysięcy, które też musiały wymieniać numery po niemiecku.

Pragnienie kromki czarnego chleba, miski zupy, która bardzo przypominała brunatną ciecz, niż to co nazywamy zupą, stanowiło nasze dziecięce marzenia. Tutaj dopiero poznałam naprawdę, co to był głód, ale znalazłam na niego — tak mi się wówczas wydawało — sposób. Otóż starałam się o nim zapomnieć, co niby dawało uczucie sytości. Nie zmieniło to jednak rzeczywistości. Moje ciało przypominało szkielet kościotrupa przyobczonej skórą. Nic też dziwnego, że śmierć zbierała obfite żniwo. Jeszcze dziś, po tak długim okresie, mam przed oczyma obraz, jak każdego dnia, maszerując na plac apelowy, każda sztuba niosła w kocy dzieci, które trawione głodem, chorobami, biciem i nieludzką, ponad fizyczne siły pracą, zmarły nie doczekawszy rana. Na apel musiały się stawić wszystkie ciała — żywe i martwe.

Pamiętam, jak zachorowałam na podskórnicę wszawicę. Zresztą nie ja jedna to przechodziłam. Nasmarowano mnie taką burą cieczą, pod wpływem której wszystkie wszy wyszły na wierzch, a w ich miejsce utworzyły się ropiejące rany, z których ciekła ropa. Chorowałam na jaglicę, krwawą biegunkę, tyfus.

W czerwcu 1944 roku zostałam wraz z grupą innych dzieci wywieziona w głąb Niemiec, do miejscowości Letzlingen, gdzie doczekałam wyzwolenia.

REGINA KIBILSKA z Łodzi napisała:

„Było to 14 lipca 1943 roku, kiedy mój ojciec, Józef Olszacki został aresztowany za dzia-



Na zdjęciu: od lewej — August, Voigt, Bayer, Ehrlich, Nerger, Fuge.

łalność konspiracyjną w ruchu oporu i osadzony w Oświęcimiu, a my z młodszą siostrą Anną przewiezione zostaliśmy do gestapo na Kilińskiego 152, gdzie przesłuchiwało nas dla wydania nazwisk osób, z którymi ojciec utrzymywał kontakty. Mama zmarła jeszcze przed wojną, w 1935 roku. Po bezskutecznym śledztwie, w czasie którego byłyśmy bite, odtransportowano nas do obozu na Przemysławej. Otrzymałam w miejsce nazwiska numer obozowy 3712. W obozie wykonywałam wiele różnorodnych prac, a najczęściej w pralni i przy kuchni. Za święto każda z nas uważała, kiedy wyznaczona została do pracy przy obieraniu ziemniaków, bo można było coś z warzyw ukraść i zjeść. Przyłapano na jedzeniu były bite i przepędzane do innych prac.

Pamiętam, że kilkakrotnie, wraz z grupą innych dzieci, prowadzono nas do obozu na Spornej, gdzie byłam poddawana różnym zewnętrznym oględzinom, w czasie których kazano się nam rozbiierać do naga, a kilku oprawców kwalifikowało nas pod względem przydatności do germanizacji.

W połowie stycznia 1944 roku, wraz z grupą dzieci zostałam przewieziona na germanizację do obozu w Kaliszu, który mieścił się na terenie tam-

tejszego klasztoru przy ul. Poznańskiej nr 1, gdzie przebywałam rok. Tutaj czyniono wszystko, aby zrobić z nas dzieci niemieckie. Nie wolno nam było rozmawiać po polsku, uczono nas jedynie wszystkiego, co odpowiadało postępowaniu niemieckiemu.

Jako 15-letnia dziewczynka na tyle już rozumiałam, dlaczego to wszystko czyniono w stosunku do nas, dzieci polskich, budziło to we mnie bunt, za co byłam bita. I w tym obozie panował głód do tego stopnia, że w nocy zakradaliśmy się do kaplicy, aby zjadać opadającą ze świec stearynę. Pamiętam doskonale, że byłam tak osłabiona na skutek głodu, trapiących chorób, maltretowania, że pewnego razu spadłam ze schodów i bardzo się potłukłam. Straciłam przytomność. Kiedy odzyskałam przytomność, wiele dzieci ukradkiem przyniosło mi swoje głodowe racje chleba, co ozmogło mi przetrwać chorobę.

Na początku stycznia 1945 roku pośpiesznie załadowano nas do pociągu i wywieziono w głąb Niemiec. W czasie transportu w nocy pociąg nasz był kilkakrotnie bombardowany. Wówczas wypędzono nas z wagonów i po kilka godzin leżeliśmy na mrozie i śniegu w polu. W czasie podróży nie wydawano żadnego pożywie-

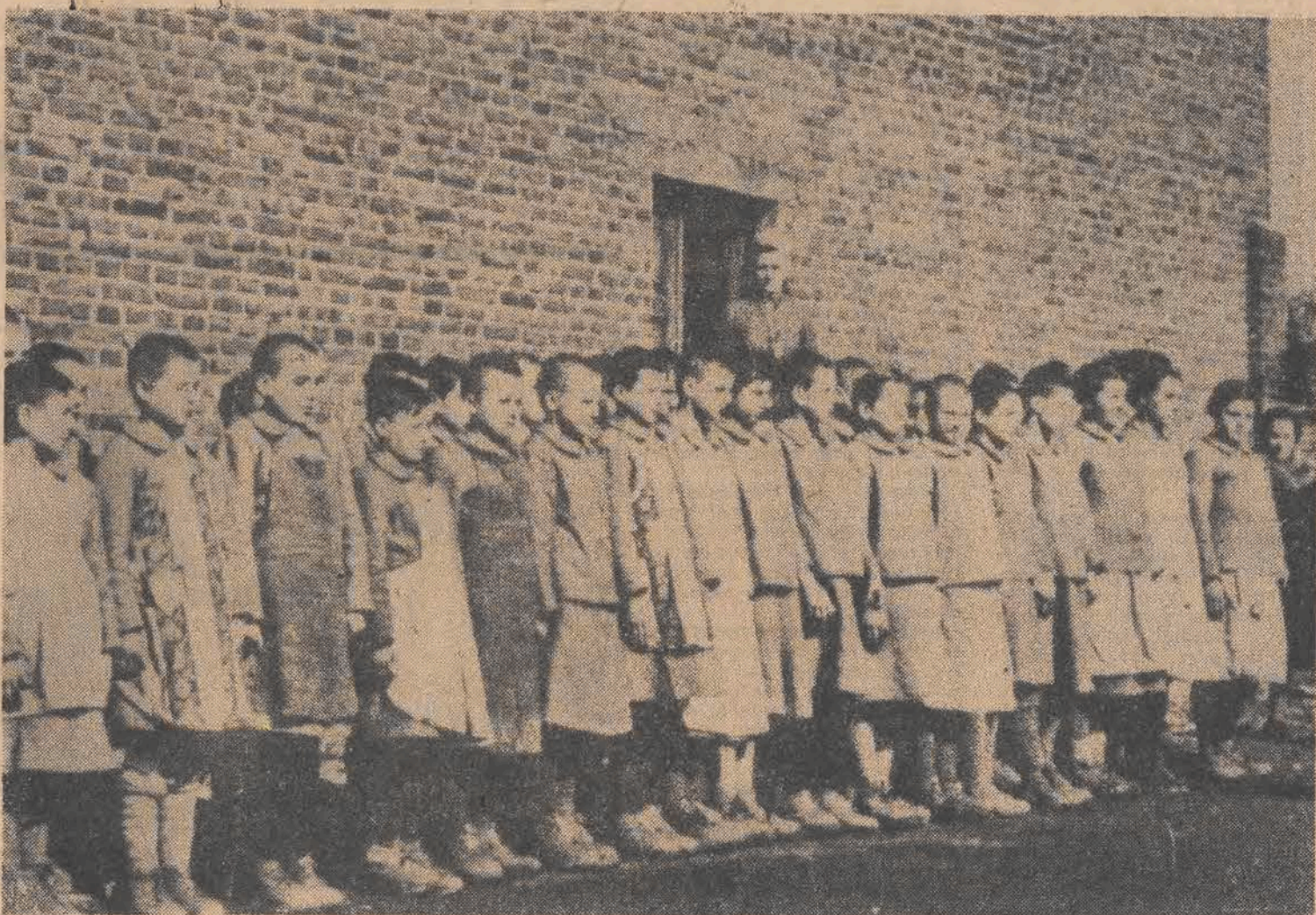
nia. Chorowałam wówczas na biegunkę.

Pamiętam taki moment w czasie tego transportu, bo ormalnie straciłam życie. Za rozmawianie po polsku jeden z oprawców hitlerowskich chwycił mnie z zamiarem wyrzucenia z jadącego pociągu. Było to w marcu 1945 roku.

Nad Odrą, w rejonie Kostrzyna, konwojujący nas hitlerowcy pośpiesznie opuścili nasz pociąg. Po kilku godzinach oswobodzili nas żołnierze Armii Czerwonej. Bardzo serdecznie się nami zaopiekowali, nakarmili, chorym udzieliłi pomocy, a po odzyskaniu sił, po kilku dniach jeden z żołnierzy na rozkaz swego dowódcy, kilkoro z nas, pochodzących z Łodzi, przywoził do miasta, gdzie każde z nas trafiło do swych domów.

W dokumentach opublikowanych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce podaje się, że hitlerowcy wywieźli na germanizację 220 tys. dzieci i młodzieży polskiej. Po wojnie udało się odzyskać jedynie 20 tys. dzieci. Pozostałe być może już nigdy nie dowiedzą się o swoim prawdziwym rodowodzie.

Opracował:
ALEKSANDER PYTKE



Na zdjęciu: w pierwszym rzędzie od lewej strony szóstą stoi pani Regina Kibilska z d. Olszacka.

Rozwód z ideałem

TADEUSZ SŁUPECKI

Mał pani Basi należał do kategorii mężów-idealów. Posiadał gabinet dentystyczny, alkoholiu nie pił, papierosów nie palił, w karty z kolegami nie grywał. Nie przeklinał, nogi starannie w słomiankę wycierał. Zonie przynosił kwiaty i ciastka, na każde imieniny kupował atrakcyjny prezent, do kina i teatru przykładał z nią chodząc.

Był delikatny, czuły, troskliwy, rycerski, gospodarny i nawet w dziesiątym roku małżeństwa aż do śmiechności wierny. Słowem — mąż idealny. Z jedną tylko, jak u niektórych brylantów, skazą: za często lubił przypominać żonie o swej męzowskiej doskonałości.

Wzdychał wtedy mniej więcej tak:

— Gdyby innej kobiecie trafił się taki mąż, to by przed nim w mieszkaniu pył z parkietu ścierała. A ty mnie, Kochanie, nie doceniasz.

— Ja ciebie? Zgłusiu, jak możesz!!! — wykrzykiwała żona z wyrzutem.

— Tak, teraz jestem i „ja ciebie” i „Zgłusiu” — mrużył się — Lecz niechbym wreszcie otrzymał z ministerstwa obiecane stypendium i wyjechał na pół roku do Moskwy lub Londynu... Zaraz by się znalazł w moim zastępstwie jakiś „Kazik” lub „Tadzik”.

— Zgłusiu!!! — wykrzykiwała nadal z urazą.

— No, nie udawaj, aż tak bardzo to cię dotknęło. Wy, kobiety, jesteście jednakże we wszystkich krajach i epokach. Wam nie wystarczy mąż-ideal. Nigdy nie wiadomo co wam w głowach zaświta.

A kiedy pani Basia z uporem milczała, rozważał:

— Tobie byby potrzebny mąż-egoista. Taki, jaki dostał się Angielce, o której pisał pewien francuski humorysta. Facet ją niby kochał, a spać jej nie pozwalał, gdyż całe noce grywał na puzonie. Zonie zaś w ręce paczkę na muchy wciskał i tą paczką kazał sobie na stole rytym wybić. Aż, biedulka, dostała rozstroju nerwowego i musiała wystąpić do sądu o rozwód.

Pani Basia nadal opancerzała się milczeniem. Więc on znowu jej śrubę przykręcał.

— Mojej żonce, widzę, życiowa prawda nie smakuje? To może mam przypomnieć o Amerykance, której mąż-kawalarz umieszczał w ubikacji petardy? Ona błętnie sobie rano w szlafroczku do wygódki, a tam, traci! — petarda.

Twarz pani Basi wykrzywił grymas niesmaku.

— Ajajaj! Jaka to moja pani wrażliwa. A gdybym nie był tak delikatny i żądał od ciebie tego, czego domagał się od żony pewien Malajczyk-ekshibicjonista, abysy sypiała ze mną w łóżku, umieszczonym nad łóżkiem teściowej? „Przekrój” pisał, że przez tę teściową Malajka musiała prosić o rozwód. A znowu pewna Australijka uczyniła tak dlatego, że jej mąż-sknera, polykacz mieczów, zamiast po występach w cyrku hodować kangury, zadrecał żonę polykaniem kluczy od kasetki, gdzie trzymała pieniądze. W Szwecji natomiast mąż-sadysta wpuszczał żonę do łóżka tylko w wieziennym stroju w paski.

Grymas niesmaku na twarzy pani Basi zmienił się w znużenie.

— Co, znowu się krzywisz? Jeszcze gotów jestem pomyśleć, że cię maltretuję. Chciałbym widzieć, jakbyś się krzywiła, gdybyś w życiu miała pecha. Gdybyś, na przykład, urodziła się w Holandii, jako żona tego Holendra, co z zazdrości zamykał żonę z kogutem w kurniku.

Znużenie Basi przechodziło w rozpacz. A on cedził z satysfakcją:

— A może, zamiast męża-zazdrośnika, wolałabyś męża-berfidnego? Proszę, bywają i tacy. I to nawet nie w Holandii lub w Afryce, a w naszym kraju. W Krakowie, na przykład, żona musiała błagać o rozwód, bo ilekroć kandydowała w wyborach do rady miejskiej, tylekroć jej mąż rozkle-

jał nocą odręcznie rysowane plakaty. A na nich pisał: „Obywatele! Nie głosujcie na moją żonę! Bo jeśli będzie was zdradzać tak często jak mnie, to na pewno za jej kadencji nie będziecie szczęśliwi”.

I aby w żonie utwierdzić kult dla swej męzowskiej doskonałości, pan Zygmunt oświecał ją w podobnym stylu zgrzeszycielki lat ich małżeństwa.

Dłużej nie mógł. Bo w jedenastym roku pani Basia także wniosła do sądu prośbę o rozwód. Pan Zygmunt nigdy nie zrozumiał przyczyn tej kroku.

Nie mogło tego pojąć także wiele osób, znających ich oboje od lat. Niektórzy mówili nawet o tej sprawie, że zgrzeszeniem. Bo jakże to tak: mąż-ideal i rozwód?

A czy to, moi mili, człowiek w życiu tylko z jednym ideałem rozwód bierze?

Zeus w biurze

W moim biurze działała kilka. A że wojowałem z nią w pojedynkę, dano mi w końcu wymówienie i poszedłem do domu jak zmyty. W takich chwilach, dla poprawienia nastroju, zwykle sięgam po książkę o greckich bogach i półbogach: ilekroć o nich czytam, sam czuję się mocniejszy. Tym razem jednak byłem tak zmęczony, że nad nią usnąłem. Po czym mi się przyśniło, śmiech wyznał, że stałem się władcą greckich bogów, Zeusem. I już w tej postaci zszedłem z Olimpu, by rozprawić się z biurową klęką. Lecz zaraz ktoś z niej sięgnął po telefoniczną słuchawkę i wkrótce przed biurko zajechała karetka pogotowia.

— Gdzie jest ten płaszek? — zapytał lekarz.

Ton tego pytania podrażnił moją ambicję. Rzecz bowiem działa się we śnie i czulem się już nie zwolnionym z pracy urzędniczym, lecz gromowładnym Zeusem. Nawet ubrany byłem jak Zeus lub przynajmniej dawny Grek: w krótki chiton, luźną męską szatę przepasaną pasem, włożoną na gołe ciało. Na to narzuciłem chlamidę — owalny płaszcz sukna spięty na piersiach, nogi miałem obute w przewiewne greckie sandały, w dłoni trzymałem piorun. Toteż powiedziałem ostro:

— Panie doktorze! Wypraszam sobie taki ton. Wprawdzie w Grecji, gdy szło o porwanie kochanki-Eurody, zmieniałem się nawet w byka, ale w płaszka nigdy.

— A Leda, o gromowładny? To wtrącił się Hermes, wlatując z wdziękiem przez biurowe okno. Był w Grecji posłańcem bogów oraz patronem kupców i złodziei, więc poczułem lęk, by nie zechciał wspierać biurowej klęki. Lecz stare przywiązanie do Zeusa przeważało: Hermes otrząpał z kurzu skrzydełka u stóp, ułtawiając mu lot, poprawił na biodrach kąpielowy ręcznik, który świsnął gdzieś po drodze dla przykrycia nagości, skromnie stanął przy mnie. Więc odparłem łagodnie:

— Leda, zacy Hermesie, to co innego. Tę piękną żonę króla Sparty Tyndareosa uwodziłem nie w postaci małego płaszka, lecz ogromnego labedzia, a i tak krzywiła się na taką miłośc.

Lekarz nakazał biurowej klęce przejść do sąsiedniego pokoju, a sam pozostał z nami w towarzystwie dwóch rosłych pielęgniarzy, ubranych w szpitalne kitle. Mojej rozmowy z bogiem złodziei słuchał z zainteresowaniem.

— Ciekawy przypadek — orzekł, zacierając dłoń. — W szpitalu miałem już dwóch Napoleonów, trzech Chopinów i czterech Einsteinów. Ale grecki bóg trafia mi się pierwszy raz.

Po czym nakazał, abym się rozebrał, bo musi mnie zba-

dać i zabrać na obserwację do szpitala dla psychicznie chorych.

— Ależ moja psychika jest całkiem w normie! — powiedziałem zdumiony.

— Nikt na świecie nie jest całkiem normalny — wtrącił pierwszy pielęgniarz. Przy tym z nadmiernego wysiłku udzielnego zrobił minę tak idyotyczną, że prawie mu uwierzyłem. Lekarz ślad przy biurku i pisał coś, dogadując poblazliwie:

— Pan na serio uparł się wmawiać wszystkim w biurze, że jest greckim bogiem?

— Ba! Kłopot w tym, że jest — poparł mnie znów Hermes.

Sądziłem, że świadectwo Hermesa, stojącego wciąż z ręcznikiem na biodrach, wystarczy. Ale pielęgniarze i psychiatra wybuchnęli śmiechem. Lekarz poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że jeśli istotnie jestem greckim bogiem, to może bym pokazał sztuczkę z piorunami. Urażony w ambicji, natężyłem wolę i cisnąłem w sufit trzymany w dłoni piorunem. Zarówka zgasała, ciemność pokoju rozzerwał zryzek błyskawicy, rozległ się huk grzmotu. Z ironicznym uśmiechem czekałem w ciemności na błagalny krzyk lekarza i pielęgniarzy, lecz oni milczeli. Przeraziłem nowoczesną niewiarą w rzeczy nadzwyczajne. Również za drzwiami sąsiedniego pokoju, gdzie z uszami przy drzwiach czekali ci z biurowej klęki, ktoś krzyknął tylko:

— Elektryk! Gdzie jest elektryk? Znowu nawaliły korki! Po czym żarówka u sufitu zaświeciła się na nowo.

— A pan z czego się śmieje? — burknął na mnie ze złością lekarz. — Czy dlatego, że elektronika wkręciła słabe korki, to ja, lekarz psychiatra, człowiek nowoczesny, mam uwierzyć w te bajeczki o Zeusie?

Zacny Hermes uczynił krok w stronę lekarza próbując znowu przekonać go, że jesteśmy greckimi bogami. Widząc jednak bezwzględność tych wysiłków, zdecydowałem się wyjąć spod chlamidy róg obfitości, jaki we śnie zabrałem z Olimpu bogini urodzaju. Na próżno jednak wyciągałem z rogu snopek zboża i kosze owoców. Pielęgniarz z tego też się tylko śmiał, a lekarz orzekł, że jestem iluzjonistą. Magikiem, co potrafi wyjąć z kapelusza nawet żywego królika. Więc ze złości wyciągałem z rogu obfitości za uszy i królika.

— Świetny kawał! — cieszył się lekarz. — Przyznał pan, panie iluzjonisto, żeś po pijanemu ubrał sobie tę szopkę z greckim bogiem, a uznasz pana za zdrowego.

— Kiedy naprawdę jestem greckim bogiem! — upierałem się wciąż, jak wobec tych z biura w swojej samotnej uczuciowości.

— Beznadziejny przypadek — machnął dłoń lekarz.

Polecił mi zdjąć chlamidę, a także mój chiton. Ale że chiton, jak praktykowano w Grecji, nosiłem na gołym ciele, pozwolił mi w nim pozostać. Kazał stanąć na baczność, zamknął lewe oko, prawym przyglądał się bacznie moim gołym stopom w greckich sandałach. Jednocześnie mówił z poczuciem zawodowej wyższości:

— Słyszałem, jak pan powiedział do pana, nazwanego „zaczynnym Hermesem”, że niedługo zmieni się pan w labedzia, a nawet w byka. Czy często

pan cierpi na podobne urojeństwa?

— Wypraszam sobie takie sugestie!

— A może kojarzy pan z ptakami innych ludzi?

— Owszem. Na przykład niekiedy gęś z kobietą.

Ze zdziwieniem skonstatowałem, że zaczynam z lekarza pokpiwać. Mijało oszołomienie, wracała mi świadomość zeusowej wszechmocy. U lekarza przystąpiła ta sterowała w odmiennym kierunku. Z początku, ufny w medyczną wiedzę, wy-dawał się być przekonany, że ktoś, nazywający siebie Zeusem i ubrany w biurze w śmieszne, starogreckie szatki, musi być umysłowo chory. Teraz z każdą chwilą tracił pewność siebie. Przynawał, że jak na Zeusa, rozumując zadziwiająco logicznie i pytał czy przypadkiem ja nie uważam go za wariata. Pozwoliłem sobie znów na kąpiącą odpowiedź.

— To dobrze! — ucieszył się ponownie lekarz. — Bo wszyscy chorzy uważają za wariatów nie siebie, a lekarzy psychiatrów.

— I chyba nie bez racji, panie psy...chiaro? — pozwolił sobie na dowcip także bóg kupców i złodziei.

— A pan Hermes niech też nie będzie taki dowcipny! — rugnął go lekarz. — Bo za tożenie po biurze z ręcznikiem na biodrach mogą zająć się i panem!

Ale pewność siebie wyraźnie go opuszczała. Widziałem, jeszcze nie wierzył, aby w tym pojedynku: współczesna medycyna kontra człowiek, podający się za Zeusa, mogła odnieść porażkę medycyna. Ja natomiast byłem tego pewien od początku, miałem jednak nad nim przewagę. Wiedziałem bowiem nawet we śnie, że o nim i moim wcieleniu w Zeusa tylko śnie, gdy on o tym nie wiedział. Lekarz kazał mi złożyć jeszcze nogę na nogę, metalowym młoteczkami stuknął mnie w kość poniżej kolana. Noga podskoczyła pod młoteczką z umiarem, lekarz musiał z zalem przyznać, że odruch w kolanie mam także prawidłowy. I że jestem zdrowy jak byk.

— Nie rozumiem tylko — dodał — czemu pan udaje tego śmiesznego Greka. No bo pomyśl pan sam; XX wiek i Zeus, w dodatku w biurze?

Chciałem mu wszystko wyjaśnić, lecz się obudziłem. Leżałem na tapczanie w moim mieszkaniu, trzymając w jednej dłoni książkę o dawnych mezbach Grekach, a w drugiej wręczoną mi rano wymówienie z pracy. Pomimo tego odczułem naraz dziwną ulgę: czyż moje wojowanie w pojedynkę z klęką nie było właściwie zabawą. Jeden uczyłwy przeciw wielo? Musiałem im chyba wy-dawać się jakąś senną żwawą, śmieszny Zeusem w biurze... Cóż z tego, że jak on ufny w siłę swej wyjątkowości? Kiedy wrogów kupa i Herkules... A swoją drogą mam szczęście. Gdyby bowiem lekarz z mojego snu dowiedział się, że przystąpił do Zeusem i z nim walczył, zdarzyła mi się we śnie, to za takie sny z całą pewnością zakwalifikowałby mnie do grona stukniętych.

(Opowiadania z tomu przygotowanego do druku).

Bigos hultajski

(Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa)

„Bigos hultajski, podobnie jak barszcz lub zrazy — pisał w 1860 r. Cezary Biernacki — jest najlubiejszą potrawą kuchni polskiej. Przyrządza się z kapusty kwaszonej z drobno pokrajanym mięsiwem: wołowym, cielęcym, wieprzowym, kiełbasą, a nawet z podrobioną zwierzyzną, słoninką lub grzybkami, podlewany niekiedy w umiarkowanej ilości winem francuskim. Zwykle bigos praży się długo i długo na węgłach; odgrzewany, nabiera w smaku większej wartości, dlatego też starzy Polacy wybierając się w dalsze strony kraju, gdy drogi publiczne były zaniedbane, a domy zajeżdżone rzadko gdzie spotykane, oprócz puzdra z kordialami i wódkami, zabierali do bryk podróży, laski obejmujące w sobie niekiedy po kilka garncy dobrze uprażonego, opieprzonego, a tak zawsze smakowitego w domu szlacheckim bigosu”.

Niechym owym specjałem kuchni staropolskiej, pragniemy podzielić się z Państwem innym bigosem, na który złoża się będą anegdota, dokumenty i sensacje sprzed lat, podlane obficie ostrym sosem dawnego słownictwa i stylu, a przypominające ludzi i zdarzenia z życia codziennego minionych czasów.

Abym odczuwać się wreszcie od teoretycznych rozważań nad dobrocią bigosu, o jakiej trudno marzyć w dzisiejszych trudnych czasach, przywołam ten fragment „Pana Tadeusza”, który pasuje jak ulał do naszego cyklu:

„W kociołkach bigos grzano; w słowach wydać trudno Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną; Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek, Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek. Aby ocenić litewskie pieśni i potrawy, Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy, Przecież i bez tych przypraw potrawa nie lada. Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa. Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta, która, wedle przysłowia, sama idzie w usta; Zamknięta w kotle, ionem wilgotnym okrywa Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiva; I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie Soki żywne, aż z brzegów naczynia war prysnie I powietrze dokoła zionie aromatem. Bigos już gotów...”.

PRZED WYDANIEM DZIEŁ KOCHANOWSKIEGO
Za rok, 22.VIII.1984 r., obchodząc będziemy 400 rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego. Wydawcy zapowiadają od dawna publikację „Dzieł wszystkich” Jana z Czarnolasu. Zanim to nastąpi, przeczytajmy, co na podobny temat pisano przed stu z górą laty:

„Domagają się niektórzy, żeby w zamierzonym wydaniu dzieł Kochanowskiego pomieszczone wszystkie jego fraszki, bez żadnych zmian i o-cuszczeń.

Nic byśmy przeciwko temu nie mieli, gdyby wydanie to było przeznaczone wyłącznie dla owych „niektórych”.

Abym rzecz się ma przeciwnie. Dzieła Kochanowskiego będą czytane wszyscy, tak jak wszyscy czytają na przykład teraz dzieła Fredry.

Ciekawa rzecz, czy i w tych ostatnich panowie „niektórzy” pragnęliby widzieć wszystko co wyszło spod pióra jowialnego komediopisarza???”

Spodziewać się należy, iż fraszki wielkiego poety zostaną wydane w całości, natomiast 13-tomowe „Pisma wszystkie” Aleksandra Fredry, wydane w latach 1955—1968, istotnie nie zawierają tego „wszystkiego”, co miało na myśli anonimowy publicysta warszawskich „Kolejów” w 1879 r. A sprawa dotyczy młodzieńców, wiele gorszących poematów, krążących od lat w odpisach i niecenzuranych edycjach prywatnych. Poświęcił tym swawolnym tekstom Fredry specjalne studium Bogdan Zakrzewski i zawarł w tomie „Fredro z paradyzu”.

MYSLIWSKA PRZYGODA AUSTRIAKA
„Osuchowski z Zerniczki, stary myśliwy, powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich droższymi z laki aż na pagórek, gdzie objechał niedźwiedzia. „Odezwał się — mówił — tropowiec, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku zmagał się ku działom. Ja stałem na uszyku, z drugiej strony laki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem może goście zadychane wypadają gęsięgo na łakę krzycząc: „Niedźwiedź! Niedźwiedź!” — Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup błądy, komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? — Biała kobyła. — Cóż się stało? — Biała myśliwska kobyła uwiązana w gąszczu, spłoszona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia, urwała się i puściła ku domowi na pół droższymi. Nie czekał jej kreiskomiser, krzyknął: „Gwałt!” i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernał — tak i cała linia wstąpiła się następnie na łakę, ścigana białą kobyłą”.

ALEXANDER FREDRO, Trzy po trzy
LITERA M W ŻYCIU NAPOLEONA
W „Biesiadzie Literackiej” z 1880 r. znajdujemy ciekawą za-iste wiadomość, która winna zainteresować miłośników wielkiego Cesarza.

„Litera M w życiu Napoleona I odegrała ważną rolę. Nazwiska jego sześciu marszałków (Murat, Moncey, Massena, Mortier, Macdonald, Marmont) rozpoczynały się, jak widzimy, od tej litery, jak niemniej nazwiska 26 generałów, dowodzących oddziałami dywizjami. Pierwszą bitwę stoczył pod Montenotte, ostatnią pod Mont-Saint-Jean Laur zwycięski zdobywał pod Mollesime, Mondovi, Marengo, Moskwa, Montmirail i Montereau. Maitland było pierwszym nieprzyjacielskim miastem, do którego wstępował jako triumfator, Moskwa — ostatnim, lecz ta podobnie jak Madryt, była przyczyną jego klęski. Na wyspę Świętej Heleny towarzyszył mu Montholon i pierwszy kamerdyner Marchand. Pierwszy zdradził go Murat, a Menou był winnym odpadnięcia Egiptu. Moreau długi czas był jego współzawodnikiem, a później zdracą. Nazwiska trzech jego ministrów były: Mavel, Montalivet i Moll. Pierwszy jego szambelan był Montesquieu; Malmaison było ostatnim miejscem pobytu jego we Francji; Kapitan Maitland odwiózł go na wyspę Świętej Heleny”.

CZTERY WIERSZE NA DOBRANOC
Pamiętamy wszystkie przepiękny sonet Mickiewicza „Dobranoc”, ale przypominajmy sobie raz jeszcze choćby pierwszą jego zwrotkę:

„Dobranoc! już dziś więcej nie będziemy bawili, Niech snu anioł modrymi skrzydłami cię otoczy, Dobranoc! niech odpoczną po łzach twoje oczy, Dobranoc! niech się serce pokojem zasili!”

A oto, jak „zastuchali” się w ten wiersz wielkiego poety jego pomniejsi naśladowcy: Adolf Bronic (1830), Józef Bohdan Wagner (1836) i Ludwik Potopowicz (1845):

„Dobranoc — niech cię Pan Bóg darzy zawsze zdrowiem, Dobranoc — niech sen twoje osłodzi cierpienie. Bądź szczęśliwą — już idę, tylko słówko powiem, Niech mnie jeszcze ucieszysz twe mile spojrzynie”.

(BRONIC)

„Dobranoc! jak przy tobie spiesznie czas ucieka... Już późno, trzeba odejść, rozłączyć się z miłą, Dobranoc — oby ci się słodko, mile śniło, Dobranoc — już ci z lekka skleja się powieka”.

(WAGNER)

„Dobranoc — Niech noc całą sen w lubym widoku Swej nadziemnej krainy skarby ci otwiera, Niech wzrok duszy na wszystko co mile spoziernia, Unosząc myśl swobodną — na szczęścia obłoku”.

(POTOPOWICZ)

Opracował: ANDRZEJ KEMPA



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sam na sam z aktorami i piosenkarzem



Foto: Renata Pajchel

Foto: Renata Pajchel

Dokończenie ze strony 1

je się to w chwilach szczególnej rozpaczy, radości, może czasami na scenie.

— Czy wie pan, co mówią o nim w branży?

— Wiem. Mówią, że jestem pustą wewnętrzną, że moja technika przerosła mnie.

— I co pan na to?

— Boję się, że jest w tym część prawdy. Dlatego marzę, aby zagrać Seweryna i zobaczyć go. W każdym razie zagadnienie techniki aktorskiej i mojego stosunku do niej wynika z traktowania zawodu jak zawodu, którego można się nauczyć.

— Może się zdarzyć, że to co pan robi bywa tylko wypracowaną produkcją, a nie pracą twórczą.

— Może się zdarzyć. Najważniejsze, żebym sam o tym wiedział i nie oszukiwał siebie, że stale jestem artystą.

— I gwiazdorem.

— Nie interesowały mnie gwiazdorstwo i mity aktorskie. Ten zawód wymaga bardzo konkretnych umiejętności. Moim obowiązkiem jest im sprostać.

— W Theatre des Amandiers w Nanterre we Francji, w sztuce „Oni” Witkacego ubrał się Pan w dekolowaną suknię, z futrzonym boa, założył lokowatą blond perukę, buty na wysokich obcasach i przekomarzał się pan w miłosnych scenach z Wojciechem Pszoniakiem. Francuscy widzowie myśleli, że jest pan transwestytą?

— Nie interesowały nas sprawy płci. Przez obsadzenie ról kobiecych mężczyznami i odwrotnie, pokazywaliśmy totalną względność przedstawianego świata. Nie grałem kobiety. Jestem aktorem, który grywa kobiece role, tak jak w teatrze Szekspira. I to mnie uspokaja. Zanim się duszę kobietą, a nie jej zewnętrznością.

— Ale trudność zagrania takiej roli była chyba dla pana podwójna?

— O nie. Mam duszę kobiecą.

— Andrzej Seweryn ma już trzecią żonę, podręczną aktorkę francuską. Ma też syna urodzonego we Francji. Gra w teatrze coraz większe role. Mieszka w Paryżu. Chyba nie wro-

ci do Polski. Duża strata dla polskiego aktorstwa, bo talent to najwyższej próby. Jaki to człowiek? Może rysuje się zarys w pamiętkowym wywiadzie, który chciał po sobie zostawić — jego fragmenty powyżej.

„NIE STAĆ MNIE NA PEŁNY EKSHIBICJONIZM...”

JAN ENGLERT jest aktorem, który tworzy typ mężczyzny raczej introwertyka niż ekstrawertyka, jest skłonny w większym stopniu do ukrywania swojego „sekretnego”, do stwarzania pozorów. Dzięki swoim warunkom fizycznym i psychicznym może grać całym sobą. I gra. To na ekranie, na scenie, a w życiu prywatnym? Wita mnie ozięble, wręcz otwarcie manifestując swój niechętny stosunek do kogoś, kogo zaprosił jednak do domu. Taksuje mnie wzrokiem jak sztylety, od góry do dołu i odwrotnie. Nie podaje ręki na powitanie. Na szczęście robi jakiś gest zaproszenia do pokoju. Je śniadanie, mówi, że ma mało czasu. Mało tego, legitymuje mnie, chce wiedzieć, komu udziela wywiadu, choć zna mnie z lamów prasy warszawskiej i uważnie czyta moje wywiady z kolegami-aktorami, ale do tego przyznaje się później. Przez pierwszą godzinę odpowiada jakby od niechcenia, z przymusem. Gra kogoś tak nieprzyjemnego, czy jest sobą? Jestem przygotowany na przerwanie wywiadu i pożegnanie aktora ale on ratuje nieprzyjemną sytuację i staje się bardziej rozmowny i sympatyczny... Zawdzięczam to swojemu wnikliwemu przygotowaniu do wywiadu i znajomości dorobku aktora. Rozmowa w drugiej godzinie toczy się w lepszym tempie, z materiału, który już mam wyłania się postać Englerta-aktora, przyszłego reżysera, pedagoga, społecznika. Aktor zdaje się nie zauważać, że przekraczam wyznaczony przez niego czas rozmowy i wkraczamy w trzecią godzinę wywiadu.

— Uprawia pan kilka rodzajów działalności społecznej. Ale chyba najbardziej czuje się pan aktorem?

— Nigdy, w stu procentach, nie czuję się aktorem. Nigdy nie stać mnie było na pełny ekshibicjonizm. Gdzieś na dnie pozostawała niechęć przed obnazaniem się. Zazwyczaj kolegom, którzy nie mają oporów (natury emocjonalnej) i wahań przy stwarzaniu kreacji. Oni dostają skrzydeł, mnie one zaledwie wyrastają. Co prawda w filmie nie otrzymałem jeszcze roli, która odpowiadałaby mojemu prywatnemu alter ego.

— Ale aktorem został pan z powołania?

— O fakcie tym zdecydował przypadek. W filmie zadebiutowałem jako uczeń szkoły podstawowej (w „Kanał”). To, że zadowolono z PWST również sprawił przypadek. Wierzę w przypadek. Tylko wolała ta jest o tyle zabawna, że uważam siebie za realiste, a nawet za racjonalistę.

— W zawodzie jest pan optymistą czy pesymistą?

— Zawsze uważałem, że jestem optymistą. Natomiast jeśli chodzi o przyszłość zawodu, który uprawiam od 1964 roku jestem realistą z lekką dozą pesymizmu.

— A skąd ta nutka?

— Nastąpił upadek wszelkich profesji teatralnych, od reżyserów przez aktorów do ekipy technicznej. Brzmi to niemal pogrzebowo, ale to co nas opanowało nazywam jedynie chorobą, lecz nie chorobą śmiertelną. Oby tylko nie powróciła sytuacja, w której wieczorek zapoznawczy Funduszu Wczasów Pracowniczych rozliczany był z funduszu kulturalnego.

— Nie można kwestionować pańskich umiejętności zawodowych, która rola nobilitowała pana najbardziej?

— Sądzę, że w filmie pierwsza rola. Wszystkie następne role to konsekwencje po nobilitacji. W tym zawodzie ważną rolę odgrywa szczęście i przypadek. I dobrze, jeżeli znajduję one potwierdzenie w rzeczywistych umiejętnościach, gorzej, jeżeli aktor nie potrafi dorównać swemu mitowi.

— Pan chyba nie był kreowany na idola?

— Ależ byłem i to na siłę. Byłem temu przeciwny, brońmiem się rękami i nogami.

— Zabrakło roli, która określiłaby pana i wyniosła?

— Tak, zdaje sobie z tego sprawę, ale to nawet dobrze, że tak się stało. Mój aktorski czas przyjdzie za 10 lat.

— A gdyby tak więcej nie mógł pan grać?

— Nie rozpaczałbym, jest jeszcze kilka zawodów: reżyseria, dziennikarstwo (sportowe), pisanie scenariuszy, dialogów, nie mówiąc o pracy pedagogicznej w szkole teatralnej.

— W sumie to wybrał pan mało męski zawód?

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

— Względne pojęcie. W każdym zawodzie można być mężczyzną lub nie. Coraz poważniej myślę o reżyserii. A ci, którzy mówią że gram za dużo, będą usatysfakcjonowani, jeżeli powiem — gram coraz mniej.

— Jan Englert od czasu wywiadu grał rzeczywistość mało. Nie znam go w pracy na planie, na próbie, na zajęciach w szkole. Ale nie chciałbym poznać, podejrzewając, że w pracy, przynajmniej na początku, bywa bardzo nieprzyjemny. Może się mylę, wszakże w opinii powszechnej Englert to jeden z najbardziej sympatycznych (i lubianych) aktorów.

plynnie mówić, męczy się przy tej czynności okrutnie. Pot spływa po niezwykle przystojnej twarzy... Jest mokry. Prosi o przerwę.

Tą twarzą mógłby — jak powiedziała mi Beata Tyszkiewicz — zrobić światową karierę w filmie. I pewnie zrobiłby, gdyby przyjął propozycję po roli Faraona. Ale on wolał wrócić do szkoły teatralnej. Kariery zagranicznej nie zrobił. Jest nadal skupiony, przy tym taki skromny, bez pozy gwiazdorskiej, choć właśnie on mógłby sobie na nią pozwolić. Ma chyba kompleks swojej wielkiej urody, bo gdy mówię o niej, stwierdza, że się starzeje i nie lubi patrzeć w lustro. W ogóle jest niepewny swoich atutów zawodowych i nawet tych czysto zawodowych. Z zaangażowaniem mówi o domu, żonie i synku, na którego urodzenie czekał wyjątkowo długo.

— Czuję się pan aktorem w pełni wykorzystanym?

— No cóż, życie podobno nie jest drogą uślaną różami bez kolców, pnącą się nieustannie i łagodnie na szczyty szczęścia i powodzenia. Większość z nas (nie tylko aktorów) ma swoje okresy niedopiecznia przez los i ludzi, którym się wydaje, że nami sterują. I uważam, że wielce pożytecznym jest mieć takie momenty. Oczywiście pod warunkiem, że to mobilizuje do większej aktywności. Na przykład do nowych marzeń i próby ich realizacji, bez oczekiwania na pomocną dłoń jakiegoś czulego mecena. Także do marzeń o sobie w zupełnie innych, często odległych od zawodu okolicznościach. Dystans do zawodu, widzenie go przez pryzmat innych wartości — może potem, właśnie w aktorskim zawodzie dawać nieoczekiwane rezultaty.

— W jakim stopniu warunki zewnętrzne aktora ograniczają jego możliwości i wykorzystanie?

— Ograniczają wtedy, jeżeli aktor jest ograniczony, bo sądzi, że sam wygląd zewnętrzny może mu cokolwiek gwarantować, albo jeżeli reżyser organizuje obsadę w sposób powierzchowny i banalny.

— A czy zagrał pan rolę wbrew swoim predyspozycjom?

— Myślę, że jak większość ludzi mam różne, często sprzeczne predyspozycje psychofizyczne. Świadomość tego, umiejętność wydobycia na światło dzienne cech, które drzemają w ukryciu, rzadko się manifestują, a jednocześnie — dla potrzeb roli — zagłuszenie tych cech, które ja i moi biescy znamy dobrze z życia, takie m.in. manipulacje ułatwiają mi budowanie nowej, ale nie obecnej osobowości. Powstaje osobnik, w którym rozpoznaje własne cechy, ułożone tylko w nieco innych proporcjach niż w tak zwanym życiu. Nie postaram się o znalezienie jakichkolwiek więzi pomiędzy sobą i rolą np. w filmie TV „Przekładaniec”, czyli zgrałem przeciw sobie i to, niestety, widoczne jest na ekranie.

— Grał pan w serialach TV, które dają aktorowi szczególnie dużą popularność. Jeżeli ludzie oglądają się za panem na ulicy i mówią: Murek, król Zygmunta, to będzie to zwycięstwo nad Ramzesem?

— Normalnych ludzi, taka akurat forma objawiania się społecznej akceptacji — męczy. Liczę, że ewentualne zwycięstwo będę mógł mierzyć bardziej wyrafinowaną miarą.

— Nie boi się pan pozostać na dłużej tymi serialowymi postaciami?

— Jedynym sposobem na takie zmartwienie jest dalsza praca. Nie marzę jeszcze o emeryturze, choć regularnie placę składki.

— Dlaczego wybrał pan aktorstwo?

— Być może próżności mojej dogadzała kiedyś perspektywa publicznej prezentacji. Dziś pozostaje jeszcze przy wyborze sprzed szesnastu lat, bo zdaje mi się, że może być pożyteczne takie rozdawanie siebie, także ulotnego, niedojrzałego.

— Kariera zawodowa, jak pan ją rozumie?

— Nie marzyłem nigdy i nie marzę o tym, co obiegowo składa się na pojęcie słowa ka-

riera: o stanowiskach czy popularności. I mam nadzieję, że w praktyce udaje mi się to potwierdzić. Mam sceptyczny stosunek do słowa kariera, to co chce robić nie nazwałbym karierą. Moja aktywność życiowa nie przylega do niego. To, do czego dążę jest po prostu szukaniem prawdy. Jest to tak ogólne, że może brzmieć jak wykret. Aktorstwo jest dla mnie jednym ze sposobów odpowiadania na pytania lub stawiania pytań.

Jerzy Zelnik na propozycję nowego wywiadu prasowego, odpowiedział: może za dwa lata, ale nie teraz, jestem wypalony, za dużo pracowałem, na temat tego, co ostatnio zrobiłem nie mam jeszcze sprzecywanego poglądu. Teraz przede wszystkim chcę się zająć swoim synem... Może i pan Jerzy ma rację, rozmowy z nim na temat zawodu nie należą do łatwych i przyjemnych, choć on sam jest samym urokiem i ostoją spokoju.

— Jest pan piosenkarzem komercyjnym?

— Tak i nie wstydzę się tego. Komercja w Polsce równa się łatwiznie. W rzeczywistości bardzo trudno jest w niej egzystować. W swoim zawodzie jestem profesjonalistą, a nie amatorem.

— Ale jest pan samoukiem?

— Weryfikacji estradowej przed Państwową Komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki nie otrzymałem na ladne oczy. Na estradzie śpiewam zawodowo od 1963 roku.

— Teraz gdy jest pan nieobecny w Polsce niczego się o panu nie pisze, chyba już lepsze były te kontrowersje i napęski?

— Nie można być całe życie tym samym, kim było się kiedyś. Takie jest prawo życia, że przychodzą młodzi ze świeżym spojrzeniem na różną rzecz, również z talentem i ambicją bycia kimś. To jest uśmiałe. Jakoś nie ubolewam nad tym, że nie ma mojego nazwiska na listach najpopularniejszych piosenkarzy z danego roku. Wystarczy mi satysfakcja, że jestem w sercach milionów Polaków i piosenki wykonywane przez mnie, czasem wręcz „obrucane diotem” przez „obiektywną” krytykę, niosły ludziom w swoim czasie uziarszenia. Polskiej publiczności zawodziłam to, że jestem dzisiaj w USA i m.in. dla niej właśnie podjąłem ten ryzykowny i uyczerpujący wysiłek walki o pozycję na tym trudnym terenie. Moim marzeniem jest, aby Polacy byli kiedyś ze mnie dumni. Mam również nadzieję, że pądy mi się nie powiodło w Ameryce, to właśnie oni przyjmą mnie za siebie z otwartymi ramionami w Polsce.

Krzysztof Krawczyk prawdziwie przyjechał do Polski latem, towarzyszył mu będzie własny zespół muzyczny „Krzysztof Orchestra” złożony wyłącznie z muzyków amerykańskich. Są już konkretne plany odnośnie jego pobytu w kraju, wśród nich koncerty przed wieloletnią publicznością. Po dwóch latach zobaczymy Krzysztofa Krawczyka na polskich estradach, choć nie będzie to już ten sam „baryton agresywny w stylu disco czy rocka” co dawniej, będzie to amerykański showman śpiewający w stylu, który zadowolą specyficzne gusty amerykańskiej publiczności. Ponadto z dużym powodzeniem w USA, jego piosenki coraz rzadziej goszczą na antenie radiowej. Nie grozi mu jednak zapomnienie, wierna publiczność wciąż prosi o jego piosenki i informacje o pracy w St. Zjednoczonych. Kiedy był w Polsce, mówiło i pisało się o nim różnie, a przeważnie w takim oto stylu.

— „No głos to on ma dobry, ale czemu taki sztywny ten Krawczyk”. I co pan na to?

— W USA uczęszczałem do Nowojorskiej Akademii Baletowej, w której pilnie studiowałem tajniki tańca jazzowego. Ukończyłem kursy III i II stopnia. Ale nie znaczy to, że teraz fikam koziołki na estradzie i zapieprzam w baletkach niczym primabalerina.

— Na estradzie Krawczyk często mizdrzy się, a jego „wdzięk” może doprowadzić do furii?

— To jakiś stary cytat. A wie pan kogo denerwuje mój

„wdzięk”? Najczęściej mężów ładnych zón.

— A pańskie garnitury?

— Słyszałem jak ludzie pytali: „Kto ubiera tego Krawczyka, że on wygląda jak fryzjer”. Odpowiadałem: Ubiieram się sam. Były też inne określenia: śpiewak dla kucharek, antyidol. Jak pojechałem po raz pierwszy do Ameryki, mówili: Nie uda mu się. A mnie się udało, zaproszono mnie na drugi kontrakt, później trzeci, czwarty...

— A maniera?

— Maniera wokalna to coś, co powoduje rozpoznanie piosenkarza. Tak łatwo mówi się i pisze, że ktoś ma manierę, bo tak jest temu komuś wygodnie. Ja po prostu pracuję nad swoim stylem, abym mógł śpiewać i być chętnie słuchanym także w 55 roku życia. Kiedyś naszpantałem się i „ryczałem” w piosence od początku do końca. Obecnie mogę spokojnie słuchać siebie w radiu.

— Jest pan piosenkarzem komercyjnym?

— Tak i nie wstydzę się tego. Komercja w Polsce równa się łatwiznie. W rzeczywistości bardzo trudno jest w niej egzystować. W swoim zawodzie jestem profesjonalistą, a nie amatorem.

— Ale jest pan samoukiem?

— Weryfikacji estradowej przed Państwową Komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki nie otrzymałem na ladne oczy. Na estradzie śpiewam zawodowo od 1963 roku.

— Teraz gdy jest pan nieobecny w Polsce niczego się o panu nie pisze, chyba już lepsze były te kontrowersje i napęski?

— Nie można być całe życie tym samym, kim było się kiedyś. Takie jest prawo życia, że przychodzą młodzi ze świeżym spojrzeniem na różną rzecz, również z talentem i ambicją bycia kimś. To jest uśmiałe. Jakoś nie ubolewam nad tym, że nie ma mojego nazwiska na listach najpopularniejszych piosenkarzy z danego roku. Wystarczy mi satysfakcja, że jestem w sercach milionów Polaków i piosenki wykonywane przez mnie, czasem wręcz „obrucane diotem” przez „obiektywną” krytykę, niosły ludziom w swoim czasie uziarszenia. Polskiej publiczności zawodziłam to, że jestem dzisiaj w USA i m.in. dla niej właśnie podjąłem ten ryzykowny i uyczerpujący wysiłek walki o pozycję na tym trudnym terenie. Moim marzeniem jest, aby Polacy byli kiedyś ze mnie dumni. Mam również nadzieję, że pądy mi się nie powiodło w Ameryce, to właśnie oni przyjmą mnie za siebie z otwartymi ramionami w Polsce.

Krzysztof Krawczyk prawdziwie przyjechał do Polski latem, towarzyszył mu będzie własny zespół muzyczny „Krzysztof Orchestra” złożony wyłącznie z muzyków amerykańskich. Są już konkretne plany odnośnie jego pobytu w kraju, wśród nich koncerty przed wieloletnią publicznością. Po dwóch latach zobaczymy Krzysztofa Krawczyka na polskich estradach, choć nie będzie to już ten sam „baryton agresywny w stylu disco czy rocka” co dawniej, będzie to amerykański showman śpiewający w stylu, który zadowolą specyficzne gusty amerykańskiej publiczności. Ponadto z dużym powodzeniem w USA, jego piosenki coraz rzadziej goszczą na antenie radiowej. Nie grozi mu jednak zapomnienie, wierna publiczność wciąż prosi o jego piosenki i informacje o pracy w St. Zjednoczonych. Kiedy był w Polsce, mówiło i pisało się o nim różnie, a przeważnie w takim oto stylu.

— „No głos to on ma dobry, ale czemu taki sztywny ten Krawczyk”. I co pan na to?

— W USA uczęszczałem do Nowojorskiej Akademii Baletowej, w której pilnie studiowałem tajniki tańca jazzowego. Ukończyłem kursy III i II stopnia. Ale nie znaczy to, że teraz fikam koziołki na estradzie i zapieprzam w baletkach niczym primabalerina.

— Na estradzie Krawczyk często mizdrzy się, a jego „wdzięk” może doprowadzić do furii?

— To jakiś stary cytat. A wie pan kogo denerwuje mój

„BARYTON AGRESYWNY W STYLU AMERYKAŃSKIEGO SHOWMANA...”

KRZYSZTOF KRAWCZYK miałby realną szansę zadomowienia się na zagranicznych estradach (choć szkoda, że nie jest ciut młodszy), miał taką szansę Niemem, przegapił ją Stan Borys, do karykatury sprowadził Burano i Krzysztof Klenczon.

Krawczyk posiada potrzebną muzykalność i aparycję, swobodę bycia na estradzie, a przede wszystkim ten głos! Głos robi artystę osobowość, gdyż musi się podobać setkom tysięcy! Tak pisał o Krzysztofie Krawczyku znawca artystów estrady Witold Filler, choć jak na wstępie artykułu w „Perspektywach” zaznaczył, że nie ma powodów, aby lubić Krawczyka, któremu swego czasu, jako dygnitarz telewizyjny, kazal przystrzyc łoki, bo zbytino się rozbujał przed wejściem na Interwizję. Legendarny odkrywca gwiazd Hans Schlender z RFN, który wylansował Karelę Gotta, powiedział: „Krawczyk jest artystą, który zrobi wielką karierę. Jego głos zafascynował mnie”. Potwierdził tę opinię znany menadżer angielski Bob Kingston. Ale to nie oni pomogli Krawczykowi wkroczyć na zachodni rynek pop-music. To sam piosenkarz od 2 lat przebijający na amerykańskim rynku, sponsorzy finansujący te poczynania nie tracą nadziei. Krzysztof pisze do mnie w ostatniej korespondencji: „Nie zrobiłem kariery w USA i nie wiadomo czy zrobię”. Póki co z powodzeniem śpiewa w Las Vegas, przygotowuje się do nagrania drugiego longplaya. Ma przy sobie żonę (znaną piosenkarkę Halinę Zytłowiak, która wyjątkowo podoba się Amerykanom, szkoda, że jej występy są tam tak sporadyczne) i syna Krzysztofa, uczącego się w amerykańskiej szkole i już myślicie po amerykańsku. Podczas gdy Krzysztof Krawczyk walczy o wejście na rynek amerykański, w kraju milczy się o jego poczynaniach i dokonaniach w USA, jego piosenki coraz rzadziej goszczą na antenie radiowej. Nie grozi mu jednak zapomnienie, wierna publiczność wciąż prosi o jego piosenki i informacje o pracy w St. Zjednoczonych. Kiedy był w Polsce, mówiło i pisało się o nim różnie, a przeważnie w takim oto stylu.

— „No głos to on ma dobry, ale czemu taki sztywny ten Krawczyk”. I co pan na to?

— W USA uczęszczałem do Nowojorskiej Akademii Baletowej, w której pilnie studiowałem tajniki tańca jazzowego. Ukończyłem kursy III i II stopnia. Ale nie znaczy to, że teraz fikam koziołki na estradzie i zapieprzam w baletkach niczym primabalerina.

— Na estradzie Krawczyk często mizdrzy się, a jego „wdzięk” może doprowadzić do furii?

— To jakiś stary cytat. A wie pan kogo denerwuje mój

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Czy jestem zabobonna? Niechętnie się do tego przyznaję. Właściwie lubię wróżby — zwłaszcza dobre. Natomiast czarny kot na drodze, przechodzenie pod drabiną i temu podobne nie budzą moich obaw. Mam swoje własne zabobony, a jak się dobrze zastanowić, to właściwie tylko jeden. Jedną znam tylko niezawodną wróżbę — kwiaty. Zasada jest bardzo prosta: im dłużej trzymają się w wazonie, tym dłużej trwa moja przyjaźń z ofiarodawcą.

Pierwszy raz odkryłam tę zasadę dawno temu. Miałam nie więcej jak osiemnaście lat, kiedy dostałam bukiet różnych paczków od znanego aktora. Bardzo mi ta znajomość imponowała, a kwiaty, jako namacalny dowód jego zainteresowania otaczałam szczególną troską. Niestety nie rozwinęły się. Uschły wszystkie, co do jednego, mimo usilnych starań. Ofiarodawca okazał się być człowiekiem bardzo dalekim od moich i nim wyobrażeń i znajomość skończyła się też bardzo szybko.

Z Krystyną znalazłyśmy się wtedy od niespełna miesiąca. Zaprosiłam ją na herbatę, a ona przyniosła mi gałązkę białego bzu. Wiadomo jak nietrwały jest to kwiat, zwłaszcza sztucznie wychodowany zimą. Byłam przygotowana, że nie przetrwa doby, a on przez wiele dni zaskakiwał mnie co rano swoją nieprzemijającą świeżością. Krystyna jest moją przyjaciółką od lat i tak się dziwnie składa, że kwiaty od niej zawsze stoją w wazonie najdłużej.

Podobnie ma się sprawa z kwiatami doniczkowymi. Jedne dotrzymują mi towarzystwa przez lata, inne usychają po paru tygodniach.

Wojtek był moim znajomym od dłuższego czasu. Nasza przyjaźń przeszła zwycięsko początkowe próby i zdawało się, że nic jej nie zagraża, nawet nuda. Rozumieliśmy się coraz lepiej, a było to o tyle ważne, że Wojtek był moim nauczycielem angielskiego. Poza tym nie laczyły nas sprawy sercowe, które — wiadomo — wystawiają przyjaźń między kobietą a mężczyzną na szczególnie niebezpieczną.

Przy jakiejś okazji Wojtek podarował mi przesłanną, czerwono kwitnącą azalję. Postawiłam doniczkę na biurku, tuż przy oknie. Nigdy nie zapomniałam podlewać, a nawet nie szczędziłam komplementów pięknej roślinie, która zdawała się mieć komfort nie tylko fizyczny, ale i psychiczny, gdyby takiego potrzebowała. Niestety, zaczęła marnieć w oczach i nic nie było w stanie jej uratować. Zanim uschła całkowicie Wojtek oświadczył, że musi przerwać nasze lekcje, bo wyjeżdża do Szkocji i nie wie jak długo tam pozostanie.

Wszystko, co powiedziałam wyżej jest oczywiście tylko częścią moich doświadczeń z kwiatami, ale ich wymowa nigdy mnie nie zawiodła. Tym dziwniejsza wydaje mi się ostatnia przygoda, której nie umiem jednoznacznie interpretować.

Znajomość z Fredem od początku była na nieco zwariowanych zasadach. Poznałam go w Londynie, dokąd pojechałam sprawdzić, czy wrzeszczę nauczyłam się tego angielskiego. Los zetknął nas na dzień przed moim powrotem do kraju. Wymieniliśmy adresy i znajomość miała prawo zwiędnąć w sposób naturalny, gdy nagłe, niespodziewane zjawy się w Warszawie. Teraz, kiedy o tym myślę jestem zdziwiona własną naiwnością. Jak mogłam dać się wciągnąć w tak niepoważną zabawę. Miłość od pierwszego wejrzenia jest dobra w literaturze. W życiu musiało się to skończyć źle, no powiedzmy niemilo.

Na razie jednak nie jeszcze nie zapowiadał finału. Nie mam pojęcia skąd Fred wytrzasnął ten kwiat. Nigdy przedtem takiego nie widziałam. Liście podobne do kamelii, sam kwiat do storczyka, ale jakby zrobiony ze sztywnego jedwabiu o połyskliwych barwach od pomarańczowej, poprzez purpurę do fioleto. Na dodatek ten zapach najbardziej przypominający gorzkie migdały, chwilami mocne perfumy o nieznanym mi woni. Z tego opisu mogłoby wynikać, że roślina przypomina sztuczny twór. Nic bardziej mylącego. Od czubka kwiatka po małą dreb-

nianą doniczkę wszystko jest naturalne, żywe, zmusza do bardzo osobistego stosunku, do zachwyty.

Czas wizyty narzeczonego dobiegł końca. Na pożegnanie obiecałam przyjechać tak przedko, jak tylko dostanę paszport.

Roślina dyskretnie gubiła stare kwiatki, ale na ich miejsce rozwijały się nowe. W ten sposób nic nie traciła ze swej oszalałającej urody. Kiedy nadszedł czas wyjazdu powierzyłam ją pieczy przyjaciół.

Fred, w swych angielskich domowych pieleszach okazał się

zmuszona mówić po angielsku, a potem tłumaczyć się. Przesadzałam oczywiście, bo Marcin nie żądałby wyjaśnień, ale ja sama nie chciałam stwarzać dwuznacznej sytuacji. Nic mu o Fredzie nie mówiłam i nagle jakieś wyznania... Przemilczę? Zostałoby niepotrzebne niedomówienie.

Fred na szczęście nie telefonował, nie napisał listu nawet kiedy zakwitł pierwszy kwiat. Byłam lekko zdezorientowana. Jak należało tłumaczyć tę anomalię? Nie chciałam dopuścić podejrzenia, że kwiat ponikli

kładam się spać byłam zadowolona z siebie. To miłe uczucie zaczęło mi się przytrafić coraz częściej.

Następnego dnia Marcin przyszedł wcześniej niż zwykle i chciał wyciągnąć mnie do kina. Zdołałam się jakoś wykręcić. Tak bardzo nie miałam ochoty wychodzić z domu. Na samą myśl o tym zaczynała mnie boleć głowa.

— Może w takim razie jutro? Ten film warto obejrzeć — nalegał.

— Pojutrze. Chciałabym skończyć pewną rzecz...

— Rozumiem, Wolisz, żeby ci jutro nie przeszkadzał.

— Nie, dlaczego? — powiedziałam bez przekonania.

W trzy dni później poszliśmy do kina. Nie pamiętam nic z filmu, bo w połowie złapała mnie migrena, która ustąpiła dopiero po powrocie do domu.

— Co ty robisz? — zdziwił się Marcin, widząc jak wciągłam głęboko powietrze w płuca, nachyloną nad doniczką.

— Wącham kwiat — powiedziałam. — Co w tym dziwnego?

A jednak musiało być coś nienaturalnego w mojej łapczywości. Inaczej Marcin nie podszedłby, żeby powąchać roślinę, której dotąd wcale nie zauważała.

— Ty coś czujesz? — Jak to? Przecież one cudownie pachną!

Marcin ma zgodny charakter i nie widzi powodu upierać się przy swoim zdaniu, jeśli nie istotnego z tego nie wynika. Popatrzył jednak na mnie przeciągle, jakby chciał wybać, czy mówię poważnie.

— Masz takie błyszczące oczy — powiedział, a jego słowa nie wiem czemu, wcale nie zabrzmiały jak komplement.

Przez następnych kilka dni telefonowałam próbując się ze mną umówić, ale ja naprawdę nie miałam czasu. Nigdy jeszcze nie pracowałam mi się tak łatwo i wydajnie. On na pewno zrozumie i nie obrazi się. Kiedy tylko skończę zaczniemy znowu spotykać się jak dawniej.

Od trzech dni nie wychodziłam z domu i okazało się, że lodówka jest całkiem pusta. Zeszłam na dół do sklepu. Kupiłam co było: puszkę zielonego groszku, kompot z iruskawek i chleb. Należało zająć do innego sklepu, ale rozboleła mnie głowa. Wróciłam więc z tym, co miałam.

Kwiat wyglądał, jakby ucieszył się na mój widok, płatki rozchyliły się, a cudowny, oduurzający zapach wypełnił cały pokój. Pocałowałam szczęśliwa, bezpiecznie. Wylączyłam telefon, żeby mi nikt nie zakłócił spokoju.

Włączyłam go ponownie w trzy dni później, ale nadal nikt nie przeszkadzał. Chwilami myślałam, że sama powinnam zadzwonić do Marcina, dni jednak miały tak szybko... Potem zaczęłam martwić się rośliną — miała coraz mniej kwiatów. Praca szła trochę gorzej. Pewnie byłam przemęczona, należało się odprężyć. Nakreśliłam numer telefonu Marcina. Odezwiała się jego matka.

— Wyjechał — powiedziała.

— Jak to? Dokąd?

— Za granicę.

— I nie pożegnał się?

— Dzwonił kilkakrotnie. W końcu jakiś mężczyzna powiedział mu, że pani nie żyje sobie spotykać więcej z moim synem.

— Ależ to pomyłka! Ktoś zrobił głupi kawał. Przez cały czas nie było u mnie nikogo. Tylko ja odbierałam telefony.

— Przekaż pani słowa synowi, jak wróci — zgodziła się starsza pani.

Następnego dnia opadły cztery kwiaty i rozwinął się ostatni paczek. Wzięłam pierwszy od wielu tygodni proszek od bólu głowy, ale nie pomógł. Napisałam zaledwie kilka linijek i nie byłam z nich zadowolona.

Mineło wiele bardzo długich tygodni, w ciągu których nie robiłam absolutnie nic. Ataki migreny nie dawały się leczyć żadnymi metodami, prócz wdychania woni kwiatów. Doniczkę postawiłam na szczęście tuż koło łóżka. Telefon stoi za daleko. Nie mam już siły po niego sięgnąć. Nie wiem również, czy magnetofon nagrywa jeszcze moje słowa. Chwilami, w przypływie litości ostatni wiedzący kwiatek pachnie silniej i wtedy nieważne okrzyki nadziei.

Wymowa kwiatów

MALGORZATA KONDAS

zupełnie innym człowiekiem. Cały romantyzm znikł bez śladu, a tamtejsza rzeczywistość nie była moją rzeczywistością. Z utęsknieniem oczekiwałam dnia powrotu. Obawiam się, że nie udało mi się zamaskować rozczarowania połączonego z nudą. Nasze rozstanie było chłodne.

Nie zdziwiłam się wcale, że roślina ma tylko jeden kwiat. Przyjaciele tłumaczyli się. Dbali o nią należycie... Oczywiście. Byłam pewna, że nie ponoszą najmniejszej winy za jej stan. Jedynym winowajcą — jeśli można tu szukać winowajcy — mógł być ofiarodawca, czyli Fred. To za jego przyczyną kwiat zaczął usychać. Mimo przekonania o bezskuteczności wysiłków próbowałam roślinę ratować. Nawet kiedy już całkiem uschła postawiłam ją na parapacie wśród innych doniczek i nadal podlewałam.

Mineło kilka miesięcy. Poznałam Marcina i zaczęłam się z nim spotykać. Oboje jesteśmy ludźmi zapracowanymi, dlatego nie mogliśmy umawiać się częściej, jak raz w tygodniu. Z czasem mieliśmy coraz więcej wspólnych spraw. W końcu do rzadkości zaczęły należeć dni, w których nie widywaliśmy się. I wtedy nagle moja martwa roślina niespodziewanie zaczęła wracać do życia.

Nie miałam nic przeciw temu, żeby znowu pięknie zakwitła, ale jeżeli za tym miało być powrócił zainteresowanie Freda... Nie, stanowczo nie miałam ochoty na odnowienie tej niefortunnej znajomości. Moje obawy mogły być grubo przedwczesne. W końcu ta mała zielona kulka na czubku uschniętego badyla niczym mi nie zagrażała.

Marcin nie interesował się moją kolekcją roślin. Nie zauważył nawet, że trzymam jakiś uschnięty patyk w drewnianej doniczce. Nie miałam przed nim specjalnie tajemnic, ale moje stosunki z rośliną postanowiłam zachować między nami dwoma i nie mieszać do tego nikogo.

Pierwszy listek rósł wprost nieprawdopodobnie szybko. Wieczorem był o połowę większy niż rano. W ciągu miesiąca uschnięty badyl zmienił się w śliczną, zieloną roślinę. Cieszyłam się jej widokiem, ale robiłam się coraz bardziej nerwowa. Wieczorem, kiedy był Marcin i nagle dzwonił telefon odbierałam go z obawą, że będę

się lub wprowadza mnie w błąd. Fred musi o mnie myśleć. Nie mam tylko pojęcia, co znaczy to milczenie. Nie, nie, nie ma obawy, żeby próbowała zapach, który jakby się leciutko zmienił. A może po prostu zapomniałam jak pachniał poprzednio?

Codziennie spotkania z Marcinem odbiły się niekorzystnie na mojej pracy. Porobiły się zaległości, które koniecznie należało nadgonić. Zaczęłam zarzywać noce, a potem bolała mnie głowa.

Tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy zauważyłam niezwykle właściwości mojej roślinki byłam właśnie całkiem rozbita od samego rana. Zrobiłam sobie filiżankę mocnej kawy i w szlafroku usiadłam przy biurku. Nie tylko nie chciało mi się pić, ale nawet przebrać w sweter i spodnie. Zadzwonił telefon.

— Wstałaś? — głos Marcina był miły, może nawet zbyt miły, pomyślałam pewnie niesprawiedliwie.

— Tak — odpowiedziałam tłumiąc ziewanie.

— Wiesz, dzisiaj nie będę mógł wpaść...

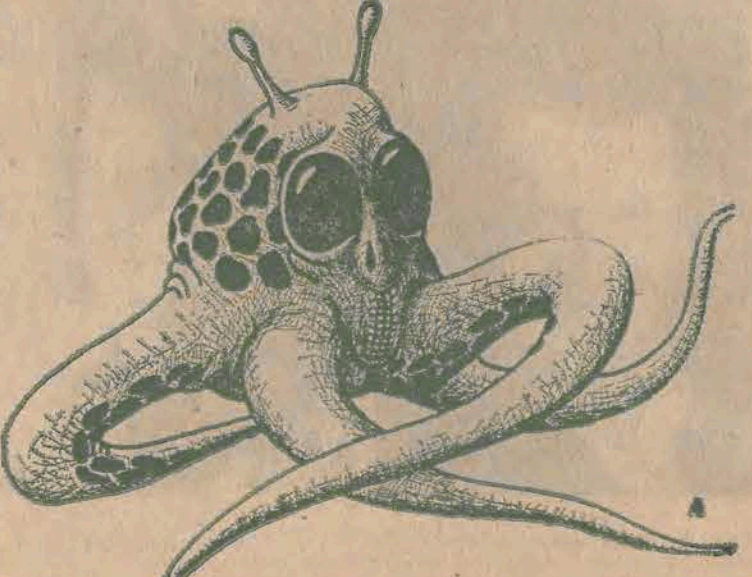
Chciałam zawołać, że to świetnie, ale ugryzłam się w język i wysłuchałam spokojnie tłumaczenia dlaczego nie będzie mógł wpaść. Kiedy odłożyłam słuchawkę pomyślałam z zadowoleniem, że mam przed sobą cały długi dzień, w którym nie muszę się nawet przebieierać.

— Będziemy dziś same — powiedziałam do kwiatka i nachyliłam się, żeby go powąchać. Wciągnęłam głęboko pachnące powietrze i poczułam się znacznie lepiej. Wypiłam ostygłą kawę, ale tylko z przyzwyczajenia, bo ból głowy ustąpił wcześniej.

Od tamtego czasu używam znacznie mniej kawy. Podejrzewam, że nigdy nie była mi naprawdę potrzebna. Popijanie czegoś, lub palenie tytoniu to coś w rodzaju rytuału, który pozwala się skupić. Sam narkotyk zawarty w używkach jest mało ważny. Dlatego również dobrym odroczem może być wachanie kwiatów. Radzę spróbować.

Dzień upłynął mi pracowicie i wydajnie. Wieczorem, kiedy

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego



Wyjaśniamy i przepraszamy

Wyjaśnienie brzmiałoby tak: jako pierwszy współpracę z „Odgłosami” podjął warszawski SFAN-CLUB, który uhonorowaliśmy wprowadzając na kolumny „W kręgu fantastyki” miniaturkę znakczą klubowego i stosowna notę.

Oddział Łódzki Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki został reaktywowany nieco później i — co za tym idzie — później też nawiązał z naszym piśmem kontakt.

W 9 tegorocznym numerze „Odgłosów” ukazała się cała kolumna złożona z materiałów dostarczonych przez łódzkich kolegów. Kolumnę tę opatrzyliśmy informacyjną notą, podobnej noty — za co właśnie chcielibyśmy przeprosić — zabrakło jednak przy opowiadaniu Krzysztofa Piesyka „Wamba” (numer 12 br.), jak również przy opublikowanej przed tygodniem bajce kosmicznej „Była sobie planeta” Zbigniewa Prostaka i publikacji „Verne ekranu” Piotra Romualda Szoki.

Powiedzieć by wprawdzie można, iż literatura — fantastyczna również — może być jedynie dobrą lub złą, obojętne, skąd się wywodzi. Nie, wartościując autorów wedle miejsca zamieszkania, uważamy wszakże za celowe podkreślenie wysiłku organizacyjnego poszczególnych ośrodków, dopuszczamy też możliwą przecież zawsze różnicę gustów. Coś znajdzie uznanie w oczach łódzkich miłośników fantastyki, ale nie warszawskich, coś spodoba się w stolicy, lecz już nie w Łodzi czy Poznaniu... Część odpowiedzialności ponosić będzie wprawdzie zawsze redakcja, podkreślenie, skąd nadeszła propozycja takiej czy innej publikacji wydaje się jednak celowe, zwłaszcza w przypadku pełnych, z jakąś nadzędną koncepcją skomponowanych kolumn.

Zastrzeżenia te w niczym nie zmieniają oczywiście faktu, że „Odgłosy” — wraz z działem fantastyki — pozostają piśmem otwartym i o współpracę prosimy wszystkich, bez jakiegokolwiek ograniczeń.

Waska, piaskowa mierzcha wbiła się daleko w morze. Człowiek leżący na piasku słyszał szum fal nadbiegających pod same nogi. Jego zaczerwienione od bezsenności oczy patrzyły na gasnące gwiazdy. „Trzeba uciekać, bo tam, w bezlitosnie świecącym niebie czai się śmiertelne niebezpieczeństwo”. Człowiek uniósł się na łokciach i natychmiast z jękiem opadł na plecy. Zobaczył niezdarnie, nieforemne cielska wypełzające z morza. Maski podobne do żmłj wity się na piasku. Raz jeszcze z nadzieją spojrział w górę. Za późno! Teraz cienie jak pajęczyna anteny na skrzydłach przekazują wszystko co ptak widzi do małych odbiorników zamontowanych w mózgu tych z mackami.

Człowiek zakrył oczy rękami i odwrócił się na brzuch. Nocny koszmarny rozwiał się wraz z resztkami porannej mgły. Jeszcze przez kilka chwil leżał z nosem wetkniętym w poduszkę, a potem przekreślił się na bok i wyciągnął rękę. Obserwując go przez całą noc oczy grzechotnika zaswieciły w mroku zielonkawym blaskiem. Gdzieś tam, w głębi podświadomości gada zrodził się impuls — „atak”. Stabiutki skok potencjału w mózgu węzła przekazałny został do układu mikroelementów. W odpowiedzi w kierunku łózka rzuciła się metalowa ręka z paczką papierosów. Pokój rozjaśnił niebieskawy płomyk zapalniczki. Człowiek zapalił. Teraz już na spokojnie starał się przesnąć swój sen. „No cóż, jest chyba w tym wszystkim odrobina zdrowego rozsądku. Wprawdzie osmiornice — to nonsens stworzony przez chorą wyobraźnię, ale sama myśl o wykorzystaniu wzroku drapieżnych ptaków do poszukiwań — warta jest uwagi, trzeba tylko...”

Głowa kocią, zamknięta pod szklanym kloszem na parapecie poczuła świt. Beżłoność rozchylił dzień w powitanu wschodzącego słońca. Natychmiast metalowy pajacek połączony przewodami z mózgiem ptaka zaczął przebiegać łapkami rozsuwać stopy. Człowiek opuścił nogi na podłogę i zaczął się ubierać. Nazywał się Alfa-312. Oczywiście miał też i swoje prawdziwe imię dane mu przy narodzeniu, ale co innego jak człowieka nazywają w dzieciństwie, kiedy nikt jeszcze nie wie co z niego wyrosnie, a co innego — indeks literowo-cyfrowy, który zawiera wszystko, co osiągnął w życiu.

Alfa-312. Wystarczy zajrzeć do kieszonkowego informatora, żeby od razu zobaczyć, że pod numerem 312 figuruje Instytut Bioniki, ten sam instytut, któremu ludzkość zawdzięcza zasadnicze przewroty w technice. Co się zaś tyczy oznaczenia — Alfa, to każdy brzdąc w przedszkolu wie, że oznacza to najwyższą władzę w granicach danej instytucji. Egzemplarz Alfa jest zawsze tylko jeden. Mogą być trzy egzemplarze Beta, dziesiątki egzemplarzy Tau i wreszcie nieograniczona ilość egzemplarzy Psi i Omega, ale Alfa, uosabiający władzę, jest tylko jeden. Dlatego przed swoim indeksem nigdy nie ma przedrostka liczbowego. W hierarchicznym układzie, w którym pracownik 3 Lambda-312 zawsze jest podwładnym pracownika 2 Lambda — 312 jeden tylko Alfa nie ma ani przełożonych, ani sobie równych. Jakże doskonała organizacja zapożyczona od samej przyrody. Bo przecież jeśli już, do diabła, zaczęliśmy się od pień uczyć, to dlaczego by i na polu subordynacji nie wykorzystać sprawdzanej przez czas hierarchii stada?

Jeśli zaś chodzi o trochę skomplikowany system Indeksów i przedrostków, to winni są temu starożytni Grecy, którzy nie wiedząc dlaczego ograniczyli swój alfabet tylko do dwudziestu czterech liter. Alfa włożył na nogi ranne pantofle i podszedł do okna. Urządzenie decyzyjno-obliczeniowe, przez całą noc analizujące zachowanie się żaby umieszczonej na dachu w specjalnym basenie, zapowiedziało, że dzisiaj bezdeszczowa pogoda. No cóż, tym lepiej.

W kuchni z dumą popatrzył na swoje dzieło — Automatyczny Płyty z Programowanym Sterowaniem. To konstrukcja, blyszcząca chromem i białą emalią, przypominała raczej jakiś aparat medyczny niż urządzenie kuchenne. Alfa ustawił dzwignie na desce rozdzielczej naprzeciwko napisu „omlet”, położył na patelni kawałek masła, wbił dwa jajka i przekreślił kontakt. Natychmiast drzemający w bloku sterowania bezwłosy szczur (specjalnie ukierunkowana mutacja) dokonał uderzenia prądem w prawy bok. Rzucił się w lewo i złoczył się tymi sprawami i nie troszczył się o los omletu. Gdy tylko temperatura patelni przekroczy zaprogramowany poziom, szczur dostanie uderzenie w lewy bok i rozłączy kontakty. Tak będzie do czasu, póki wystrzyżony wąż szczur nie poczuje zapachu w miarę przysmażonych jaj. Wtedy do akcji wkroczą grzechoty ślinowe. Zmiana kwaśności w pysku zwierzęcia, mierzona przez precyzyjny czujnik, posłuży jako sygnał do wyłączenia prądu w całym systemie. Proste, jak wszystko, co genialne. Nie na darmo szcury uważane są za najlepszych degustatorów na świecie.

W łazience czekał na niego elegancko futerał z czarnego plastiku, w którym znajdował się węgorek elektryczny. Lekkie nacisnięcie na powierzchnię futerału i ładunek wytworzony przez węgorek włączył miniaturowy wibrator ze szcuroteczką do zębów. Nie ma dwóch zdań! Bionika to wielka rzecz! Niestety krany z ciepła i zimna woda nie były jeszcze zbiologizowane, chociaż istniały już jakieś opracowania związane z tym zagadnieniem. Dopóki jednak nie zostaną zakończone prace z mierzanką, regulowana przez złote rybki, nie ma co myśleć o prototypie serwilnym. W tym momencie rozmyślenia Alfa przerwane zostały melodijnym dzwonkiem. Sygnał o gotowości omletu. Sześć bioników z grubszą wytarli twarz ręcznikiem i skierował się do kuchni. Ale co to? Na patelni zamiast omletu pokrytego rumianą skórką, pływały na pół surowe jajka. Do diabła! Dopiero teraz przypomniał sobie, że szczur nie był karmiony od wczorajszego ranka. Teraz było jasne, dlaczego ślinotok zaczął się wcześniej, niż zostały osiągnięte optymalne warunki smakowe Alfa pobelał tryką podobną do kleju białego i marszcząc się z obrzydzeniem oddał swoje śniadanie szcurowi.

Kawę, z powodu zupełnej obojętności wszystkich gryzoni dla tego czarodziejskiego napoju, trzeba było parzyć na prymitywnej płytce elektrycznej. Zostało już niewiele czasu, a trzeba było jeszcze podać pokarm wszystkim automatom i przeprowadzić codzienną profilaktykę w garażu.

Na widok nowiutkiego, skaczącego samochodu, twarz posiadacza białoczerwych cudów techniki przyjęła strokany wyraz. Była to świetna, czteronogowa maszyna typu KM-1 pracująca na zasadzie „kotka i myszki”, ale niektóre dane z eksploatacji budziły zaniepokojenie. Oczywiście nie poważnego, a jednak... Alfa podniósł maskę i przekonał się, że o dobrym stanie zwierząt dopomógł powietrze do amortyzatorów. Potem usiadł za kierownicą i przez nacisnięcie pedału „gazu” podniósł zasłone rozruchową, oddzielającą przedział, w którym znajdował się wielki, rudy kot, od dwóch komór roboczych rozdzielonych ścianką z otworkiem. W jednej z nich miała myszka zjadła skórkę ze sianiny. Kot poczuł zapach myszy i skoczył na zdobycz. Bioprawdę przekazane z receptorów kota przez układ kierowniczy, wpłynęły w ruch cztery pneumatyczne nogi i samochód powtórzył miękki skok zwierzęcia. Myszka czyniła do zbawionego otworu i znalazła się w drugiej komorze, gdzie znowu została zastawiona przez kota, który łatwo przekroczył przez przegrodę, po czym wszystko powtórzyło się od nowa. Samochód tańczo wystrząsnął na ulicę.

Alfa przełączył kierowanie na gołębia pocztowego, siedzącego na dachu kabiny i z zadowoleniem odchylił się na oparcie siedzenia. Gołąb dobrze znał drogę. A więc jaką realną korzyść można wyciągnąć z dzisiejszego snu? Problemem przekazywania wideosygnali z żywego oka do specjalnych urządzeń zajmowano się już od dawna, ale do praktycznych rezultatów było jeszcze daleko. Najlepiej wygląda sprawa z owadami i gdyby nie trudności z tresurą... Nagle stało się coś, co nie było przewidziane konstrukcją. Był może leniwy kot zmęczony się bezowocnym skakaniem, albo zamierzony przez niego manewr wymagał starannej analizy sytuacji — dokładnie nie wiadomo. W każdym razie główny nadajnik impulsów przerwał skoki i zamarł w pozie obserwatora, opierając się przednimi łapkami o przegrodę. Powtórzywszy ten manewr samochód gwałtownie stanął dęba i głowa kierowcy uderzyła w tablicę rozdzielczą. Przykry przestój trwał zresztą niedługo. Po chwili kot znowu przystąpił do wykonywania swoich obowiązków i jedynym skutkiem zajęcia był guz na czole właściciela pojazdu. Wystarczyło to jednak by definitywnie, na cały dzień zepsuć mu humor. Mroczny jak chmura gradowa wszedł Alfa do podległego mu Instytutu.

Główny Strażnik leżący na korytarzu, czując zapach perfum, który służył jako przepustka, przyjaźnie zamerdał ogonem. Biopotencjały z grzbietu psa przekazały odpowiedni sygnał i metalowe drzwi kryjące przed niepowołanymi oczami świątynię nowej techniki otworzyły się powoli. Alfa, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach skierował się do swojego gabinetu, zapomniawszy nawet zastymulować Strażnika kóstką cukru.

Dyktafon składał się z trzech części: papugi analizującej dźwięki mowy, wzmacniacza bioprawd i maszyny do pisania. Alfa przysunął do siebie papugę, żeby podyktować zarządzenie, ale w porę przypomniał sobie, że najpierw trzeba „rozgrzać” urządzenie specjalnym testem. Chodzi o to, że papuga posiadała zanizoną selektywność spółgłosek, zwłaszcza syczących i codziennie przed użyciem trzeba było

Powtórne narodziny

WARSZAWSKI ILJA JOSIFOWICZ
(1909—1974)

Z zawodu inżynier-mechanik okrętowy. W 1929 roku ukończył Leningradzką Szkołę Morską. Pierwszą książkę — zbiór reportaży z swoich podróży pt. „Wokół świata bez biletu” napisał wspólnie z bratem — Mikołajem Slepniowem — redaktorem leningradzkiego dwutygodnika „Smiena”. Fantastykę zaczął pisać mając już ponad pięćdziesiąt lat. Swoje pierwsze opowiadanie fantastyczne pt. „Robi” opublikował w roku 1962 w czasopiśmie „Nauka i Żyz”.

Swoisty humor i lekkość, z jaką Warszawski traktował problemy, przed którymi drżeli inni autorzy, zapewniły mu szybki sukces na rynku czytelnictwa. Warszawski stworzył swój własny, niepowtarzalny świat. Świat Donomagu, który wcale nie jest tak prosty do interpretacji, jak by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Świat nowej nauki — bioniki ze wszystkimi jej blaskami i cieniami. I wreszcie świat ciepła i miłości tak rzadki w tym gatunku literackim. Warszawski jest przede wszystkim humorystą, chociaż nie brak w jego twórczości poważnego podejścia do tematu. W swojej minipowieści „Dla ewangelii od Ilji” autor proponuje własną koncepcję powstania religii chrześcijańskiej i postaci Chrystusa. Ostatnią powieścią Warszawskiego była: „Inspektor odtępił policznych iskopajemych”, napisana w roku 1974. (Tłumaczenie polskie miało tytuł „Tajemnicza śmierć na Mezi”). W tym samym roku Ilja Warszawski zmarł. Jego śmierć, pomimo niezbyt dużego dorobku pisarskiego, była dużą stratą dla radzieckiej fantastyki.

pozwoleń ptaków przyzwyczaił się do specyfiki wymowy. Alfa chętniej i zaczął dyktować, starając się jak najwyraźniej wymawiać słowa: „W Szczepieszynie chraszcz brzmi w trzcinie; sześć szmatławy szerszeni szeptała, szorując szorstkimi uszami o oszkłone...”

— Dureń — melancholijnie zauważyła papuga. Alfa zacierwał się. Znow to filozoficzne żarty laborantów. Kiedy w końcu zostawił ptaka w spokoju? Spojrzał na tasme urządzenia drukującego. Cholera wie co robić? Ale nie miał wyjścia. Innych sposobów przenoszenia myśli na papier w Instytucie nie stosowano. Wielokrotnie podkreślano w różnych wywiadach dla prasy, radia i telewizji, że ręczne pisanie równałoby się oddaniu najważniejszych pozycji. Nie, niech już lepiej będzie ten bełkot Alfa westchnął i patrząc z nieawidacją na papugę zaczął dyktować. Tekst, który wyszedł spod czcionek maszyny mógł zaintrygować każdego lingwistę. Brzmiał on następująco:

ZARZONZENIE INSZTYTUT BIONIKI

W OSZTATNIM CZASIE DAJO SZE ZAOSZERWOWAC WYPATKI OTPIANIA TO BRODUKCI NOFYCH MOTELI NIEDOSZTATECZNE PSZETESZTOFANYCH F FARUNKACH LAPORATORYJNYCH NA PSZYKŁAT SZKACZONCZY SZAMOCHOT OPK KILKU ESKASZNIKOF SZFIJONCZYCH GO F PIERWSZYM SZERUKU OPK NAJLEPSZYCH MOTELI SZWIATOWEJ TECHNIKI POSZATA RÓFNIESZ POFASZNE TEFEKTY.

POLECZAM

DZALOFI JAKOSZCZI PSZETSZAFICZ MI PLAN DZALAN FYKLUCZAJONCZYCH OTDAWANIE TO EKSPLOATACJI NIESZPRAFIDZONCZYCH MOTELI DZALOFI MONTASZOFEMU USZONONCZ WSZYSZPKIE TEFEKTY F PRZECIONKU TYKOMDIA.

ALFA odczytał zarządzenie i głośno krzyknął do ucha przelatującego nietoperza przymocowanego do nieknego pudelka z karelskiej brzozy. — Jeden Beta — do mnie! Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. — Wejść! Do gabinetu wszedł pierwszy zastępca. — Słucham? — Proszę — Alfa podał mu zarządzenie. — Niech pan się z tym zapozna i dopilnuje realizacji.

— Hm — wydawało się, że Beta rozszyfrował rebus stworzony przez krzyżówkę papugi i maszyny do pisania. — Czy coś się stało? Były jakieś reklamacje? — Proszę popatrzeć — Alfa wskazał palcem na swoje czoło, na którym widniał już zupełnie dojrzały guz. — Na szczęście skończyło się tylko na tym, chociaż mogło być o wiele gorzej. — Defekt układu kierowniczego? — Nie, nawalił kot. — Hm... — Rozumie pan — ciągnął Alfa — że wszystko, co się zdarzyło pozostać musi ściśle tajemnicą. Przecież kilka z egzemplarzy głównej serii... — szeptał coś na ucho zastępcy, od czego temu wydrukowała się twarz. — Nie! Nie! — nerwowo zawał. — Tam podobne wypadki są niemożliwe. Pamiętam, że cała ta seria była zaopatrzona w syberyjskie koty o najlepszej kondycji. Żadnego nie sprawdzono egzemplarza, same rasowe. Osobiście to nadzorowałem. — Rasowe — uśmiechnął się Alfa. — Wydaje się panu, że z rasowymi takie wypadki się nie zdarzają? Otóż właśnie nie dalej jak wczoraj... — znowu zniżył głos do szeptu.

Beta zupełnie okłapał. — Niemożliwe. — Zapewniam pana, że tak jest. — Tak... — Beta zamyslił się. — Ostatecznie moglibyśmy znacznie zwiększyć niezawodność całego systemu, podwoiwszy ilość kotów... Właśnie! — jego oczy rozbiły się. — Dwa koty i dwie myszy. Jeśli jedna para zawiedzie... — Bzdura — sucho przerwał mu Alfa — Tylko tego brakowało, żeby zaczęły się tam między sobą bić. Wyobraża pan sobie, co by się działo?! Nie, tu potrzebne są zupełnie nowe rozwiązania. — A co z tymi egzemplarzami, które... — Znajdziemy jakiś sposób, żeby je zamienić. Powtarzam, potrzebne są zupełnie nowe pomysły. — Nowe pomysły... — Beta podrapał się w potylicę, ale żadnych pomysłów stamtąd nie wydobyl. — Dureń!!! — ryknęła papuga. — O, też prezencik — Alfa tknął palcem w dyktafon. — Widział pan co drukuje?! To pański siódmy dzień, jego robótka. — Oni teraz opracowują zmodernizowany wariant ze sroka. Obiecują, że będzie miał większą selektywność. — Obiecują! Dwa lata już obiecują. Wstyd przed ludźmi, a roztrąbił na cały boży świat. Wtedy też obiecywali. — Beta dyplomatycznie milczał. Miał bezpośredni udział w opracowywaniu pierwszego wariantu dyktafonu. — Tak więc — Alfa zastukał palcem w stół — dalsza produkcja samochodów KM-1 trzeba będzie wstrzymać. Za tydzień proszę mi przedstawić program gruntownej modernizacji. Raz jeszcze powtarzam: potrzebne są nowe idee. — A może... — Beta zawałął się — może by powrócić do wariantu bejzającego. — W żadnym wypadku. Pamięta pan jakie podnosiły chmury kurzu? Same tylko filtry powietrza ile kosztowały. A predkość? — Tak... — Papuga znowu próbowała coś powiedzieć, ale Alfa zdążył nakryć ją kopalcikiem z porowatego plastyku. — A co, jeśli chodzi o kroczące powozy? — zapytał Beta. — Przecież mieliśmy wtedy... — Kroczące powozy to miniony etap. Żadne zwierzę nie ma takiego chodu, który można by imitować nie narażając pasażera na kołysanie. Kilka minut siedzieli w milczeniu. Wreszcie pierwszy przemówił Beta: — Jest taki jeden staruszek, wynalazca. Wydaje się, że całkiem stracił rozum. Kilka razy zwracał się do nas z jakimś niesamowitym projektem samoporuszającego się pojazdu. — No i co? — Projekt oczywiście odrzuciliśmy, był poniżej wszelkiej krytyki, ale może, jeśli szukamy nowych rozwiązań... — Jaka zasada wykorzystania w swoim projekcie? — Beta poczerwieniał. — Prawde powiedziawszy już nie pamiętam, to było w reszłym roku. Wczoraj sortowałem papiery i natknąłem się na jego adres. Można by go wezwać. — No cóż — westchnął Alfa. — Niech pan wzywa swojego staruszka.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

— No więc, — wyrozumiale powiedział Alfa — niech nam pan wyjaśni jak to funkcjonuje. — Staruszek uśmiechnął się. — Co tu wyjaśniać? To jest koń. — Widzę, że nie krokodyl. Proszę pokazać, gdzie impulsy nerwowe przekształcają się w pole słowe? — Co? — Widzę na szyi konia jarzmo magnesu, od którego odchodzą dwa przewody. Oprócz tego od pyska konia ciągną się dwa przewody. Widocznie biopotencjały kręgów szyjnych i pole magnesu wzajemnie na siebie oddziałują... — Nie — przerwał staruszek. — To jest chomąto, to hołobie, a to — lecie do kierowania. — A gdzie jest blok kierowania? — Co? — Pytam, co kieruje powozem? — Ja albo pan, jeśli pan tu usiadzie. Gdzie pociągnie lejce, tam koń pojedzie. — Wspaniale — powiedział Beta. — De ma przekazników? — Czego? — Alfa skrzywił się. To już pachniało mistyfikacją. — Niech pan powiedzie dwa razy dookoła poligonu — zwrócił się do staruszka. — To zawsze można. — Staruszek wsiadł na wóz, cmoknął i cała konstrukcja ruszyła z miejsca. Alfa jak zaczarowany wpatrywał się w mijające szprychy. — Dziekuje, wystarczy — powiedział, gdy pojazd zakończył pierwszy krąg. — Może pan wracać do domu. — A rozpatrz panowie moja propozycję? — zapytał staruszek. — Rozpatrzymy, rozpatrzymy. — Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź? — Zawiadomimy pana we właściwym czasie. — Wio kochana — krzyknął staruszek i koń pociągnął powóz na ulicę. — No i jak? — nieśmiało spytał Beta. — Bzdura! Bezpośrednie wykorzystanie sily mięśniowej zwierząt nie ma żadnych perspektyw. Oprócz tego układ z tak prymitywnym sprzężeniem zwrotnym nie gwarantuje nawet minimalnego bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Prawde mówiąc zaintrygowały mnie te krecające się przedmioty, na których poruszały się wó. Być może — Alfa zamyslił się. — No cóż, być może, gdyby udało się przetransformować skoki kota w obroty tych urządzeń... — Wspaniała myśl — krzyknął Beta. — Jednak — ciągnął Alfa — na krótkiej przerwie — przetworniki tego rodzaju nie istnieją i istnieć nie mogą. Przyroda nie zna ruchu obrotowego. — Beta westchnął. — Co więc bedziemy robić? — spytał powracając z obłoków na Ziemię. — Trzeba będzie dublować koty. Niech pan sam doilnuje, żeby były dobrze od siebie oddzielone. — Zrobi się — powiedział Beta. — Powtórne narodziny kota nie odbyły się. Cud nigdy nie zdarza się dwa razy — dlatego jest eudem.

Ilja Warszawski, „Wtoroje rozdienie”. Z książki „Lawka snovidienii” Sowietkiej pisateli. Leningrad 1970 r.

Rozważania nad skorupką orzecha

PAWEŁ K. ZALEWICKI

Życie współczesne dla każdego stanowi duży, a czasami wręcz niepokonywalny stopień trudności. Człowiek, błądząc bezustannie w zakamarkach obrzydliwego z dnia na dzień świata, staje przed swoistym dylematem; najtrudniejsze jednak ma nastąpić dopiero potem — zadanie to trzeba rozwiązać. Ludzkość diachronicznie oscyluje na granicy niebezpiecznego potencjału namietności, jak dotychczas skutecznie spowijanego — widać to z historii — czarnym niebem końca, na którym nie widzi się nawet najmniejszej gwiazdy. Bo można tu tylko przeżywać postawę, jakiej doświadcza człowiek w obliczu totalnego zmiążdżenia — ogromna czarna plachta nie zawiera kierunkowskazów.

W ten sposób dotarliśmy do centralnego problemu pracy: jeżeli istnieją ludzie cierpiący na klaustrofobię, jeżeli w najbardziej bolesny sposób mogą doznawać swojego ograniczenia, to istnieją także i ci, którzy cierpią na nadmiar otwartości — przestrzenność, która nigdzie się nie kończy;

Każdemu to, na co zasługuje. Nam — terazniejszość: ruchomy punkt na osi czasu pomiędzy znakami zaprzeczeń. A czy za zdejmowanie maski poczytywać „bycie intencjonalne”, czy „bycie intencjonalne — intencją z bycia”; zawsze między tym najpierwotniejszym „jednym” i „drugim” (wobec siebie i wewnątrz siebie) będzie zależność na zasadzie agonistycznego skurczu przewrotności. W tym miejscu rodzi się jednak pytanie: czy nie nazbyt szybko, nie nazbyt pochopnie dotarliśmy do tak krancowej przeciwko konkluzji? Ostrożność nasza jest ze wszech miar uzasadniona — jest bowiem wiele prawdopodobnym, że istniejący (jako całkowity i właściwy tylko dla ludzkości) głód nieustannej rozciągłości osobowej w czasie — będzie motorem napędzającym maszynę, która jakkolwiek cały czas pracuje na maksymalnych obrotach — posuwa się ciągle w dół.

Obywatele świata! Aristokraci ducha! Impotenci społecznych przykazań! Nie wiercie, że kryzys myśli wywołuje kryzys istnienia — to kryzys istnienia implikuje kryzys myśli. Czujemy się, jak ten, kto ogląda plwotnurka, filmującego na dnie stawu ogromną żabę z duszą utopionego dziecka w paszczy Historia milczy w obliczu przemijającego czasu; pisal Saint-Exupéry: „Tysiące lat cywilizacji, jakie mam za sobą, pomoże mi. Ale one nie pomagają mi wcale. Widocznie nie nadeszła godzina odwzajemnień”.

Czy odczuwałeś kiedyś nieokreślone poczucie samego siebie; takie, że trzeba zdejmować buty i żeglować przez tysiąc pustych miejsc? Czy wierzyłeś, że nieskończone przestrzenie mogą się kurczyć, a myśli ludzkie przyzywać, jak szepejące wargi kochanków? Jeśli nie, to z własnego zamknięcia stworzyłeś sobie sztuczny język nieskończoności.

Idiolekt, informel, izoglosa, idiosynkrazia — postawmy wreszcie kropkę nad „i”. Nie, to już wasze zadanie, wasza szansa właściwego określenia się wobec rzeczywistości i (co być może ważniejsze) określenia się wobec samego siebie. Nie będzie to chyba łatwe, ale i stopień trudności nie jest zbyt wysoki, wszak powiedział Marks: „Idealność jest tylko odbiciem materialności”.

Skorupa orzecha została rozbita, ale może nastąpić sytuacja, w której przewrotność przygotowała nam niespodziankę: jądro orzecha wyleciało z resztek skorupy i potoczyło się po gościńcach nowych niejasności. Znalezienie go jest już innym tematem...

Uwaga do Czytelnika

Jeśli po pierwszym czytaniu nie zrozumiałeś do końca zawartej w artykule intencji — spróbuj przeczytać go raz jeszcze. Gdy i tym razem miałeś trudności z odnalezieniem myśli przewodniej materiału, zachęcamy do kolejnego uważnego przewertowania całości. W wypadku zgubienia sensu i polityki także teraz proponujemy ostatnią szansę: zapoznać się z tekstem po raz trzeci.

Jeżeli treść „Rozważań nad skorupką orzecha” nadal nie jest dla Ciebie, drogi Czytelniku, jasna — pozostaje nam jedynie odesłać Cię do następnego numeru „Odgłosów”, gdzie znajdziesz wyjaśnienie swoich wątpliwości.

Człowiek naczelny bujać czupryną jak zwykle miał zmierzwił, minę zaś wiece zaferowana. Dość długo przyglądał mi się spod narostowych czupurnie brwi, po czym rzekł:

— Czy wiecie, Widlak, pokąd mam waszych pljakkich balang?

— Myśle, że jeszcze wyżej — odparłem z pobóznym namaszczaniem.

Z niewinnych oczu naczelnego znikł wyraz napięcia i podejrzliwości. Pod ulubioną sportową bluzą i rozchełstaną koszulą w kratę w jego męskiej piersi biło łagodnie dobre serce.

— Widzę, że się kajacie, Widlak. To dobrze, dam wam szansę.

— Pokornie dziękuję, szefie.

— No! Tylko z daleka mi od wody, dziwek i polityki! — zagrzmiał z udaną surowością.

— A jeśli, Widlak, wypelnicie misję, być może jeszcze się nie pożegnamy.

— Szefie! Szpiegowska partyzantka to moja specjalność! — rzuciłem z entuzjazmem.

Naczelny z bólem w oczach wbił palce w szpakowatą brdę.

— Widlak! — jęknął. — Nam chodzi o ład i porozumienie, a wy znówu swoje!

— No to niech szef wyklada tę kawę na ławę! — wyraziłem się pochopnie.

— Czy wiecie, jaki ja mam ulubiony prezent? — spytał.

— Tak jest! Wędkę...

— A wiecie, że chcą mi ją odebrać?

— Zartuj!

— Na dole żarty — westchnął — a z góry zarzuty, że nie zajmuję się gruntownie problemem ichtiologicznym. Widlak, jesteście mocni w rybach? — rzucił zniechęca.

— Czy je mianowicie lubię?

— Trafiliście, Widlak. Ale głodnemu zawsze chleb na myśli.

— Zależy, jak się pije, proszę szefa.

— A tak, to lubisz... Chyba się jednak rozstaniemy, Widlak. W atmosferze wzajemnego niezrozumienia...

— Szefie, nie jesteście zbyt złośliwy — zgłosilem nieśmiało pretensję.

— Więc dobrze! Chodzi o czarnego lina. Wiecie, to taka ryba. Można by rzec, że egzoty-

czna.

— Na pewno! — przytaknąłem skwapliwie.

— Czarnego lina hodują w Rakowicach. Miejscowość pewna, lecz nazwa ryby może być myląca. Otóż ta ryba może przybierać inną barwę.

— Szefie, wy rzucacie myśl, a ja łapię! — zapaliłem się. — Już ona mi się nie wymknie.

Zmiał w palcach papierosa i spojrział na mnie z politowaniem.

— Widlak! — ryknął jak ranny bizon. — Wy macie łapać ryby, a nie myśli! Eksperymenty, doświadczenia, przyrost na wadze, w centymetrach. To niby nic, apolityczna sprawa, a przecie rozumiecie... To trzeba chwycić, Widlak! Wykorzystywać, propagować! Dzisiaj o mięsie piszą poeci, wiecie?

— Wiem, także o dupie...

— Nie!

— O słońcu między nogami deflorowanych sufrażystek.

— Nie! — wrzasnął z pianą na ustach. — Słoneczko już dawno zaszło! A was, idioto, czeka misja! Zachować wszelkie środki ostrożności, nie leść z kaptami w środowisko. Jasne?

— Tak. A co dalej?

— Zbadać zachowanie, zwierzenia, metody pielęgnacji oraz inne tajniki hodowli. Byłoby prima, gdyby udało wam się degustacja.

I tak oto, wyposażony w niezbędne utensylia, znalazłem się na przedpolach Rakowic. Na bazę wypadową wybrałem bróg, z którego wylądowałem w południe i wieczorem, aby działając w gospodzie to i owo. Miejscowej społeczność nie rzucąłem się zbyt w oczy, albowiem wyglądałem niczym przeciętna sierota turystyczna z pegeeru, która zgubiła przewodnika.

Ukryty w dziupli starej ływy obserwowałem powierzchnię stawów hodowlanych oraz ludzi. Powierzchnia była raczej gładka. Tylko raz zmałżał ją ruch płynącej łodzi, z której ludzie coś wysypywali. Wyregulowawszy ostrość szkielec w lornecie stwierdziłem odkrywczo, iż robotnicy wysypują do wody piasek. W ten sposób ci sprytni ludzie wabili do żarcia czarnego lina! Następnie z drugiego worka wysypywali do stawu paszę. Trzeci worek nieśli do krzywej sosny w szerszym polu, rzucali na zaparkowany tam wóz konny i odjeżdżali w stronę knajpy.

Później ci sami ludzie skrapiali brzeg stawu bezbarwnym płynem z musztardówek, oddawali mocz rzucali butelkami i śpiewali. Była to zapewne jedna z pilnie strzeżonych metod hodowlanych. Zapiałem z zachwytu nad własną

odkrywczością! Ależ tak! Skoro krowa przy mule daje więcej mleka, to czarny lin na pewno szybciej rośnie!

Udało mi się trzykrotnie zaobserwować, jak robotnicy sprawnie rozpinają watomane spodnie na młodej rybacze i kopulują z ociąganiem, jak gdyby wypelniali odgórne dyrektywy. Ten szyfr rozgryzłem błyskawicznie! Otóż naturalną podniętą sklaniano czarnego lina do szybkiego i częstego tarła, uzyskując w ten sposób znaczny wzrost pogłowia!

Przyszła sobota, a ja, wbrew zaleceniom szefa, jeszcze nie degustowałem. Natomiast w podwórzu gospodarstwa rybnego zauważyłem jakąś podejrzaną ruchawkę. Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, iż zabito tam wieprza i na gwałt wędzono kiełbasy. W drugim kotle, uzbrojonym w płańtanę rurek, dwa mężczyźni przyrządzali jakąś miksturę o istic diabelskiej mocy, ponieważ jej woń po godzinie zwałiła obu z nóg. Kobiety przystrajały jedliną okna i posypywały białym piaskiem wielki dziedziniec, po którym jakiś rybak z ulańskiej rotły oprowadzał siwego konia, z wplecionymi w grzywę wstążkami.

Tak się zagapiłem, że zgola po partyznacku podszedł mnie wasaty młody człowiek.

— Frapujecie! Pan tu służbowo? — zagadnął mimochodem.

— Turystycznie.

— Jestem lekarzem — powiedział wasaty. — Ale bardziej interesuje mnie zbieractwo.

— Mnie również! — wdałem się w dyskretną pogawędkę. — A głównie folklor i etnografia. Co się tutaj święci?

IAN WIDLAK

Biały lin

— Imieniny dyrektora. Stąd owe przygotowania.

— Szcześliwa załoga, co może tak balować.

— Personal spędzi noc na rybackich tańcach. Postanowiłem wykorzystać sprzyjającą okoliczność do wypelnienia mojej misji. Chciałem się już oddalić, lecz w trakcie wywiadowej konwersacji wypsnęło mi się kilka inteligentnych słów, toteż lekarz spojrział na mnie z ciekawością. Powiedział:

— Pan nie wygląda na bezdomnego trampa. Jutro mam trochę luzu, zapraszam przeto na intelektualne party.

Zaproszenie przyjąłem. A kiedy rozbijała się noc w pijanych tańcach, gdy zabrzmiały pieśni rybackie, zakradłem się nad staw. W świetle latarki elektrycznej ujrzałem czarne grzbiety licznego stada głodnych ryb. W mig zrychowałem wędkę, wbiłem kulę ciasta na haczyk i po trzykroć wyrwałem z wody rybę o ciemnym, lśniącym grzbiecie. Następnie udałem się pod dom lekarza i przez lufkę wrzuciłem do łazienki mój łup wraz z kartką, na której napisałem: „Od żywego Wam”.

W niedzielę młody lekarz woził mnie wrakami marki trabant po okolicach Rakowic, pokazując liczne zabytki, ubytki i zdobycze, w tym nowy Osrodek Zdrowia, leciwy dąb na wydmach, stareńki wiatrak i cmentarz rozwojowy. Potem jedliśmy dużo oraz suto. Pieczony królik był, duszona cielęcina, wiejska kiełbasa, grzybki, wędzona szynka i... Tak, była również ryba! Piękniła z dumy śliczna doktorowa, a jej mąż pęczniał wprost z zachwytu, gęsto, ze smakiem dolewając. Inteligentnie pił, nie powiem. W szyki butelek wbił kranik, ciurkała cienko, estetycznie, lecz doktor wiedział, jak można wryść z kryzysu.

Wieczorem, gdy party osiągnęło szczyt, lekarz po raz trzeci udał się z banką do gospody po beczkowe piwo.

— Ach, ta parafia, ta parafia! Czym by tu wzbudzić, zbulwersować? — zastanawiała się przebiegna doktorowa.

— Seksem! — powiedziałem wrednie. — Albo kreacją kontestować!

— Pan myśli? A gdyby tak, powiedzmy, mi ni futerko z dzika?

— To jest myśli!

— Albo też — zapaliła się — ślipy nylonowe. Z żyłki wędkarskiej, w oczka...

— Pani ma wyobraźnię! — szepnąłem z uniesieniem. — Syrena! To piękne ciało w sieci... Ach, jakże rwie się do wolności!

Rzuciła się w pław, na oślep! A jam wystawił mężnie pierś i hołubiłem topielicę. Ale żem był już nieźle rozwinęty, nie dostrzegłem, iż piękny wamp przeleciał mi po dokumentach. Natenczas wrócił lekarz. Biedny ślepiec... Fryskal tym piwem, swobodnie orbitował, sypał anegdotami niczym weteran chłopkiego repertażu. Józwa Woldan.

— A czy pan wie — zagadnął — jak ludzie w naszych stronach walczą ze zmorem i koitunem?

— Zapewne — czknałem — budynek szkolny okupują.

— Nawiwniak! Spijają wielkie ilości spirytusu. A potem, proszę pana, chuch oni podpalają!

— To zbytniki!

— Nic zabawnego, proszę pana. Miałem już sześć poparzeń, w tym cztery niebezpieczne.

W znużeniu gastro party, poczułem mdłości, bóle brzucha. Doktor był nieswój, a jego żona jakby coś zzieleniała. Gospodarz wywiódł ją z pokoju, po czym wygnął do sieni wielkiego psa myśliwskiego, pozostawiając mnie na pastwę losu. Nie gasiłem światła. Przeglądając stare numery ulubionej gazety zrzesał organistów, grałem na czas, albowiem ogarnęła mnie nowa boleść. Odezwała się pompa tłocząco-ssąca. Ta pierwsza część gnioła pęcherz, druga zaś przyciągała mnie do baraku doktorostwa. Gdy cisza ugruntuwała się statecznie, zgasiłem światło. W mroku zabiły się ślepa pies. Ostrzegaly, bym nie wzywał pomocy. Czyż mogłem przeszkadzać ludzom w spełnianiu obowiązków małżeńskich? Podpełzłem do barku i wstrzymałem oddech, cał po cału odemknąłem małe skrzyplące drzwi. Napilem się wódki żytniej, jeszcze z drugiej Polski, lyknałem koniak, a lyków wina nie liczyłem, jako że było go najwięcej. Zaspokoilem ssanie, lecz coraz ostrzej pracowała pompa tłocząca. Jebuckie mydło! A przed łazienką leży ten pies myśliwski! Cóż robi wówczas operatywny wywiadowiec? Otóż ów sprytny agent szuka sposobności szpar w podłodze. Potem znówu gościnnie bawi w baraku, otwiera okno i nie mogąc spojrzeć w oczy psu, skacze i bezpowrotnie ginie w mroku, aby po dwóch meczących dobach znaleźć się w gabinecie naczelnego.

Zerknąwszy bojaźliwie na głowę szefa, poczułem się jak w pewnym kabarecie. Fryzurę miał bowiem taką, jakby piorun strzelił w miotłę. Była to niechybnie oznaka wielkiego wzburzenia, które maskowały okulary w rogowej oprawce.

— No tak, Widlak — szepnął grobowym głosem — Bimber i kłusownictwo, gwałt na rybacze...

— Szefie, nie chciałem zdradzić misji...

Ściągnął okulary na czubek nosa i przyjrzał mi się spode łba.

— Struliście ludzi, Widlak...

— Ja sam się strułem!

— Tak? A ja mam tu depeszę od doktorostwa w Rakowicach. Donosi, iż jakiś żywczy pacjent dał im w prezencie trzy tuste, śniecie karpie...

Poczułem, że się pocę. A szef cedził ze smutkiem:

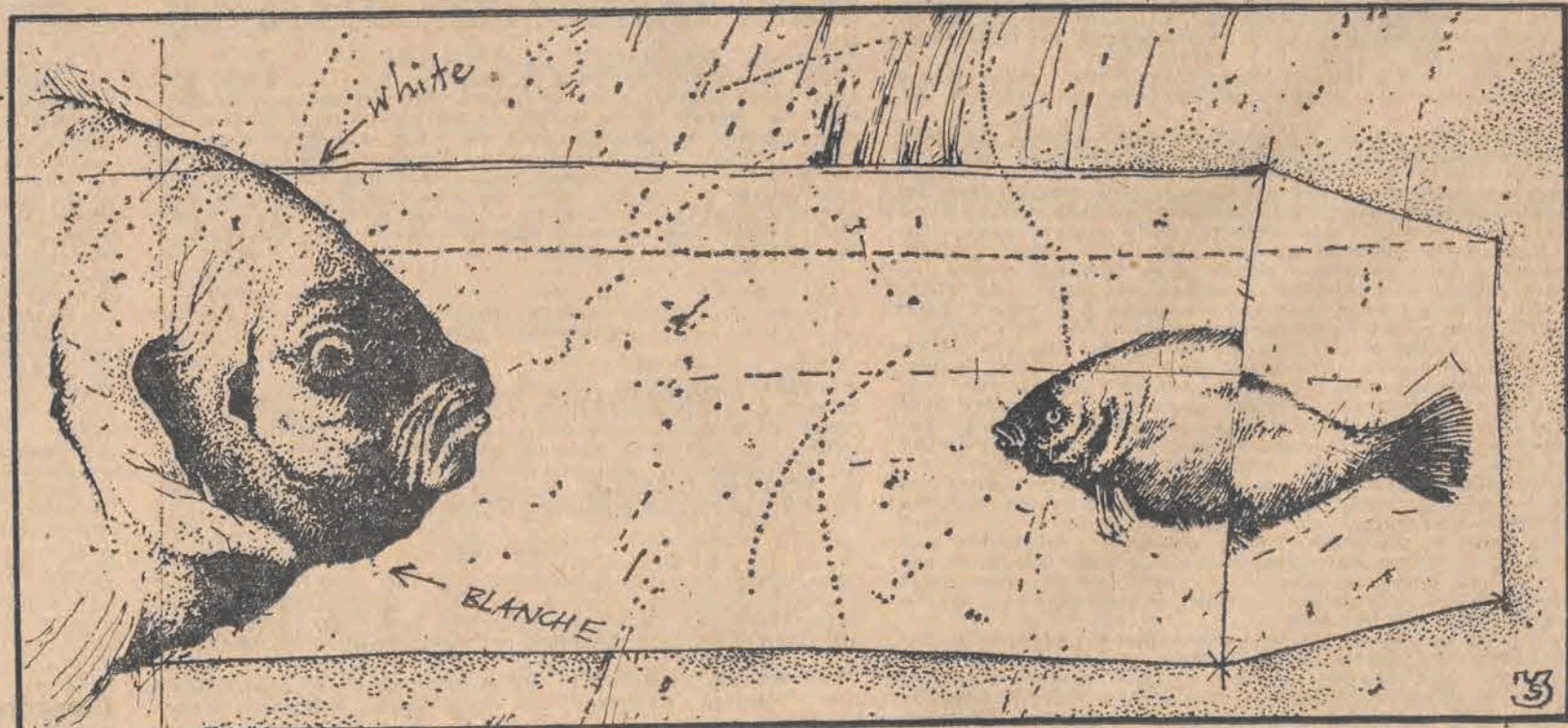
— Dalem wam szansę, Widlak, z nadzieją, że się wykażecie. Stwierdzam z goryczą, że taki z was reporter, jak z organisty traktorysta.

— Szefie, ziołwitem czarnego lina — usiłowałem protestować.

Naczelny zdjął okulary. Zdrętwiałem, bo oto w jego subtelnych oczach ministranta rozgorzały rewolucyjne błyski.

— Czarny lin nie istnieje! — zagrzmiał. — Żyje natomiast biały lin, lecz ten pod zmienioną nazwą pływa w Zalewie Sulejowskim! Przykro mi, Widlak, że od dzisiaj niast w stopce redakcyjnej znajdziecie się w klepsydrze.

I tak po tej fatalnej w skutkach misji Jan Widlak schodzi z lamów. I nikt nie zapłaci na stypie. Sam wychłam własną kartkową wódkę na swoim pogrzebie. Reporterzy umierają pijąc...



Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Temat do
świętecznej
dyskusji

Całość i część

O potrzebie oszczędzania mówią się i mówią od lat. Kiedyś — było to u końca lat czterdziestych — modną była „Akacja O”. O — jak oszczędność. Później też nawoływano do oszczędzania i skończyło się to fatalnie. Rozmiary marnotrawstwa są ogromne. Wystarczy tylko cytować wywiad zamieszczony w 12 numerze „Przeglądu Tygodniowego”. Profesor Wiktor Boniecki z Akademii Ekonomicznej w Krakowie mówi tak:

„Rybak do portu przywozi łowił rybę, dużo ryby. Tyle tylko, że 60 procent tego pozostawianego towaru wędruje na śmietnik. Dodajmy jeszcze, że 30 procent ziemopłodów ulega zniszczeniu wskutek wadliwego transportu i przechowywania”.

A my chcemy się na dodatek sami wyżyć. Przy takim marnotrawstwie jest to niemożliwe.

Dlaczego nie potrafimy być oszczędni? Nie mam zamiaru nawoływać do sknerstwa, bo chodzi o coś innego. Dla mnie oszczędność jest równoznaczna z racjonalną gospodarką. To znaczy z takim wydawaniem materiałów, surowców, pieniędzy, zużyciem energii, jakie jest niezbędne dla osiągnięcia zamierzonego celu produkcyjnego. Ani grama, kropli, wata więcej. Czy to jest możliwe? To jest konieczne. Dlaczego więc nam się nie udaje?

Sądzę, że między innymi dlatego, iż myślimy na ogół partykularnie, ale ulegamy magii wielkich liczb. Otóż nie jest dla nikogo tajemnicą, że w niektórych mieszkaniach, w kuchniach czy łazienkach cieknie kran. Bywa. Trzeba po prostu zmienić uszczelkę. I po kłopotach. Nikt nie nawołuje jednak do zmiany uszczelki, a wszyscy zaczynają zaraz bawić się w rachunki. Jeżeli w jednym kranie woda kapie raz na minutę, to w 100 kranach w minutę kapie 100 kropli, a w tysiącach kranów... I już mamy rzekę wody kapiącej z kranów w Łodzi, w kraju. Nawet tam, gdzie nie ma kranów woda też teoretycznie i statystycznie kapie. Ale taki obraz od nikogo nie przemawia. A nie przemawia dlatego, że nie potrafimy myśleć globalnie, a umiemy znakomicie myśleć partykularnie. Co mi tam rzeka wody kapiąca w kraju — myśli jeden z drugim — u mnie kapie raz na godzinę i nie ma sprawy.

Przysłówowi Kowalski tak myśli w domu i tak myśli w biurze, w fabryce, instytucji. On dba przede wszystkim i wyłącznie o interes swojej instytucji. Kraj jest federacją różnych resortów instytucji, województw. Niech każdy myśli o swoim i wszystkim będzie dobrze. W tego głowie nie świta myśl, że interes części może być w sprzeczności z interesem całości.

Skarżył się pewien mieszkaniec Gąlkówka, że poranna prasa otrzymuje w południe. Dlaczego? To bardzo proste. Prasa z łódzkiej drukarni jedzie najpierw do Piotrkowa Trybunalskiego, później do Tomaszowa Mazowieckiego, później do Kozłowa, a mogłaby prosto z Łodzi za pośrednictwem

PKP trafić do Gąlkówka bardzo wcześniej rano. Mogłaby. Tak też kiedyś bywało. Ale teraz mamy województwa, które mają swoje oddziały „Ruchu”, swój transport, pracowników, rozdzielniki, raporty, sprawozdania. I Kowalski w Piotrkowskim „Ruchu” dba nie o czytelnika, ale o to, aby ludzie mieli co robić. Czy ich praca jest potrzebna? Oczywiście, skoro zostali zatrudnieni, mają etaty, są rozdzielniki, harmonogramy. A codziennie gazety przychodzą na wieś następnego dnia.

Co to ma wspólnego z oszczędnością? Bardzo dużo. Bo gdyby spojrzeć na region, w którym rozchodzą się łódzkie gazety, jako całość, to może się wtedy okazać, że nie potrzeba gazet dla Łasku wieść do Sieradza czy Zduńskiej Woli, a dla Kozłowa i Gąlkówka do Piotrkowa Tryb. Coś mi się wydaje, że nie posiadamy zbyt dużo benzyny, akumulatorów, opon i samochodów sprawnych na każdą okoliczność. Czy nie byłoby oszczędniej? Byłoby. Ale — i tu jest ples pogrzebany — mogłoby się wtedy okazać, że cała zawiła i skomplikowana struktura oddziałów „Ruchu”, sprawozdawczości i rozliczeń musiałaby wziąć w łeb. A to już jest z punktu widzenia partykularnych interesów i trwałości struktur wręcz nie dopuszczalne. Ze na tym cierpi gospodarka i klienci „Ruchu”?

W komentarzu „Rzeczypospolitej” z 22 marca 1983 roku zatytułowanym „Efektywniejsze, oszczędniej, gospodarniej” przeczytałem takie zdanie:

„Wystarczy powiedzieć, że zaoszczędzenie tylko 1 proc. zużywanych w przemyśle surowców i materiałów równoznaczne jest z możliwością zwiększenia produkcji o wartość około 70 mld. zł”.

To jest prawda. Ale dla ludzi myślących w skali części, a nie całości kompletnie nie to nie znaczy. 70 miliardów zł jest wielkością niewyobrażalną i nieporównywalną. Nikt z nas nie potrafi tego przeliczyć na konkretne towary. Już choćby dlatego, że nie zna kosztów produkcji. Nie będzie więc wiedział, ile to lodówek, rowerów, samochodów, motocykli, odkurzaczy, telewizorów, aparatów radiowych itd. mieści się w 70 miliardach zł. Licząc według kosztów produkcji, a nie cen detalicznych, i cały efekt bierze w łeb.

Oszczędzanie jest koniecznością. Ale uczyć oszczędzania trzeba od spraw drobnych, od dołu, od domu i stanowiska pracy. Uczyć przechodzenia od myślenia partykularnego do całościowego, a to znaczy pokazywać jak część mieści się w całości i jakie występują między nimi zależności. Inaczej będzie to próżne gadanie.

REDAKTOR
DYŻURNY

2

Zdarzenia
i zwierzenia

Czerwone węże

W „Życiu Literackim” wyrażony, subtelny krytyk filmowy bardzo wybrzydza na film Wojciecha Fiwki i Konrada Frejdliha „Czerwone wę-

że”. Krytyk pisze, że film „można sobie darować”, że Fiwka nie miał żadnej koncepcji, że zrobił staranny, ruchomy obrazek epoki, tyleż dokładny co beznamiętny...

Nie jest to chyba prawda. Powieść Heleny Boguszczyńskiej, która stała się kanwą scenariusza tego filmu, jest co prawda dziś powieścią historyczną, bo opowiada o wielkim kryzysie początku lat trzydziestych, ale film ma także wator współczesny, choć twórcy nie eksponują tego nachałnie. Zresztą raczej w ogóle nie eksponują, niemniej jednak współczesny widz — jeśli jest widzem myślicy — jakieś analogie snuć sobie musi.

Ten film, moim zdaniem, jest dość trafną polemiką z tymi wszystkimi apologetycznymi westchnieniami o Drugiej Rzeczypospolitej, ten film wypowiada także rzetelną prawdę, zadając kłam łatwym i fałszywym porównaniom naszych dwóch polskich kryzysów — tego z lat trzydziestych i tego z lat osiemdziesiątych.

„Czerwone węże” realizowane były w roku 1981, właśnie na fali owych apologii międzywojnia i fałszywych porównań. Mimo to film obronił najistotniejsze: prawdę o tamtej epoce. Gorzką, tragiczną prawdę nędzy, głodu i braku pracy. Strajkowanemu wówczas po to, aby mieć prawo do pracy, a nie po to, aby mieć prawo do strajku. Wówczas walka szła o prawo do życia, a nie o prawo do grania na nosie.

Powtarzam, film tego nachałnie nie eksponuje, ale dziś taka konkluzja wynika z niego dla myślącego, uważnego widza.

Nie jest to więc „ruchomy obrazek bez koncepcji”. Film oddaje bowiem w sposób realistyczny klimat społeczny lat trzydziestych w Polsce ogarniętej kryzysem. Nowym tego filmu polega na tym, że po raz pierwszy w naszej kinematografii próbuje mówić o ważnych sprawach społecznych bezpośrednio do młodego widza. Autorzy potrafili połączyć elementy przygody z realiami politycznymi i dlatego film ten może stanowić ważną pozycję w procesie wychowania obywatelskiego. Sprawy, które porusza, wyeksponowanie etosu klasy robotniczej — nabierają dziś nieoczekiwanej aktualności.

Dla łodzian film Wojciecha Fiwki ma dodatkowy walor. Nakreślił w scenariuszu autentycznego osiedla robotniczego na Księgim Młynie, w scenarii charakterystycznej architektury — młodym pokazuje kawałek historii miasta, starszym przypomina „arkadę” międzywojennej Łodzi.

Subtelny krytyk z Krakowa jakoś tego wszystkiego nie dostrzegł. Może gdyby był nieco mniej subtelny, wiedziałby, że Dawid Copperfield nie jest Ulissesem, że film dla młodzieży nie powstaje w zagęszczonej poetyce Felliniego i Bergmana, że nie rozgrywa się meczu koszykówki na boisku futbolowym...

Słowem — że film Fiwki jest w swojej klasie i dla swojej widowni filmem i wartościowym poznawczo, i wruszającym, i kształcącym, i skłaniającym do myślenia.

Oczywiście, że „można go sobie darować”, tak jak „można sobie darować” tego typu nonszalanckie i uproszczone oceny.

JERZY
WILMAŃSKI

3

Sport

Szum

Był czas, że mieliśmy same sukcesy, oficjalnie przynajmniej. O ciemnych stronach naszego życia jakoś się wówczas nie mówiło, oficjalnie zresztą. Na kortach triumfy święcił Wojciech Fibak, medale zdobywała jedenastka Kazimierza Górskiego, w ciężkim boju zwyciężali siatkarze Huberta Wagnera. Medale zdobywali Władysław Kozakiewicz i Jacek Wszola. Inni również.

W tym czasie w sporcie odnoszono jednak nie tylko sukcesy, zdarzały się również afery. Kiedy Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej za pożyczane na Zachodzie pieniądze, ludzie uczyli się kombinować i dbać o swoje interesy. Nie odczyli się tego do dziś, bo gdyby było inaczej pracownicy urzędów skarbowych, milicji, NIK i członkowie różnych innych komisji kontrolnych poumieraliby z nudów. A żyją i mają pełne ręce roboty.

O tamtych aferach sportowych, o przemyśle i przeróżnych kombinacjach, jak też o niezdrożych stosunkach w różnych klubach coś niecoś przynajmniej do prasy, radia i telewizji. Pisało się o tym i mówiło, chociaż nie do końca i nie wszystko. Dobrze wtajemniczeni, zbliżeni do kół działaczy sportowych wiedzieli więcej, ale woleli tego nie ujawniać. Nie było to wszakże tylko schorzenie życia sportowego.

Dziś mamy możliwość dowiedzenia się więcej o tamtych — jak niektórzy wzdychają — dobrych czasach. Zmieniły się warunki, zmieniły się ludzie. Niektóre sprawy sąd rozstrzygnął, inne poszły jakby w zapomnienie. Na przykład oskarżano swego czasu Jacka Gmocha i na oskarżeniach się skonczyło. Kto pamięta, ten pamięta, inni zapomnieli, ale cież niejasności wokół człowieka pozostał. Rodzi to różne wątpliwości. Albo oskarżenie było dęte, albo człowiek nie jest do końca czysty. Takich sytuacji najlepiej unikać.

Tymczasem Janusz Atlas w „Tu i Teraz” z 23 marca 1983 r. w artykule „Błąd obsadowy” sytuację taką stworzył i co gorsza rzucił cień podejrzeń na wielu różnych ludzi, nie wymieniając nikogo z nazwiska. Czytając ten artykuł ma się chęć zadać osławione pytanie: „komu to służy?”. Sprawa dotyczy Polskiego Związku Piłki Nożnej, a jej bohaterem jest Sekretarz — tak go nazywa J. Atlas — a było to w czasach, kiedy triumfy święcili chłopcy Kazimierza Górskiego i później również. Nazwisko Kazimierza Górskiego jest jedynym, wymienionym w artykule Janusza Atlasa.

A oto próbka sposobu opisywania tej sprawy: „W Polskim Związku Piłki Nożnej dobrzy ludzie mówią mi, że to była sprawa Prezesa; ekspresza, żeby nie było wątpliwości. Ekspresz, jak przystało być prezesem, został konsulem w Ameryce Południowej, ale już wrócił z placówki jest Dyrektorem Biura”.

Teraz trzeba obłożyć się sterką książek i gazet z tamtego okresu i rozwikłać zagadkę. O kogo chodzi i po co o tym pisze Janusz Atlas?

Gdyby bowiem autor wpadł na genialny pomysł, aby zamaskować mechanizm rządzący u nas polityką kadrową, byłabym dla jego wysiłku pełna uznania. Ale nie.

„Zaczynamy od tego — pisze — że Sekretarz nie miał kwalifikacji, żeby pełnić funkcję

sekretarza generalnego...”.

Czy to on jeden? Studiował pomoc w SGPIS, był organizatorem imprez. Janusz Atlas sugeruje, że właśnie ów prezes, który został ekspreszem, a później był konsulem, a teraz jest Dyrektorem Biura maczał w tym palce. No i to z tego? Jeśli politykę kadrową realizowano na zasadach rodzimno-grupowo-klikowych, to musi być ktoś, kto umoczył palce i miał w tym jakiś interes. Wróble wówczas o takich sprawach ćwierkały. Wtajemniczeni wiedzą, kim jest ów Dyrektor Biura i być może wiedzą, co wyniknie z tego, że Janusz Atlas o tym napisał. Dla pozostałych czytelników, niebawem uczulonych na to, co nazywamy poczuciem sprawiedliwości społecznej i sprawiedliwości w ogóle, cała sprawa pozostaje mętna i nosi znamiona wewnętrznych, koteryno-grupowych rozgrywek, w których — można sobie podejrzewać — Janusz Atlas bierze udział, albo — co jest bardziej prawdopodobne — „został umoczony”.

Nie mam zamiaru opisywać losów Sekretarza. Dodam tylko, że okazał się „nadawcą” dla grupy wlamywaczy i dziś odbywa już karę więzienia, co potrwa 9 lat. Natomiast chciałabym zaprotestować przeciw takiemu oto rzucaniu podejrzeń:

„Na co dzień jednak Sekretarz, człowiek formalnie bez zawodu, obracał się w dość lepszym towarzystwie, osobliwie w towarzystwie naszych ulubieńców z telewizji. Z jedną piękną panią z okienka miał się nawet żenić... Z paniami z telewizji kontakty były barczyste. Pozostając w związku z przyjaźnią z b. Sekretarzem, chętnie przyjmowali prezenty w postaci cudniek z porcelany, albo stara biżuteria, albo podejmowali się sprzedaży tych drogocennych przedmiotów...”.

Kto? Iu ich było? Wszyscy? Czy jeśli nie ma się odwagi wymienić nazwisk, to nie należy przynajmniej napisać, że było to dwóch, pięciu, ośmiu panów? A tak wygląda, że wszyscy.

Janusz Atlas uważa, że sprawa Sekretarza to „błąd obsadowy”. Pisanie o tym w ten sposób — to błąd w sztuce. Jeśli chcemy oczyścić nasze życie — sportowe również — z takich właśnie sytuacji i sfer, to trzeba pisać tylko konkretnie. Inaczej jest to wyłącznie blokowanie miejsca w piśmie. Szum informacyjny.

BOGDA MADEJ

4

Lewym
okiem

Żeby tylko było wolno...

„Dobrze, że obywatele z cenzurą dewizowym podnieśli sobie i swym najbliższym standard życiowy, ale to źle, że

rozwarły się nożyce społeczne między tymi, co pracują za „zielone” i za „złote”. Dzięki temu w okresie kryzysu przybył nam jeszcze jeden problem społeczny — „tesknota za obczyzną”, z czym jakże często spotykamy się zwłaszcza wśród nastolatków”.

W ten sposób Sławomir Les w „Przeglądzie Tygodniowym” z 30 stycznia br. sformułował wreszcie niejasne dotąd uczucie, nurtujące dużą część naszej młodzieży: „tesknota za obczyzną”. Od ojczyzny różni to się zaledwie jedną głoską, a jakże przepastnie odmienny sens! Trzeba będzie dla tej głosi stworzyć całą nową literaturę, bo dotychczasowa drażyła wyłącznie tęsknotę za ojczyzną. Jugosłowianie już taką literaturę mają, kilka filmów poświęconych tematyce dorabiania się na emigracji, wieszania się na emigracji, przystawiania się na emigracji też już nakręcili. No cóż, oni zaczęli wcześniej, a jak to wygląda widzi każdy, kto odwiedzi RFN lub Austrię.

Oczywiście nie ma co demonizować, problem jest z gatunku tzw. „ludzkiego”, historia go dobrze zna. U nas miewa on jednak szczególne aspekty. Oto w tymże „Przeglądzie Tygodniowym” (z 20.II br.) pisze pani Maria Kiczor ze Swinoujścia: „Gdyby tak Polakom wolno było ruszać w świat, to mało by chyba kobiet z Polakami zostało” (!) Napisała to w związku ze słynnym już oszustem, podrywaczem i łobuzem Kalibabką — z żalu, że takich jak on wśród Polaków ze świecą szukać — takich, co w godzinie po poznaniu dziewczyny nie odmawiają półsna z nią do łózka (słowa są moje, ale sens odpowiednio dokładny), w dwa dni potem ją biją, potem okradają i robią z niej dziwkę. „Polacy w porównaniu z mężczyznami innych narodów słabo interesują się kobietami” — pisze pani Kiczor i znów stawia rzadki polityczny przykład — Kalibabkę. Cóż pozostaje niedopieczonemu Polakom? Emigrować! Żeby tylko „było wolno”...

Niestety, w „Tu i Teraz” w numerze z 26 stycznia br. znajdujemy szóstny artykuł pt. „Gdzie ci mężczyźni?”, zaczynający się słowami: „W Niemieckiej Republice Federalnej ogłoszono alarm: niemiecki mężczyzna złożył broń. Rytmu w prasie wręcz krzyczą: koniec z seksem! — rewolucja seksualna osłabła JEHO, ruch wyzwolenia kobiet go dobił, kobiecie pozostał kac i rozczarowanie.” No i co teraz? Dokąd pani Kiczor wyjedzie, kiedy już będzie wolno? Do Ameryki?

Podczas wykładu dra Zilberberga w Kalifornii „podszedł nagle do pulpitu 19-letni student. Uderzając młody i świeży, Z. lekko spłoszonym spojrzeniem wypowiedział to monstrualne zdanie: I am a virgin”... I dalej — „jest mi dobrze z tą dziewiczością. Co innego doprowadza go do rozpacz. Nie ma już sił do obrony przed naciskiem konformistycznego otoczenia. Ma dosyć swoich przyjaciółek i obciach seksualnych, jakie mu fundowały”. W Nowym Jorku słynny malarz, 55-letni Andy Warhol, oświadcza: „Seks to blaźństwo dla matych dzieci. Proszę mnie nie dotykać!”

Wszystkie cytaty przytaczam ze wspomnianego artykułu w „Tu i Teraz”. Dokąd wyjadą nasze zaniecierwane kobiety-Polki? A może jednak wemigrują seksualnie do RFN, tam spotkają naszych emigrantów zarobkowych, wymiecionych z kraju „tesknotą do obczyzny”, i znów będą się wzajemnie drezczyć i frustrować? Może rzeczywiście najlepiej byłoby, żeby w kraju zostali tylko ci, którzy niedzie nie mogą wyjechać? — może to niemożliwe, zmusiliby ich wreszcie do rzetelnego zajęcia się tym, co „tu i teraz”?

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefon sekretariatu i redakcji: 652-44 sekretarza redakcji: 680-49. Publikacja 677-70. Redakcja nie zamierza wnieść reklamacji, nie cenzuruje, nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Cena prenumerat: roczna 1040 zł. Prenumerata za granicę przeliczona w zł. Warszawa: ul. Powiatowa 28, Kasa Poczta - Ruch. Centrala Kół Portu Prasy i Wychowania 99-958. Warszawa: ul. Powiatowa 28, Kasa Poczta - Ruch. Centrala Kół Portu Prasy i Wychowania 99-958. Prenumerata za list droższe od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla członków wstępujących indywidualnie i o 100 proc. dla decydujących instytucji. Konto NBP XV 442121 w Warszawie nr 1153 201045 189. Prenumerata za list droższe od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla członków wstępujących indywidualnie i o 100 proc. dla decydujących instytucji. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul. Piotrkowska 98 kod 90-105 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 761. L-2.

